

DONNA LEON

ADOPCJA

Przełożył
Marek Fedyszak

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Przypisy

Inne powieści Donny Leon

Tytuł oryginału: *Unto Us a Son Is Given*

Opracowanie redakcyjne: BEATA WYRZYKOWSKA

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, RENATA KUK

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Copyright © 2019 by Donna Leon and Diogenes Verlag AG Zürich

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2022, Noir sur Blanc, Warszawa

All rights reserved

ISBN 978-83-7392-773-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

Zamówienia prosimy kierować:

- telefonicznie: 800 42 10 40 (linia bezpłatna)
- faksem: 12 430 00 96 (czynnym całą dobę)
- e-mailem: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
- księgarnia internetowa: www.noir.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Maximowi Emelyanychevowi

Dobro przez nas upragnione często okazuje się zmorą.
Modliłem się o dzieci i otrzymałem syna,
I to takiego, że szczęściarzem okrzyknęli mnie ludzie.
Któż jednak teraz na moim miejscu chciałby ojcem być?
Błogosławieństwo przyniosło z sobą jadowitą gorycz piółunu.

Haendel, *Samson*, akt I, scena 3

Rozdział 1

– Przecież wiesz, że nie lubię się mieszać w czyjeś sprawy – rzekł hrabia Falier do Brunettiego. – Ponieważ jednak w tym wypadku chodzi o osobę tak mi bliską, czuję, że właściwie nie mam wyboru.

Brunetti, siedzący naprzeciw teścia w jednym z rozpadających się foteli, których nie brakowało w Palazzo Falier, słuchał starszego mężczyzny od pewnego czasu, świadomy, jak trudno hrabiemu jest zacząć snuć opowieść, z którą najwyraźniej pragnął zapoznać swojego zięcia.

Hrabia zadzwonił do niego rano i zapytał, czy znajdzie czas, żeby wstąpić i napić się czegoś w drodze z pracy do domu, ponieważ chciałby go o coś zapytać. W pierwszym odruchu, ze względu na to, że był ciepły wczesnowiosenny dzień, Brunetti zaplanował najłatwiejszą drogę z komendy do *palazzo*, która pozwoliłaby uniknąć utknięcia z tabunami turystów na normalnych już teraz ścieżkach ich weneckich wędrówek. Z uwagi na bezchmurne niebo i łagodną temperaturę swobodne przejście Riva degli Schiavoni byłoby niemożliwe, a próba przecięcia Piazza San Marco stanowiłaby akt szaleństwa. *Vaporetti* nadpływające od strony Lido nie były jednak aż tak zatłoczone, by nie dało się wejść na pokład, więc przyjął zaproszenie na przekór swojej niechęci do korzystania z transportu publicznego, gdy mógł iść pieszo. Popłynął jedyneką do Ca' Rezzonico i zjawił się w domu teścia przed czasem.

– Nie lubię plotek – zaznaczył z naciskiem hrabia, ponownie przyciągając uwagę Brunettiego. – Nigdy nie lubiłem.

– W takim razie mieszkasz w niewłaściwym mieście – odparł Brunetti, uśmiechając się przy tym, żeby złagodzić wydźwięk swoich słów. – I prawdopodobnie powinieneś unikać rozmów z innymi weneccjanami.

Falier odpowiedział szerokim, swobodnym uśmiechem.

– To pierwsze, jak wiesz, nie jest prawdą – rzekł, po czym uśmiechając się jeszcze serdeczniej, ciągnął: – To drugie może być prawdą, ale nic nie mogę na to poradzić: już za późno. Znam weneccjan od urodzenia.

– Czy źródłem tej nowinki o Gonzalu jest jeden z nich? – zapytał Brunetti, zaciekawiony faktem, że jego teść chciałby omawiać plotkę o swoim najlepszym przyjacielu, i spragniony dalszych informacji.

– Tak. I jest prawnikiem. – Sądząc chyba, że Brunetti zaraz zapyta, o kogo chodzi, *conte* powstrzymał go ruchem uniesionej dłoni i wyjaśnił: – Nieważne, kto mi o tym powiedział. Ważny jest temat.

Brunetti skinął głową na znak zgody. Jak większość weneccjan był przyzwyczajony do pływania w pianie informacji i dezinformacji, która tak często oblepiała codzienne życie; jednak w odróżnieniu od większości mieszkańców miasta znajdował w tym niewiele przyjemności: z bogatego doświadczenia wiedział, w jak niewielkim stopniu można na nich polegać. Jako komisarz policji słyszał opowieści tak drastyczne, że na myśl o nich się rumienił, a jako czytelnik znał opisy orgii Tyberiusza, których autorem był Swetoniusz. Brunetti myśliciel wiedział jednak, jak chętnie weneccjanie przesadzają w opisach postępków ludzi, których nigdy nie spotkali, jak mało dbają o konsekwencje tego, co tak niefrasobliwie powtarzają, jak bardzo są nieodpowiedzialni.

Interesował się oczywiście tym, co ludzie robią, ale rzadko wierzył, że rzeczywiście coś zrobili, dopóki nie zgromadził wystarczających dowodów. Cokolwiek więc mógł powiedzieć mu teść, dla komisarza stanowiło to zarzut, którego słuszności trzeba było dowieść, a nie prawdę, którą należało przyjąć na wiarę.

Czekając, aż *conte* zdecyduje się, jak mu przedstawić, w czym rzecz, zwrócił myśli ku decyzji, której podjęcia rodzina Falierów od lat unikała i z którą od lat zwlekała: co zrobić z rodzinną willą niedaleko Vittorio Veneto. Hrabia ani hrabina już z niej nie korzystali, a żona i dzieci Brunettiego niemal zupełnie przestały jeździć tam latem. Gdy Falierowie się wahali, przez wychodzące na północ okna zaczęła się przesączać woda, a dozorca oznajmił, że chce otrzymać pokaźną podwyżkę wynagrodzenia.

– Bez względu na to, jak bardzo Gonzalo przypomina mi czasem willę, nie o niej chcę rozmawiać – rzekł *conte*, jakby czytał w myślach zięcia.

Zaskoczony tym porównaniem, Brunetti zauważył:

– Nie wiedziałem, że do głowy sączy mu się woda.

Hrabia zignorował ten brak powagi i uparł się, żeby objaśnić swoje stwierdzenie.

– Poznałeś i willę, i jego mniej więcej w tym samym czasie; spędziłeś wiele radosnych chwil w ich towarzystwie, a teraz oboje zdradzają skutki upływu czasu.

Przyjaciół teściów Brunettiego, ojciec chrzestny i nieformalny stryj Paoli, Gonzalo Rodríguez de Tejada, przynależał do rodziny Falierów, odkąd Brunetti sięgał pamięcią. Na kolacji z okazji dziesiątej rocznicy ślubu komisarza z Paolą podarował im dwunastowieczną ceramikę z Kufy wielkości misy na sałatkę, ozdobioną po wewnętrznej stronie czymś, co jak zawsze zakładali, było fragmentem tekstu z Koranu. Przezorny Gonzalo kazał umieścić misę w skrzynce z pleksi, żeby dało się ją powiesić na ścianie i w ten sposób ochronić przed wypadkami, do których dochodzi we wszystkich domach, gdzie są małe dzieci. Nadal wisiała na ścianie salonu, między dwoma oknami, z których w oddali było widać dzwonnice San Marco.

W ostatnich latach Brunetti i Gonzalo spotykali się sporadycznie na ulicy, w sklepach lub w barach i te spotkania zawsze upływały na radosnych pogawędkach przy kieliszku bądź kawie. Kilka miesięcy wcześniej natknęli się na siebie przypadkiem na ulicy nieopodal Campo Santi Apostoli. Wchodząc na plac, komisarz ujrzał Gonzala zbliżającego się z ręką podniesioną w powitalnym geście. Zauważył, że włosy starszego mężczyzny ze szpakowatych zrobiły się śnieżnobiałe, ale gdy Gonzalo podchodził do niego, plecy miał wyprostowane jak u instruktora musztry, a spojrzenie niebieskich oczu, stanowiących być może pozostałość po jakimś północnym najeźdźcy Hiszpanii, nadal było przeszywające.

Uściskali się serdecznie, a starszy pan wyjaśnił – mówiąc po włosku zupełnie bez akcentu – że śpieszy się na spotkanie i nie może rozmawiać,

ale przekazał pozdrowienia dla Paoli i dzieci oraz ucałowania dla wszystkich.

Dotknął policzka Brunettiego na znak często okazywanej w ten sposób sympatii, po czym powiedział, że naprawdę musi już iść, odwrócił się i szybko ruszył w stronę Fundamenta Nuove i *palazzo*, w którym mieszkał. Brunetti stał nieruchomo i przyglądał się, jak Gonzalo odchodzi; był zadowolony, że go zobaczył, zawsze widywał się z nim z radością. Zaczął znowu iść, po czym bez szczególnego powodu zatrzymał się i odwrócił, żeby odnaleźć w tłumie plecy oddalającego się mężczyzny. Początkowo daremnie wypatrywał kogoś idącego szybkim krokiem, w końcu zauważył wysoką postać, która się oddalała, tyle że powoli, z pochyloną głową i z ręką spoczywającą na biodrze niczym okład mający uśmierzyć skrywany ból. Natychmiast odwrócił wzrok, jakby natknął się na człowieka, który robi coś żenującego, i nie miał ochoty na to patrzeć.

Ocknąwszy się z zadumy, Brunetti spostrzegł, że hrabia bacznie mu się przygląda. Starszy mężczyzna zapytał:

– Kiedy ostatnio go widziałeś?

– Parę miesięcy temu, może trochę dawniej – odparł Brunetti. – Spotkaliśmy się na Campo Santi Apostoli, ale zdążyliśmy się tylko przywitać.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie?

– Wydawał się dawnym sobą – odrzekł komisarz, odruchowo broniąc teścia przed koniecznością wysłuchiwania, że jego przyjaciel uległ siłom, które czyhały na nich obydwu.

Unikając spojrzenia hrabiego, studiował portret młodego szlachcica wiszący na przeciwległej ścianie i czuł, że młodzieniec odwzajemnia jego spojrzenie. Emanujący młodością, z mięśniami domagającymi się uwolnienia od narzuconej im nieruchomą pozą beczynności, stał z lewą dłonią wspartą na biodrze i drugą na główicy szabli. Bez wątplenia był przodkiem Paoli, jakimś Falierem z zamierzchłej przeszłości, który poległ w walce, zmarł wskutek choroby lub przepicia, pozostawiwszy ten swój konterfekt ukazujący, jaki był, kiedy jeszcze był.

Brunetti dostrzegł w młodym mężczyźnie, być może bezpodstawnie, pewne podobieństwa do Paoli, mimo że upływ setek lat złagodził rysy jego twarzy, zachował jedynie – przynajmniej w chwilach nagłej złości – spojrzenie sokoła wypatrującego zdobyczy.

– Naprawdę nie mieliście czasu na rozmowę?

Brunetti pokręcił głową.

Hrabia spuścił wzrok, przycisnął obie dłonie do ud i wpatrywał się w nie uporczywie. Brunetti pomyślał, że jego teść wciąż jest bardzo przystojnym mężczyzną. Wyraźne roztargnienie hrabiego stanowiło okazję, żeby mu się dokładniej przyjrzeć, i komisarz ze zdziwieniem stwierdził, iż od czasu ostatniego spotkania zrobił się mniejszy. Nie, poprawił się – od czasu gdy po raz ostatni zwrócił uwagę na jego wygląd. Chociaż ramiona miał teraz węższe, marynarka nadal ciasno opinała jego szczuplejsze ciało. Być może hrabia kazał ją zwęzić, ale po chwili Brunetti zauważył, że marynarka ma modny krój klap, była więc nowa.

Hrabia nadal przyglądał się swoim dłoniom, jakby szukał tam odpowiedzi, po czym spojrzał na Brunettiego i rzekł:

– Twoja sytuacja zawsze jest dwuznaczna, prawda?

Brunetti zastanawiał się, czy to pytanie, czy tylko opinia. Czy jego teść odnosił się do różnicy w pozycji społecznej między nim, synem człowieka z klas niższych, którego życie było pasmem porażek, a jego żoną, córką hrabiego Faliera i dziedziczki jednej z największych fortun w mieście? A może do różnicy między obowiązkami zawodowymi policjanta a wymaganiami, jakie mogą nakładać na niego przyjaźń i miłość? Czy też chodziło o jego sytuację jako komisarza policji wżenionego w rodzinę siedzącego przed nim człowieka, którego interesy, poddane drobiazgowej analizie, mogłyby się okazać podejrzanę?

Nie chcąc pytać, do której sfery życia odnosi się hrabia, zagrał na zwłokę, mówiąc:

– Myślę, że wielu z nas prowadzi dwuznaczne życie. Świat, w którym egzystujemy, sprawia, że to niezbędne.

Starszy mężczyzna skinął głową i przeniósł dłonie na poręcz fotela, gdzie swobodnie spoczęły.

– Pamiętam, jak przed laty Paola przyjechała do nas w odwiedziny. Studiowała wtedy w Anglii. Przez większość spędzanego tutaj czasu czytała książkę, na której temat miała napisać referat. – Twarz hrabiego złagodniała na wspomnienie jedynaczki odrabiającej pracę domową.

Brunetti czekał, znając gawędziarskie nawyki teścia.

– I dopiero trzeciego dnia opowiedziała o tej książce oraz o tym, co chce przekazać w swoim eseju.

– Co powiedziała? – Brunetti zastanawiał się, dlaczego dawne przeżycia najdroższych mu osób zawsze tak bardzo go ciekawią.

– Że powinienem ją przeczytać – wyznał hrabia. – Próbowałem, ale dopiero po powrocie Paoli do Anglii. – Pokręcił głową, jakby się z czegoś spowiadał. – Nie pociągają mnie takie lektury... to było dzieło mistyczne... i nie byłem w stanie go skończyć.

– O jaką książkę chodzi? – zapytał komisarz zaciekawiony, co jego żona czytała podczas studiów.

– *The Cloud of Unknowing*^[1] – odparł hrabia i się zawahał. – Zawsze uważałem, że to wspaniały tytuł autobiografii. Czyjejkolwiek. – Uśmiechnął się szerzej i Brunetti odwzajemnił uśmiech.

Komisarz pozwolił, by minęło kilka chwil, po czym uznał, że chce poznać powód zaproszenia bez względu na konsekwencje.

– Chyba rozmawialiśmy o Gonzalu?

– Owszem.

– Mam wrażenie, że się o niego martwisz.

Hrabia skinął głową.

Dłonie starszego mężczyzny zacisnęły się na chwilę, a potem powoli rozluźniły. Uwolnione z nich napięcie przeszło jednak na jego twarz, sprawiając, że zmrużył oczy.

– Gonzalo to mój najlepszy przyjaciel. Byliśmy razem w szkole z internatem. – Falier spojrział na Brunettiego i nie bez zaskoczenia

zauważył: – Mój Boże, minęło już ponad sześćdziesiąt lat.

– Gdzie to było?

– W Szwajcarii – odrzekł hrabia. – Mój ojciec oznajmił, że chce, bym przez jakiś czas mieszkał w obcym kraju.

– Z jakiegoś szczególnego powodu? – zapytał Brunetti, pragnąc dowiedzieć się czegoś o przeszłości teścia, zerknąć do czarnej dziury, jaką stanowiło życie hrabiego.

– Powiedział, że chce, żebym nauczył się francuskiego i niemieckiego. Wtedy jeszcze nikt nie myślał o angielskim – wyjaśnił Falier. – Ale to chyba był wybieg. Zamierzał mnie wyrwać z towarzystwa, w którym się obracałem.

– Dlaczego?

Hrabia podniósł obie ręce dłońmi na zewnątrz, jakby się starał przekonać napastnika o swojej niewinności.

– Myślę, że nie podobały mu się polityczne zapatrywania części moich przyjaciół.

Brunetti sięgnął pamięcią do wydarzeń historycznych sprzed swoich narodzin, ale nie przypominał sobie żadnych politycznych niepokojów, które mogłyby mieć wpływ na arystokrację. Członkowie Czerwonych Brygad chodzili wówczas w krótkich spodenkach, a hossa na rynkach finansowych pchała kraj ku świetlanej przyszłości.

– Poskutkowało?

Hrabia uśmiechnął się i przeniósł spojrzenie na okno za plecami Brunettiego.

– Nauczyłem się języków. Oraz innych rzeczy.

– Mówiłeś, że poznałeś tam Gonzalę – przypomniał Brunetti zaciekawiony tym powiązaniem.

Twarz hrabiego złagodniała w uśmiechu.

– Nauczył mnie jeździć na nartach – wyjaśnił, a Brunetti pomyślał, że zapewne to już wszystko, czego się dowie o młodym Gonzalu. Uśmiech jego teścia nieco zbladł, po czym znowu rozświetlił twarz w reakcji na

jakieś nagłe wspomnienie. – Nauczył mnie też oszukiwać w grze w pokera. – Hrabia roześmiał się z dziecięcym zachwytem. Zanim Brunetti zdążył zadać pytanie, dodał: – Twierdził, że po to, abym umiał rozpoznać, czy ktoś próbuje oszukać mnie.

– Czy kiedykolwiek tak się zdarzyło?

– Nie w grze w karty – odparł hrabia Falier, nie wdając się w wyjaśnienia. – Ale oznaki, które nauczył mnie odczytywać, pojawiają się nie tylko w pokerze.

– Przydatna umiejętność – przyznał Brunetti.

– O wiele przydatniejsza niż umiejętność jazdy na nartach – zauważył hrabia i uściślił: – Zwłaszcza w mojej branży.

Cokolwiek mogłoby nią być, pomyślał komisarz, ale nie pozwolił, by ta refleksja uwidoczniła się na jego twarzy. Pamiętał, jak niedługo po tym, gdy poznał Paolę, zapytał, czym zajmuje się jej ojciec. Nie wiedział jeszcze wtedy, że poczucie humoru przejęła po swojej angielskiej opiekunce i przyswoiła w ciągu czterech lat studiów w Oksfordzie, zdziwił się więc trochę, usłyszawszy: „Siedzi w gabinecie na *piano nobile* swojego *palazzo* i rozmawia przez telefon”. Uświadomiwszy sobie, że Paola żartuje, nie żartując – mówi prawdę, tyle że w przewrotny sposób – pomyślał o swoim ojcu, który spędzał dni w domu, siedząc i czekając, aż ktoś przyjdzie i zaproponuje mu jednodniowe zajęcie w porcie przy załadunku i rozładunku statków. Nawet wówczas, na początku, miał świadomość, jaka przepaść dzieli ich rodziny: jej ojciec był hrabią, matka potomkinią florenckich książąt; matka Brunettiego skończyła edukację w wieku dwunastu lat, ojciec był niepoprawnym marzycielem zniszczonym przez lata pobytu w obozie jenieckim.

Komisarz przyglądał się twarzy teścia, uświadamiając sobie, jak dużą jej część stanowi nos.

– Ile lat spędziliście razem w szkole? – zapytał, zaskoczony myślą, że ten człowiek był kiedyś nastoletnim uczniem oraz że w ogóle był nastolatkiem.

Z piersi starszego mężczyzny wydobyło się westchnienie, które wcale nie zabrzmiało melodramatycznie.

– Cztery, od czasu gdy miałem piętnaście lat do ukończenia dziewiętnastego roku życia i pójścia na studia – mówiąc to, hrabia osunął się w fotelu, ale potem nagle się wyprostował i spojrzał ostro na Brunettiego. – Zmieniam się w starego gadatliwego głupca, prawda? – zapytał bez zażenowania, z nutą rozbawienia w głosie.

– Wcale nie, Orazio – odparł Brunetti. – Przeszłość zawsze jest interesująca.

– Odległa przeszłość, być może – przyznał *conte* i pochylił się, żeby dla podkreślenia swojej tezy poklepać zięcia po kolanie.

Brunetti pomyślał o czasach, miał wrażenie, że było to wieki temu, gdy kupił nowy garnitur, żeby włożyć go na swoje pierwsze spotkanie z tym mężczyzną, który zaprosił na rozmowę młodego człowieka pragnącego poślubić jego córkę. Wydał na ten garnitur nadmierną w swoim mniemaniu sumę, tyle że nie zdołał już sprawić sobie do niego nowych butów. Nie będąc jeszcze *commissario di polizia* i mając na utrzymaniu owdowiałą matkę, był słabą – w każdym sensie tego słowa – partią. Miał tego świadomość, nie mógł tego zmienić, zgodził się jednak pójść na rozmowę, która, jak przypuszczał, pogrzebie wszystkie jego nadzieje.

Pamiętał tę pierwszą wizytę w *palazzo*. Służąca dygnęła przed nim, zanim zaprowadziła go na piętro. Zatrzymawszy się przed drzwiami pokoju, zapukała, po czym wpuściła go do środka.

Natychmiast rozpoznał hrabiego, człowieka, z którym spędził potem wiele godzin w tej samej sali. Zobaczył siwe włosy, piwne oczy i nieuśmiechnięte usta. Hrabia, równie zaskoczony faktem, że rozpoznał Brunettiego, jak tym, że został rozpoznany, podszedł i serdecznie uścisnął mu rękę.

– To pan jest tym młodym człowiekiem, który czytał o Hadrianie – powiedział, kładąc drugą dłoń na dłoni swojego gościa.

– Tak, panie hrabio – zdołał tylko bąknąć Brunetti, potem jednak odzyskał przytomność umysłu na tyle, by zapytać: – Skąd pan wie, co czytam?

– Od bibliotekarza – odparł hrabia. – To mój stary znajomy.

– O czym jeszcze panu powiedział? – zapytał Brunetti bez namysłu. Może o tym, jak pewnego popołudnia córka tego mężczyzny siedziała obok tego samego młodzieńca, a oboje trzymali się za ręce i śmiali z tego, jak trudno im przewracać kartki?

Conte Falier odwrócił się, nie odpowiedziawszy, i zaprowadził Brunettiego do miękkiego fotela. Usiadł i skinieniem dłoni wskazał gościowi miejsce. Gdy już obaj usadowili się wygodnie, rzekł:

– O niczym oprócz książek, które pan zamówił w ostatnich kilku tygodniach. – Brunetti przypomniał sobie ich tytuły, mając nadzieję, że spełnią wymagane standardy: Kasjusz Dion, *Historia Augusta*, Filostrates i Pauzaniusz. Egzemplarz listów Frontona z jego dwuznacznymi uwagami o Hadrianie wydawał się nie do znalezienia. – Powiedział mi – ciągnął hrabia – że wykazywał pan wielkie zainteresowanie Hadrianem.

Brunetti był coraz bardziej zakłopotany. Przyszedł rozmawiać o córce tego człowieka, a nie o cesarzu rzymskim z drugiego wieku. Zauważył, że ma wilgotne dłonie, nie mógł jednak ich wytrzeć w nogawki spodni od nowego garnituru. Zamiast to zrobić, zapytał:

– Ciekawi to pana, *signor conte*?

– Oczywiście – odparł poważnie starszy mężczyzna. – Mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego pan się nim interesuje?

– Z powodu Paoli – odrzekł Brunetti bez namysłu, po czym zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to mało sensownie, dodał: – Mówiła o Hadrianie i pomyślałem, że za bardzo się nim zachwyca. – Uświadomił sobie, że można było odnieść wrażenie, że Paola mówiła o kimś, kogo oboje znali, może o konkurencie do jej względów, a on kierował się zazdrością. Licząc, że naprawi ten błąd, dorzucił: – Jeżeli oczywiście to, co o nim czytałem, jest prawdą.

– To znaczy?

Brunetti miał ochotę zapytać, dlaczego jest wypytywany o swój osąd w tej sprawie i czy jego odpowiedzi posłużą za dowód jego nieprzydatności jako kandydata na męża córki tego człowieka. Postanowił jednak po prostu odpowiedzieć na pytanie.

– Jestem policjantem, panie hrabio, wykształciłem więc w sobie zwyczaj czytania opisów zachowań ludzi tak, jakby były raportami policyjnymi.

– Rozumiem – rzekł *conte* rozbawiony. – Czy to się sprawdza również w przypadku cesarza Hadriana? – Uśmiechnął się przez grzeczność, choć jego zainteresowanie wydawało się szczere.

Brunetti uznał, że pytanie hrabiego zasługuje na poważną odpowiedź.

– Jest znany jako jeden z pięciu dobrych cesarzy, ale mam wrażenie, że w opowieści o adoptowaniu go przez Trajana na łożu śmierci i całym procesie jego sukcesji kryje się coś podejrzanego. Do tego dochodzą ci senatorowie, których usunięto tuż po tym, jak został cesarzem, wszyscy ludzie, którzy mu się sprzeciwiali lub rzekomo byli jego wrogami.

Hrabia powoli pokiwał głową, jakby proszono go, by zobaczył znaną historię w nowym świetle.

– Czy to jedyny powód pańskiego zainteresowania?

Brunetti zawahał się, podniósł dłoń do ust, a potem zerknął przez okno znajdujące się za starszym mężczyzną.

– Paola czyta właśnie książkę o Hadrianie. Powieść. Powieść epistolarną. I z tego, co mi o niej powiedziała, wynika, że bohater przypomina gadatliwe skrzyżowanie Marka Aureliusza ze Świętym Franciszkiem. Stale mówi, jak niechętnie wyrusza na wojnę, zawsze jednak jest gotów wysłać żołnierzy do boju, żeby wycinali w pień i palili. – To samo w zasadzie powiedział Paoli, nie osłabił tym jednak jej zachwyty nad książką i Hadrianem.

Hrabia się uśmiechnął, a następnie wybuchnął śmiechem.

– Gdy Paola była młoda, nigdy nie próbowaliśmy jej powstrzymać przed czytaniem tego, na co miała ochotę, ale teraz, gdy jest starsza, uzmysławiam sobie, że pragnę, by trzymała się brytyjskiej powieści i nie marnowała czasu na te francuskie brednie.

– Czytał pan to? – zapytał Brunetti, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

– Wieki temu, ale tylko kilka stron – odparł hrabia, jakby chodziło o trzynastą pracę Herkulesa. – Jest całkowicie ahistoryczna

i pretensjonalnie głupia. *Historia Augusta* także jest fikcją literacką, ale o wiele bardziej zajmującą i znacznie lepiej napisaną, nie sądzisz?

Gdy Brunetti starał się sobie przypomnieć, co dokładnie wtedy odpowiedział, usłyszał głos wypowiadający jego imię.

– Guido? Guido?

Zrezygnował z rozważań o odleglejszej przeszłości i spojrzał w terażniejszość. Jego teść nachylał się ku niemu z wyciągniętą ręką.

Brunetti uśmiechnął się i rzekł:

– Przepraszam, Orazio. Rozmyślałem o naszej pierwszej rozmowie. – Rozejrzał się po znanym już sobie pokoju. – Odbyła się tutaj, prawda?

Hrabia skinął głową.

– Cieszę się, że zdałem ten egzamin – stwierdził Brunetti, podejrzewając przez te wszystkie lata, że właśnie rozmowa o Hadrianie, a potem kawa i czcza gadanina, której już nie pamiętał, stanowiła pierwszy krok ku jego obecnemu szczęściu.

Hrabia Falier uśmiechnął się i rozłożył ręce jak w powitalnym geście.

– Tak jak i ja, Guido – odparł. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił, zniknęła z niej cała łagodność i dodał: – Chciałbym, żebyś potraktował Gonzala tak, jak traktowałeś Hadriana.

– Co to znaczy? – zapytał zmieszany przez chwilę Brunetti.

– Myśl jak policjant.

Rozdział 2

– *Oddio!* – zawołał Brunetti. – Co on takiego zmalował!

Hrabia znowu podniósł ręce, tym razem jednak po to, żeby odeprzeć tę myśl.

– Nic z tych rzeczy. Niczego nie zmalował.

Po tej odpowiedzi Brunetti zdezorientowany przestał pojmować, skąd prośba, żeby spojrzeć na Gonzala okiem policjanta, a nie osoby, za którą się uważał: kogoś pomiędzy przyjacielem a członkiem rodziny, która przyjęła również Gonzala.

– Nie rozumiem – przyznał.

Twarz hrabiego stężała.

– Nikt, kto go zna, nie mógł zrozumieć.

– Opowiedz mi o tym.

Hrabia Falier zacisnął usta i zmarszczył czoło w wyrazie, którego Brunetti nie umiał odszyfrować.

– Nie wiem, kto jest w to zamieszany – rzekł *conte* i po chwili zastanowienia dodał: – Nie potrafię nawet powiedzieć na pewno, że coś się dzieje.

Komisarz stłumił chęć zapytania, dlaczego prowadzą tę rozmowę. Zamiast tego poprosił:

– Możesz mi powiedzieć, co słyszałeś?

Hrabia wstał, mówiąc:

– Chyba musimy się czegoś napić.

Podszedł do kredensu, otworzył butelkę whisky, nie racząc zapytać zięcia, na co ma ochotę, i wrócił z dwiema małymi, wypełnionymi niemal po brzegi szklankami.

Komisarz wziął swoją, poczekał, aż teść znowu usiądzie, i przytknął szklanekę do ust. Jakie to szczęście, że niczego takiego nie trzymali w domu. Jak to możliwe, że płyn tak ostry i wytrawny tak wspaniale smakował?

– Zadzwoiła do mnie jego siostra Elena – zaskoczył Brunettiego hrabia.
– Jest emerytowaną lekarką, mieszka w Madrycie z mężem i synem. Reszta jej rodzeństwa oraz ich dzieci także tam mieszkają.

– Znasz ją?

Hrabia skinął głową.

– Poznaliśmy się dawno temu, w czasach szkolnych, gdy Gonzalo po raz pierwszy zabrał mnie ze sobą do domu. Przez te lata pozostawaliśmy w kontakcie.

– A reszta? – zapytał Brunetti, zaskoczony na wieść o tym, że Gonzalo ma rodzeństwo i że przez te lata nikt nie wspominał o jego rodzinie.

– Jest druga siostra, Maria Pilar, oraz brat, Francisco. Gonzalo nie dogaduje się z nimi, nigdy się nie dogadywał.

– Ich też znasz?

– Spotkałem ich kilka razy.

– Opowiedz mi o nich.

– Niewiele jest do opowiadania. We trójkę są właścicielami firmy. Pozostałych dwoje zawarło związki małżeńskie i każde ma syna. – Falier się uśmiechnął, po czym rzekł: – Berety.

– Słucham?

– Nakrycia głowy – wyjaśnił hrabia. – Ale głównym produktem firmy zawsze były berety. Ilekroć zobaczysz kogoś noszącego jedno z tych idiotycznych płaskich nakryć głowy, to wiedz, że przypuszczalnie zostało wyprodukowane przez firmę rodzeństwa Gonzala. Należy do największych w Hiszpanii. – Sięgnął po szklanekę i obracał nią w dłoniach, wpatrując się w powierzchnię trunku, dopóki nie odstawił whisky na stolik. – I teraz ich trzech synowie pracują dla firmy i ją odziedziczą.

Falier podniósł szklanekę i opróżnił ją jednym haustem, a potem siedział, patrząc na puste naczynie.

– I właśnie w tym jest problem – powiedział w końcu. – Gonzalo chce mieć syna.

– Co takiego? – zapytał Brunetti, mimowolnie unosząc głowę i rozlewając odrobinę whisky na gors koszuli.

Gapił się w teścia, jakby tamten postradał zmysły. – Co powiedziałaś?

– Chce adoptować syna.

– Oszalał – odezwał się komisarz, zanim usłyszał coś więcej i pomyślał o podobnych przypadkach, z których żaden nie skończył się pomyślnie. Nie wiedział jednak, jak wyglądał przypadek Gonzala. Nie miał więc pojęcia, do czego podobny jest ten, i chyba powinien był trzymać język za zębami.

Hrabia Falier posłał mu spokojne spojrzenie i rzekł:

– Byłeś zawsze znany z umiarkowania w swoich sądach, Guido.

Brunetti zrobił się czerwony na twarzy.

– Nie powinienem był tego mówić. – Wytarł koszulę chusteczką, zastanawiając się, co pomyśli sobie Paola, gdy on zjawi się w domu cuchnący whisky.

– Ale powiedziałaś – odparł hrabia i dodał: – I pewnie masz rację.

Brunetti zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał: adopcja.

– Kogo? – zapytał.

Hrabia wzruszył ramionami i sięgnął po szklankę. Widząc, że jest pusta, znowu podszedł do kredensu i wrócił z butelką. Nalał im obu trochę whisky i wypił mały łyk, zanim odstawił butelkę na stojący między fotelami stół. Nie zważając na pytanie zięcia, wrócił do przerwanej wątku:

– Powiedział mi o tym Lodo Costantini – rzekł, wspominając jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, który był prawnikiem. – Kilka miesięcy temu Gonzalo interesował się, czy jego kancelaria prawna zajmuje się adopcjami. Kiedy Lodo zapytał, po co mu ta wiedza, Gonzalo odparł, że chodzi o znajomego, który chce adoptować dorosłą osobę. – Hrabia przyłożył palce do ust i pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym słowom. – Lodo nie dał temu wiary, był przekonany, że Gonzalo dowiadywał się we własnej sprawie. Chociaż ograniczył się tylko do

pytania, Lodo i tak uważał, że nie może się na ten temat wypowiadać, potem jednak usłyszał... nie chciał zdradzić od kogo... że Gonzalo zaczął załatwiać formalności. Uznał więc, że może mi powiedzieć, ponieważ Gonzalo jest moim przyjacielem.

Och, jak cudownie obłudni są nasi prawnicy, pomyślał Brunetti.

Hrabia mówił dalej:

– Jak ci wiadomo, niezależnie od życzeń Gonzala, to prawo stanowi, kto odziedziczy większość jego majątku. – Nim Brunetti zdążył przywołać na myśl odpowiednie przepisy, *conte* ciągnął: – Zostanie w rodzinie, trafi do jego rodzeństwa bez względu na to, do jakiej kategorii filistrów można by tych troje zaliczyć. – Hrabia powiedział to tonem tak obojętnym, że równie dobrze mógłby czytać przepis na ciasto ze śliwkami. Po czym, tym samym spokojnym tonem, zauważył: – Podejrzewam, że to prawo stworzone dla wygody bogatych.

Brunetti chętnie zapytałby: „Czyż nie wszystkie po to stworzono?“, gdyby na miejscu mogła go wesprzeć córka hrabiego, ale nieobecność Paoli zmusiła go do dyskrecji i tylko skinął głową.

Falier kontynuował:

– Jeżeli jednak przed śmiercią kogoś adoptuje, ten człowiek odziedziczy cały majątek, jakby był rodzonym synem – przerwał na chwilę, po czym dodał: – Nawet tytuł mógłby na niego przejść.

Brunetti zauważył, że *conte* Falier, przedstawiciel jednego z najstarszych rodów arystokratycznych w Wenecji, wypowiedział ostatnie zdanie z wyraźnym chłodem. Ponieważ był to problem, z którym jego własna rodzina nigdy się nie zetknęła, poprzestał na spostrzeżeniu:

– Jak już powiedziałaś, Orazio, to prawo stworzone dla bogatych.

– Gdybyście nie mieli z Paolą dzieci, w ostatecznym rozrachunku mógłby to być również wasz problem – zauważył hrabia z wyczuwalnym opanowaniem. Zerknął na Brunettiego, żeby zobaczyć, jak zareagował na tę nieprzyjemną prawdę, po czym dodał: – To twojemu bratu przypadłoby wszystko, co oboje posiadacie. – Brunetti był zdumiony swobodą, z jaką

teść mówił o nim jako o współwłaścicielu całego odziedziczonego przez Paolę majątku. Hrabia dał mu szansę na komentarz; nie doczekawszy się go, stwierdził: – Sprawia wrażenie porządnego człowieka, ale czy gdyby było inaczej, chciałbyś, żeby to wszystko zagarnął?

Słowa, które właśnie padły, wypowiedziane przez kogoś innego, z pewnością zabrzmiałyby bardzo niewybrednie. Komisarza kusiło jednak, by nawet hrabiemu odpowiedzieć, że gdyby był nieboszczykiem, prawdopodobnie nie miałby zdania na temat tego, czy jego brat jest godny odziedziczyć fortunę Falierów. Odeszli w tej rozmowie od Gonzala do czegoś na kształt przesądu, który Brunetti zawsze uważał za źródło ludzkiej niechęci do sporządzania testamentów.

– Adopcja wystarczy? – zapytał.

– Tak.

Komisarz podniósł szklanekę i skierował ją ku światłu. Przechylił ją z boku na bok, następnie wprawił w ruch wirowy resztę trunku, który uniósł się ku brzegowi naczynia, by w końcu opaść. Hrabia mówił wcześniej, że nie lubi plotek, ale wszystko, co Brunetti przed chwilą usłyszał, nie wykraczało poza ich poziom.

Wypił łyk whisky, odstawił szklanekę i zapytał:

– Czemu mi o tym mówisz?

Orazio Falier przytknął prawą dłoń do kącika ust i naciągnął pomarszczoną skórę na policzku, po czym zrobił to jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem zmarszczki grały w chowanego, zawsze jednak wracały na swoje miejsce.

– Chcę się dowiedzieć – rzekł w końcu – czy potrzebuje pomocy, ale nie wiem, jak to zrobić. – Odwrócił wzrok, a potem znowu spojrzął na zięcia. – Pomyślałem, że pewnie znasz jakiś sposób.

– Może po prostu go zapytasz? – rzekł Brunetti nie dlatego, że nie chciał pomóc teściowi, ale dlatego, że zapytanie Gonzala wprost wydawało się najłatwiejszym sposobem uzyskania informacji.

Hrabia podniósł ręce na znak protestu, jakby Brunetti zaproponował rzecz nie do pomyślenia.

- Gonzalo poczułby się urażony.
- Tym, że potrzebuje pomocy?
- Tym, że doszedłem do takiego wniosku.

Brunetti już miał zauważyć, że być może dla Gonzala kończy się czas, gdy mógł sobie pozwolić na luksus samowystarczalności. Był już stary i słaby, więc fakt znalezienia się w potrzebie nie powinien stanowić ujmy na honorze. Komisarz w porę zdał sobie jednak sprawę, że mówi do niemal równie sędziwego, choć pewnie nie tak słabego jak Gonzalo mężczyzny, który z pewnością nie chciałby usłyszeć podobnych słów.

- O czym myślałeś? – zapytał.

Hrabia nie był w stanie ukryć zakłopotania.

- W jakiej kwestii?
- W jaki sposób mu pomóc.

Falier patrzył długo na Brunettiego, po czym odwrócił wzrok.

– Nie wiem, Guido – odparł, najwyraźniej zaskoczony pytaniem. – A gdybym ci podał nazwisko tego młodego człowieka?

- Którego Gonzalo chce adoptować?

– Tak – odparł *conte*. Podniósł szklankę i wyglądał na zdziwionego faktem, że znowu jest pusta. Odstawił ją na stół i odwrócił się do zięcia. – Kilka lat temu, może dziesięć, u Gonzala przez krótki czas mieszkał jakiś młody mężczyzna.

Brunetti udawał, że jest mchem na skale, siedział i czekał. Mógłby padać deszcz, obok mogłoby przechodzić ludzkie, zwierzęta mogłyby skubać jego brzegi. On siedziałby i czekał. Nie założył nogi na nogę ani nie poruszył stopami. Jego ręce spoczywały na poręczach fotela, a szklanka mogłaby równie dobrze znajdować się w innym pokoju. Albo na innej planecie.

- Trwało to tylko kilka miesięcy. Nie tutaj. W Rzymie.

Brunetti wpatrywał się w podłogę i czekał.

– Ten młodzieniec był synem prawnika: z porządnej rodziny, studiował we Francji, wydawało się, że ma mnóstwo pieniędzy – hrabia nagle umilkł, po czym rzekł: – Wiem, że to brzmi jak kolejne plotki, ale to wszystko prawda. Ów młody mężczyzna okazał się rozwydrzonym człowiekiem. Zażywał narkotyki, a do tego nimi handlował. Sprzedawał je ludziom, których poznał dzięki Gonzalowi, a w końcu został aresztowany na lotnisku w Bogocie z walizką pełną kokainy. Policja pozwoliła mu zatelefonować do ojca, ale on nie chciał rozmawiać z synem. Nazajutrz rano ojciec zadzwonił do Gonzala i powiedział mu, gdzie znajduje się chłopak. Zanim jednak Gonzalo skontaktował się z kolumbijską policją, młody człowiek powiesił się w celi. – W tym momencie hrabia zawahał się i bacznie przyjrzał twarzy Brunettiego, zanim dodał: – Tak przynajmniej twierdziła policja.

Komisarz miał mgliste wspomnienie tej sprawy i wiedział, że ani w gazetach, ani w żadnych oficjalnych doniesieniach, które czytał, nie było wzmianki o Gonzalu.

– Jak zdołał się z tego wyplątać? – zapytał.

Hrabia prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale nietrudno sobie wyobrazić, prawda?

Owszem, zwłaszcza w przypadku człowieka tak ustosunkowanego i zamożnego jak Gonzalo, pomyślał Brunetti, ale tego nie powiedział. Jedną z zasad jego profesji brzmiała: nigdy nie ujawniać informacji tym, którzy nie byli do tego oficjalnie uprawnieni.

– Nigdy nie dotarła do nas prośba... z Rzymu ani innych miejsc... byśmy mieli Gonzala na oku. Ktokolwiek więc tam się nim opiekował, dobrze się spisał.

Hrabia podniósł butelkę. Brunetti pokręcił głową i zakrył dłonią szklankę. Hrabia Falier odstawił trunek.

– Chcę go ochronić przed popełnieniem podobnego błędu – rzekł i zanim Brunetti zdążył zapytać, dodał: – Tak, i proszę, byś zrobił to dla mnie.

Rozdział 3

Żeby przerwać ciszę, która zapanowała po ostatniej uwadze hrabiego, Brunetti zapytał:

– Czy któryś z twoich pozostałych przyjaciół coś o nim mówił?

– Nie, niezupełnie.

– Co to znaczy „niezupełnie”?

To pytanie zaskoczyło starszego mężczyznę.

– Od jakiegoś czasu nikt mi nic nie mówił o Gonzalu. Z tego, co wiem, Lodo jest jedyną osobą, z którą rozmawiał.

– Czy jego najbliżsi mogliby coś wiedzieć?

– Jedyną osobą, którą mógłbym zapytać, jest Elena, ale wolałbym tego nie robić.

– Dlaczego nie innych członków rodziny?

– To rodzina, która stała się bardzo bogata – odparł *conte*. – Ludzie ich pokroju nie lubią mieć kłopotów.

Komisarz powstrzymał odruchową chęć, by zauważyć, że żadna rodzina nie lubi ich mieć.

– Konserwatyści?

Hrabia nagle parsknął śmiechem.

– Gonzalo powiedział mi kiedyś, że jego rodzice obawiali się, że go zdeprawuję.

– Słucham? – Brunetti nie był w stanie wymyślić żadnej innej odpowiedzi.

– Pod względem politycznym – wyjaśnił *conte*. – Doszły do nich słuchy, że ani mój dziadek, ani mój ojciec nie byli faszystami.

Brunetti nie miał odwagi zapytać, czy to prawda.

– Kilka lat po moich narodzinach, ale jeszcze przed wojną, mój dziadek zdał sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza, załatwił więc mojemu ojcu orzeczenie o niepoczytalności – zaczął hrabia, mówiąc spokojnie, jakby chodziło o najnormalniejsze w świecie zachowanie rodzica. – Zamieszkaliśmy wszyscy w willi w Vittorio Veneto – ciągnął hrabia, odkrywając cały rozdział historii rodu Falierów, o którym Paola nigdy nie wspominała. – W ten sposób, wobec podejrzeń, że niepoczytalność może być cechą rodzinną, ustała presja, by dołączyli do faszystów. I żeby mój ojciec walczył. Dziadek był na to za stary, ja za młody, a ojciec obłąkany. – Hrabia zadumał się nad tym opisem, po czym dodał: – Zostaliśmy więc tam i zapomniano o nas, o wszystkich trzech pokoleniach.

– A twój ojciec? Co się z nim stało?

– Nauczył się, ile trudu wymaga gospodarowanie i uprawa ziemi.

– Wszyscy pozostaliście tam do końca wojny?

– Taki był plan dziadka, ale mój ojciec miał inne zamiary.

– Jakie? – zapytał zaintrygowany Brunetti.

– Chciał wstąpić do partyzantki – odparł hrabia. – Chyba pragnął zostać bohaterem.

– Aha – mruknął komisarz.

Hrabia się uśmiechnął.

– W czterdziestym trzecim poddaliśmy się aliantom i dziadek poprosił, żeby zanim ojciec cokolwiek zrobi, poczekał, aż sytuacja się wyklaruje.

– Dlaczego?

– Prawdopodobnie dlatego, że był starszy i mądrzejszy. Walczył w poprzedniej wojnie i widział, jak zachowywali się ludzie.

– Twój ojciec się zgodził?

Hrabia skinął głową.

– Niedługo po kapitulacji partyzanci zaczęli do nas przychodzić i żądać wydania zwierząt, których wcześniej nie zabrano na wzgórze. Dzięki Bogu rolnicy ukryli większość ziarna, kukurydzy i sera, więc mieliśmy co jeść. – Uśmiechnął się nagle i rzekł: – Była tam jedna stara wieśniaczka... miała

pewnie z dziewięćdziesiąt lat... która nie wpuściła ich do domu. Na poddaszu trzymała kurczaki. Było je słycać z zewnątrz, ale partyzanci bali się jej, więc zostawili ją w spokoju. – Poważniejąc, dodał: – Rok później przyszli Niemcy i zabrali drób.

Chcąc zakończyć tę rozmowę o przeszłości, hrabia powiedział:

– Rodzice Gonzala nie zaaprobowałiby tego, co zrobił mój dziadek.

– A ty aprobujesz? – zapytał ku własnemu zaskoczeniu Brunetti.

– Całkowicie – odparł hrabia bez wahania. – Dopilnował, żeby jego syn nie został wcielony do wojska i wysłany na front do Rosji, Albanii, Grecji bądź Libii. I dzięki temu ocalił mu życie. – Po długiej pauzie, gdy wydawało się, że pochłonęły go wspomnienia dawno minionych lat, zauważył: – Mój dziadek miał rację: ludzie zachowywali się paskudnie.

– Byłeś wtedy jeszcze małym chłopcem. Skąd się dowiedziałeś, co się stało?

– Ludzie, którzy teraz prowadzą gospodarstwo, powiedzieli mi, że w okresie dorastania słyszeli różne opowieści swoich rodziców i dziadków. Przekazywali mi je przez lata. – Zanim Brunetti zdążył zapytać, hrabia Falier zaznaczył: – Tak, między innymi z tego powodu nie mogę się zdobyć na sprzedaż willi. – Prostując się w fotelu, dodał: – Poza tym to pierwsze miejsce, jakie pamiętam, więc pewnie chodzi o przypadek naznaczenia piętnem: ono jest dla mnie domem.

– A to miejsce nie? – zapytał Brunetti, wskazując ruchem ręki ścianę pokoju, belki na suficie i widok przez okno na *palazzi* na drugim brzegu Canal Grande.

Twarz starszego mężczyzny złagodniała; podążył wzrokiem za spojrzeniem zięcia na drugą stronę kanału.

– Owszem, jest, ale w inny sposób – rzekł i po długim milczeniu ciągnął: – Czyż Święty Paweł nie pisze o tym, że był dzieckiem i myślał jak dziecko? Kiedy jednak stał się mężem, musiał się wyzbyć wszystkiego, co dziecięce.

Brunetti znał te słowa, ale nie pamiętał ich źródła.

– Tak więc willa to moje dzieciństwo. Ale to wszystko – rzekł hrabia, naśladowując zamaszysty gest zięcia – przypadło mi jako mężczyźnie.

Brunetti zeszywniał pod wpływem uczucia bliskiego strachu. Tylko nie pozwól, by zaczął gadać o tym, jak to wszystko pewnego dnia przejdzie na Paolę, a potem na Raffiego i Chiare, pomyślał. Nie chcę, żeby przerodziło się to w rozmowę o brzemieniu stuleci, które niebawem spadnie na nasze barki, o potrzebie dawania przykładu głodnym wieśniakom i dobrego ich traktowania. Nie chcę, żeby mi przypominano, że to nie ja zapewnię bezpieczną przyszłość swoim dzieciom, tylko ten człowiek oraz ich matka.

– Guido?

Brunetti spojrzał na hrabiego i dostrzegł na jego twarzy szczere zatroskanie.

Uśmiechnął się i rzekł:

– Przepraszam, Orazio. Myślałem o czymś innym. – Po chwili, zdając sobie sprawę, że pytanie, które zaraz zada, będzie pierwszym krokiem, zapytał: – Podasz mi nazwisko tego młodego człowieka?

Hrabia zacisnął usta w grymasie rezygnacji.

– Musisz obiecać, że nie będziesz się śmiał – powiedział w końcu, dziwnie poważny.

Porażony myślą o możliwościach, jakie sugerowało to żądanie, Brunetti odparł:

– Oczywiście.

– Attilio Circetti, marchese di Torrebarido.

Obietnica zachowania powagi była rzeczą rozsądną, ponieważ imię markiza wydało się Brunettiemu trochę śmieszne, podobnie jak śmieszyło go wiele imion arystokratów, które w życiu słyszał i o których czytał. Pragnąc przemóc jakoś uprzedzenie, pomyślał, że Attilio mógłby okazać się skromnym i bezpretensjonalnym młodzieńcem.

– Myślisz, że to o niego chodzi?

– Prawdopodobnie. Od dwóch lat mieszka w Wenecji.

– Wiesz o nim cokolwiek, do czego miałbyś całkowitą pewność? – zapytał Brunetti łagodnie.

– Bardzo niewiele. To znaczy niewiele, do czego miałbym pewność. – Brunetti nadal milczał, zmuszając hrabiego do dalszych wyjaśnień. – Mówiłem ci, że nie lubię plotek. Ale słyszę ich mnóstwo. Ponieważ ludzie wiedzą, że przyjaźnię się z Gonzalem, mogą tonować to, co o nim mówią.

– O Gonzalu?

– Nie, o tym drugim mężczyźnie.

– A co słyszałeś?

– Że często widuje się go z Gonzalem, a Gonzalo bardzo go lubi. Nierzadko w podtekście pojawia się informacja, jaki jest bystry i czarujący. Wydaje się, że nikt nie ma pewności, kim jest z zawodu ani czy w ogóle ma jakiś zawód. Bywa na kolacjach i przyjęciach w całym mieście, ale chyba niewiele o nim wiadomo.

Doświadczenie Brunettiego wskazywało, że w pewnych weneckich kręgach to częsta sytuacja: dżentelmen idealnie nadający się do zaproszenia na kolację, gdy trzeba zapewnić odpowiednią liczbę panów. Dyskretny, życzliwy, dobrze wychowany, z jakiegoś powodu znający niemal wszystkich zebranych, potrafi rozmawiać na większość tematów i twierdzi, że zna mnóstwo weneccjan. A mimo to nigdy nie wiadomo, czym dokładnie się zajmuje ani gdzie właściwie mieszka jego rodzina, on zaś umie sprawić, by pytanie go o to wydawało się czymś niegrzecznym.

– Poznałeś go?

– Uczestniczyłem w dwóch kolacjach, na których i on był, ale nie miałem okazji z nim rozmawiać – wyjaśnił hrabia.

– Krążą jakieś inne plotki?

Hrabia pokręcił głową.

– Nic bezspornego ani jasnego. Kiedy jednak pada jego nazwisko, pojawia się pewien ton... a raczej nuta. – To powiedziawszy, conte Falier spojrział na zięcia, który skinął głową. – Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, Guido – zakończył ściszym głosem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, po czym hrabia rzekł:

– Jeszcze jedno.

Brunetti okazał zaniepokojenie, unosząc głowę.

– Mniej więcej rok temu widziałem ich na ulicy. Na Calle de la Mandola.

– Falier się zawahał, ale zdopingowany milczeniem Brunettiego szybko podjął przerwany wątek: – Zachowywali się tak, że pomyślałem... Cóż, pomyślałem, że to niestosowne w tym miejscu, o drugiej po południu. – Po chwili *conte* dodał siłą woli: – Kiedy następnym razem spotkałem się z Gonzalem, napomknąłem coś o tym.

– Powiedziałeś mu to?

– Cóż, coś w tym stylu. – Hrabia, podobnie jak jego córka, miał pamięć, w której nic nie ginęło: pamiętałby dokładnie swoje słowa.

– Jak zareagował?

– Położył serwetkę obok talerza, wstał i wyszedł.

– Powiedział coś?

Hrabia spojrział przez okno, ale widoczny po drugiej stronie *palazzo* nie miał mu nic do zakomunikowania.

– Nie.

– I od tamtej pory cisza?

– Tak.

Brunetti wstał i podszedł do okna. Przebywał w towarzystwie teścia już ponad godzinę. Miał ochotę wrócić do domu. Mógł odmówić jego prośbie z wielu powodów: spełnienie jej oznaczało nadużycie zasobów policji, a on sam był zbyt zajęty innymi sprawami. Wiedział jednak, że prawdziwa przyczyna jest zupełnie inna: wolał nie brać w tym udziału, nie miał ochoty wtykać nosa w prywatne życie Gonzala.

Pomyślał, że wróci do domu i porozmawia o tym z Paolą, ale nie chciał, żeby znalazła się między młotem ojca a kowadłem męża. Nie chciał również zdradzać, że śledztwo dotyczy jej ojca chrzestnego.

Na zewnątrz przepływały łodzie; słyszał je, ponieważ *palazzo* jako perła architektonicznego dziedzictwa miasta nie mógł mieć okien z podwójnymi szybami, więc dźwięki silników i syren stanowiły normalne tło wszystkich rozmów prowadzonych w pokojach od frontu. Pokoje w głębi pałacu były ciemniejsze i cichsze.

Taksówka wodna z rykiem zmierzała w stronę San Marco, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość, nic jednak nie dało się na to poradzić. Brunettiemu przyszło do głowy, że w Wenecji niemal na nic nie da się nic poradzić.

– Czy mógłbyś dla mnie coś zrobić? – przerwał jego rozmyślenia hrabia Falier.

– Co takiego?

– Jutro wieczorem Lodo wydaje przyjęcie. Chciałbym, żebyście się na nie wybrali. Rozmawiałem z nim i oboje, Paola i ty, jesteście zaproszeni.

O mały włos, a Brunetti nie powstrzymałby się od zapytania: „Na przespiesi?”. Zamiast tego powiedział:

– Gonzalo będzie na tym przyjęciu?

– Tak.

– Z tym młodym człowiekiem?

– Tak.

– Przykro mi, Orazio, ale wolałbym tego nie robić.

Hrabia westchnął, po czym rzekł:

– Spodziewałem się, że tak zareagujesz, ale i tak chciałem cię o to prosić.

– Po chwili wahania dodał: – To przyjęcie będzie inne. Chcę, żebyś zobaczył ich razem i zdecydował, czy warto próbować przekonywać... – Pozwolił, by reszta słów uleciała.

Komisarz się zastanawiał, czy to jakaś próba rodzinnej lojalności. Czy teść powie Paoli, jak jej mąż zawiódł resztę zespołu? Czy będzie to oznaczało zmianę w jego z trudem nawiązanej przyjaźni z hrabią?

Starszy mężczyzna wstał i potrząsnął nogawką spodni, by luźno opadła. Podeszedł do Brunettiego i razem patrzyli na łodzie przepływające przez

kanał. W końcu rzekł:

– Z upływem czasu tyle rzeczy w tym mieście wydaje się coraz dziwniejsze. Naprzeciw nas stoi *palazzo*, który został wybudowany w piętnastym wieku i nadal ma oryginalne kolumny i okna. Trochę dalej znajduje się pałac, w którym Henry James napisał *Autografy Jeffreya Asperna* i który moja córka traktuje tak, jakby przez to się stał Grobem Pańskim. A ja właśnie poprosiłem kogoś, kogo kocham, o szpiegowanie innej ukochanej przeze mnie osoby.

Te ostatnie słowa poruszyły serce Brunettiego, odbierając mu mowę. Wyciągnął rękę i objął stojącego obok teścia. Zszokowany wąłością jego ramion powstrzymał się przed próbą przyciągnięcia go do siebie. Pochylił się, pocałował hrabiego w skroń i powiedział:

- Przekażę Paoli i dzieciom pozdrowienia od ciebie.
- Dziękuję, Guido – odparł Falier, nie odwracając wzroku od łodzi w dole.

Brunetti zostawił wpatrzonego w przeszłość teścia przy oknie.

Rozdział 4

Brunetti szedł do domu szybko, niemal nie zwracając uwagi na to, kogo i co mijają, głuchy na odgłos powracających ptaków, jedynych turystów, do których nikt nie żywił urazy. Nie przestał jednak rozmyślać o tym, co właśnie się stało. Przez lata hrabia traktował go najpierw z uprzejmością i szacunkiem, potem z rosnącą sympatią, a w końcu z miłością, którą starszy człowiek obdarzał najbliższych przyjaciół i rodzinę. Przez dekady conte Falier nie szczędził czasu ani, co równie ważne, koneksji, żeby dostarczać Brunettiemu informacji, które torowały mu drogę w skomplikowanych śledztwach dotyczących polityków i tych, którzy sprawowali władzę. Hrabia miał dostęp do wielu z nich i zawsze bez wahania dzwonił i przedstawiał Brunettiemu człowiekowi posiadającemu informacje, które mogłyby się okazać przydatne. Nie wzdragał się również, gdy trzeba było wywrzeć nacisk na znajomego, żeby ujawnił Brunettiemu fakty dotyczące zdarzenia z jego przeszłości, które mogłyby prowadzić do zenujących konsekwencji, gdyby stały się powszechnie znane. Wszystko to, i nie tylko to, Brunetti starał się znaleźć i znajdował pod opiekuńczymi skrzydłami władzy tego człowieka.

Gdy dotarł na pierwsze piętro budynku, w którym mieszkali, serca waliło mu jak młotem, oddech miał coraz krótszy i coraz bardziej gwałtowny. Przystanął na podeście przed drzwiami Lambrinich, wyjął swój *telefonino* i wstukał numer hrabiego.

Conte Falier odebrał już po drugim sygnale.

– Tak, Guido?

– Rozejrzę się – rzekł komisarz. – I pójdziemy na to przyjęcie.

Zapadła długa cisza, po czym hrabia powiedział:

– Dziękuję. – Po kolejnej chwili przeciągającej się ciszy Brunetti usłyszał, jak wypowiada po angielsku słowa, które dotychczas słyszał

w ustach teścia tylko wtedy, gdy zwracał się do Raffiego, swojego wnuka, nadziei rodu, swojego oczka w głowie: – Drogi chłopcze.

Zanim Brunetti dotarł na podest schodów na ich kondygnacji i wsunął klucz do zamka, jego serce i oddech odzyskały swój normalny rytm. Co zawsze mówiła Paola? „Miłość bierze górę nad zasadami”? Tak, być może.

Wszedł do mieszkania i dopiero powiesiwszy marynarkę obok drzwi, uświadomił sobie, jak bardzo drażniła go swoim ciężarem i grubością. Podszedł do przeszklonych drzwi i wyjrzał na taras. Jego wyłożona kafelkami powierzchnia była zamieciona i umyta, a dwa z foteli zostały ustawione z powrotem; stołu nie było jednak na swoim miejscu. Brunetti usłyszał ćwierkanie ptaków. Ogarnęła go radość: znowu była wiosna, ptaki wróciły. Żył w zgodzie ze swoim teściem i uchronił się przed zachowaniem się w stylu niewdzięcznego prostaka. Żałował, że się już ściemniło i że nie może wyjść na dwór, zdjąć krawat oraz koszulę i pozwolić, by promienie słońca ogrzały mu pierś.

Usłyszał dobiegające z kuchni kroki i odwróciwszy się, ujrzał nadchodzącą żonę. W tym momencie zapragnął sfotografować swoje odczucia, żeby później, gdy wszystko się zmieni, móc wydobyć z przeszłości to zdjęcie, spojrzeć na nie i rzec: „Wiodłem szczęśliwe życie”.

– Wcześniej dzisiaj przyszedłeś – powiedziała Paola z wyraźną radością.

– Usiądźmy na tarasie – zaproponował, nie przejmując się tym, że było prawie ciemno. Chciał się przekonać, czy jeszcze tli się łagodność dobiegającego końca dnia.

Zrobili dokładnie to, czego pragnął, usiedli obok siebie, tak blisko, że dotykali się udami, i słuchali, jak ptaki po drugiej stronie ulicy rozprawiają być może o tym, gdzie tego roku uwić gniazdo, lub kłóć się o robaka: Brunettiemu trudno było osądzić. W domach poniżej i w oddali zapalono lampy, chociaż od zachodu nadal docierało wystarczająco dużo światła, by odbijało się ono od dachów i dzwonnicy.

Powoli opowiedział Paoli o swojej rozmowie z jej ojcem, o swojej pierwszej reakcji i tej drugiej, nie wyjaśniając ani słowem, dlaczego zmienił decyzję, a potem wspomniął o zaproszeniu na kolację.

– Biedny Gonzalo – powiedziała Paola, gdy umilkł. Wzięła go za rękę. – Był taki szczęśliwy z Rudym, prawda? – zapytała, wymieniając imię poprzedniego partnera Gonzala, Rudy’ego Adlera, który zostawił go przed czterema laty i przeniósł się do Londynu. Od tamtej pory ludzie w Wenecji rzadko go widywali i niewiele o nim słyszeli. – Odkąd mu powiedział, bardzo się zmienił.

– Kto? Co? – zapytał Brunetti.

– Odkąd Rudy mu powiedział, że znalazł kogoś i wyjeżdża.

– Nie wiedziałem, że to z tego powodu – rzekł Brunetti dopiero po długim czasie. Pomyślał o łagodności Adlera i jego poczuciu humoru, ale zdobył się jedynie na wyświechtany frazes: – Przykro mi.

Paola uścisnęła jego dłoń i puściła ją, żeby odgarnąć kosmyk z oczu.

– Ja też nie wiedziałam, dopóki w zeszłym roku nie zobaczyłam się z Rudym w Londynie.

To powiedziawszy, wstała z fotela i próbowała dojrzeć coś na dziedzińcu naprzeciwko, skąd słychać było teraz głośnie piski.

– Co one wyprawiają, na litość boską? – zapytała, zwracając się nie wiadomo do kogo, i przeszła na koniec tarasu, skąd było lepiej widać.

– Pewnie walczą o terytorium – odparł Brunetti, po czym dodał: – Ptaki często to robią. – Paola milczała, wciąż spoglądając w dół przez balustradę. – Ludzie też walczą. – Jeżeli liczył, że sprowokuje ją do mówienia, to mu się nie udało.

Paola wróciła i zapytała:

– Masz dzisiaj ochotę na szparagi? Zobaczyłam je na targu i nie mogłam się oprzeć. Są z Sycylii i wyglądały wspaniale.

– Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Może po prostu ugotuję i zjemy je z jajkami.

– Ile kupiłaś?

– Kilogram. Tak ładnie wyglądały.

– Mam kupić szynkę?

Paola uśmiechnęła się i pochyliła, by pogłodzić męża po policzku.

– Już to zrobiłam.

Czyż jest lepszy sposób uczczenia nadejścia wiosny? – pomyślał Brunetti.

– W lodówce jest butelka szampana, prawda? – zapytał, pamiętając, że widział ją tam dzień wcześniej.

– Tak. Ostatnia z tych, które moi rodzice sprezentowali nam na Gwiazdkę.

Brunetti próbował sobie przypomnieć, ile skrzynek dostarczono z Drogheria Mascari: co najmniej cztery. Dobry Boże, czyżby wypijali go w takim tempie?

– Zanim zaczniesz myśleć o dołączeniu do Anonimowych Alkoholików, pozwól, że przypomnę ci, że ponad dwanaście butelek poszło w sylwestra. Gościliśmy u siebie co najmniej dwadzieścia osób.

– Zapomniałem – przyznał Brunetti.

Słyszając to, Paola zakryła twarz dłońmi, odwróciła się, pochyliła nad poręczą i głosem, który rezerwowała do naśladowania dialogów z oper mydlanych, zawołała w kierunku pustej *calle*:

– Trzy dni poświęciłam na przyrządzenie jedzenia na to przyjęcie. Trzy dni. A on zapomniał.

Brunetti zignorował żonę i skierował wzrok na dzwonnice bazyliki San Marco.

Z prawej strony dobiegł go odgłos tłumionego szlochania. Komisarz spojrzawszy szybko na Paolę i spostrzegł, że zerka na niego przez palce.

– Mam więc otworzyć tę ostatnią butelkę? – zapytał.

Paola opuściła ręce i się uśmiechnęła.

– Och, jaki świetny pomysł. – Podeszła do wciąż siedzącego męża i wsparła się na jego ramieniu. Potem się pochyliła i pocałowała go w czubek głowy. – To było wspaniałe przyjęcie, prawda?

– Bycie z tobą tutaj jest lepsze – odparł Brunetti.

Zapadło milczenie. Rozdzwoniły się kościelne dzwony: ich dźwięk sprawił, że Brunettiego ogarnęło poczucie spełnienia. Wstał i poszedł po alkohol.

Nazajutrz rano dotarł do komendy pół godziny przed czasem, mimo że nie było ryzyka, że jego zwierzchnik, vice-questore Patta, zjawi się tam przed nim. W rzeczywistości prawdopodobieństwo, że zastępca komendanta przyjdzie niebawem, było bliskie zera. Brunetti udał się do swojego gabinetu i przeczytał pocztę, po czym zszedł na parter, żeby porozmawiać z sekretarką swojego szefa, signoriną Elettrą Zorzi, którą zastał przy rozpakowywaniu żonkili i wkładaniu ich do wysokiego kryształowego wazonu. Kilka dużych arkuszy papieru leżało już na biurku; Elettra zajmowała się ostatnim pękiem kwiatów.

– Ach, *commissario* – powiedziała do niego z uśmiechem, wkładając ostatniego żonkila do wazonu. Odwróciła się w stronę arkuszy i złożyła je równo na pół, potem we czworo, a następnie schyliła się, żeby umieścić je w odpowiednim pojemniku na lewo od biurka.

Wyprostowała się i podniosła wazon, zanim Brunetti zdążył podejść, żeby jej w tym pomóc. Postawiła go na parapecie okna, dokonała dwóch drobnych poprawek i wróciła do biurka.

– Czym mogę panu dzisiaj służyć? – zapytała, znowu się uśmiechając.

Brunetti zastanawiał się wcześniej, jak powinien to wyrazić, zważywszy, że chodziło o sprawę osobistą, niemającą nic wspólnego z pracą policji.

– Chciałbym, żeby się pani komuś przyjrzała.

Zauważył, że wyłogi jej bluzki mają kolor żółtka. Czy to ją skłoniło do przyniesienia z targu żonkili? Przypuszczał, że równie dobrze mogła kupić żółte tulipany, ale one nie stały prosto i nie krzyczały WIOSNA! tak jak żonkile.

– Któż to taki, *signore*?

– Nazywa się Gonzalo Rodríguez de Tejada – odparł komisarz, a potem dodał: – Urodził się w Hiszpanii.

– A nie w Polsce? – zapytała Elettra, włączając komputer.

Zamiast od razu łaskawie odpowiedzieć, Brunetti zacisnął usta, spojrzął w sufit i chwilę zaczekał.

– Dwadzieścia lat temu stał się obywatelem Włoch i zwrócił hiszpański paszport.

– W każdym razie łatwiej będzie go znaleźć niż Franca Rossiego – zauważyła Elettra, uderzając dłońmi z obu stron klawiatury w oczekiwaniu, aż komputer oznajmi, że jest do jej usług.

Gdy zaczęła wpisywać nazwisko Gonzala, komisarz dodał:

– Być może miał również tytuł, nie wiem jednak, czy to przeoczono, gdy zmieniał obywatelstwo.

Elettra oderwała wzrok od ekranu i zapytała:

– Coś jeszcze, *signore*?

– Przebywa tu od długiego czasu i jest właścicielem domu, powinien więc figurować w Ufficio Anagrafe. Mieszka przy Fondamento Nuove. Jeżeli ustali pani adres, to chciałbym wiedzieć, czy znajduje się w wykazie mieszkańców.

Signorina Elettra sporządzała listę: Brunetti z zadowoleniem zauważył, że choć sporadycznie, nadal używa papieru i pióra.

– I proszę sprawdzić wszystkie rachunki bankowe lub lokaty, jakie zdoła pani znaleźć tutaj bądź w Hiszpanii. Lub gdziekolwiek indziej, jeśli już o to chodzi. – Po chwili dodał: – I czy kiedykolwiek wpakował się w jakieś kłopoty.

Przy tym ostatnim słowie Elettra podniosła wzrok.

– To może potrwać. Nie wiem, czy... – zaczęła mówić, ale zamilkła.

Komisarz czekał, ponieważ jednak nie dokończyła zdania, kontynuował:

– Mogłaby pani przy okazji sprawdzić, czy gdzieś ma jakąś inną nieruchomość? – Zdał sobie sprawę, że odwleka moment ujawnienia jej, że na jego liście osób do sprawdzenia figuruje jeszcze jedno nazwisko.

– Hiszpania to żaden problem – zauważyła sekretarka Patty, a Brunetti pobiegł wspomnieniem do włamywacza, którego aresztował na początku swojej policyjnej kariery i który stwierdził: „Drewniane drzwi to żaden

problem”. – Mam tam przyjaciół – wyjaśniła. Pewnie chodziło o szefa banku centralnego.

– Jego rodzinę także – dodał komisarz. – Ma brata oraz dwie siostry. Prowadzą wytwórnię beretów.

Signorina Elettra dopisała coś do swojej listy.

– Zadowolę mnie wszystko, co pani znajdzie.

Zdając sobie sprawę, że nie ma już więcej pytań dotyczących Gonzala, Brunetti rzekł:

– Mam jeszcze jedno nazwisko. – Elettra skinęła głową, ale nie raczyła podnieść wzroku. – Attilio Circetti, marchese di Torrebarido.

To wystarczyło, żeby na niego spojrzała. Komisarz skinął głową.

– Wiem tylko, że mieszka tu od co najmniej dwóch lat.

Brunetti zobaczył, jak jej uśmiech powoli powędrował z ust do oczu.

– Aha – mruknęła, zapisując nazwisko. – W takim razie coś się pewnie znajdzie.

Brunetti odwrócił się w stronę drzwi, ale przywołał go głos Elettry.

– *Commissario?*

– Słucham? – rzekł, odwracając się do niej.

– Czy ta... kwerenda nie dotyczy przypadkiem sprawy prywatnej?

Brunetti zachował milczenie, dając sobie czas do namysłu, po czym zagrał na zwłokę.

– Czemu pani pyta?

– Gdyby kiedyś był obywatelem Hiszpanii, a śledztwo miałooby oficjalny charakter, to przypuszczam, że najpierw skontaktowałyby się pan z hiszpańskimi władzami i znałby pan już odpowiedź na część tych pytań. – Posłała mu promienny uśmiech odzwierciedlający jaskrawość kwiatów w wazonie i dodała: – Oczywiście to w ogóle nie ma znaczenia. Jeżeli jednak to sprawa niezupełnie oficjalna, zabiorę się do zbierania informacji w inny sposób. – Sprawiała, że jej uśmiech stał się jeszcze cieplejszy. – Bardziej dyskretnie.

– Rzeczywiście, *signorina* – przyznał komisarz. – Ten dyskretny sposób chyba byłby bardziej wskazany.

– Ale... – zaczęła, odwracając się od ekranu komputera, i znowu nie dokończyła zdania.

– Ale? – zapytał z uśmiechem Brunetti.

– Ale nie wiem, ile będę w stanie zrobić w tym czasie, który został.

Zdezorientowany komisarz zapytał:

– Został? Do czego lub komu?

– Mnie.

Gdyby piorun uderzył w budynek komendy, Brunetti byłby równie zaszokowany. Czyżby była chora? Zamierzała odejść? Stał i wpatrywał się w Elettę oniemiały.

– Co... – zaczął i zakasłał, próbując wymyślić sposób na położenie kresu panice. – Co się ma wydarzyć? – zapytał, po czym znowu zakasłał i dodał:

– Jeśli wolno zapytać. – Nie chciał wiedzieć. Nie chciał poznać odpowiedzi.

– Mój urlop – odparła, spoglądając na kolana, by coś strzepnąć, ale może i po to, żeby dać mu czas na zmianę wyrazu twarzy. – Tak wynika z grafiku urlopowego dla pracowników na przyszły miesiąc, *signore*.

– Oczywiście – rzekł Brunetti, odzyskawszy mowę. – Może mi pani przypomnieć, jak długo pani nie będzie? – Gdy kończył zdanie, znowu całkowicie panował nad swoim głosem.

– Piątek to mój ostatni dzień pracy. I nie będzie mnie przez trzy tygodnie.

Brunetti zacisnął usta i wsunął dłonie do kieszeni.

– Rozumiem – powiedział zdumiony faktem, że o tym nie wiedział. Wiedział, że powinien ją zapytać o różne rzeczy, ale nie był w stanie logicznie myśleć. – Mam nadzieję, że przyjemnie spędzi pani czas.

Elettra znowu się uśmiechnęła i odwróciła z powrotem do ekranu komputera.

Wchodząc po schodach, Brunetti zastanawiał się, jak to możliwe, że nikt go nie poinformował. Zawsze wiedział, kiedy Vianella, Griffoni i Pucettiego nie będzie w pracy, więc rzadko zwracał sobie głowę studiowaniem harmonogramu obsady stanowisk przed rozpoczęciem miesiąca, a czasem nie robił tego nawet potem. Przecież gdyby na trzy tygodnie mieli wyłączyć prąd, ludzie z pewnością by o tym mówili. On bez wątplenia powinien był o tym słyszeć. Zostały jedynie trzy dni. Przed urlopem Elettra musiałaby zająć się innymi sprawami, więc dyskretne sprawdzanie zapewne czekałoby do jej powrotu. Cóż, Gonzalo nigdzie się nie wybierał. Należałoby jednak powiadomić zarówno Vianella, jak i Griffoni, i komisarz poprosił o to sekretarkę Patty.

Zamiast wrócić do swojego gabinetu, szedł dalej po schodach, a potem korytarzem na tyłach budynku dotarł do klitki, którą przydzielono Griffoni jako gabinet. Drzwi były otwarte. Komisarz siedziała przy biurku, konstrukcji, którą wykonał dla niej jakiś znajomy. Jego powierzchnię stanowił kawałek deski wielkości trzech pudeł na banany, do której przykręcono lampkę biurową. Na biurku spoczywały iPad, kubek z ołówkami oraz, przynajmniej tego dnia, służbowy pistolet i kabura.

Korytarz był tak niski i wąski, że nikt nie mógł się zbliżyć do jej gabinetu niepostrzeżenie.

– Dzień dobry, Guido – powiedziała Griffoni, nie racząc się odwrócić.

– Wsadziłaś mi do ucha mikroprocesor? – zapytał komisarz.

Griffoni obróciła się na krześle, żeby spojrzeć na Brunettiego, a także przesunąć kolana, by mógł wejść do pokoiku, minąć ją i zająć drugie krzesło. Miała na sobie jasnoszary sweter, na oparciu krzesła wisiał czarny żakiet. Blondynkom w szarym czasem nie jest do twarzy, ale jej było, być może z powodu koloru oczu.

– Nie – odparła. – Poznaję odgłos twoich kroków.

Komisarz spojrział na swoje buty, jakby chciał sprawdzić, czy mają jakiś dziwny feler, który miałby zdradzać jego tożsamość. Wyglądały jak zwyczajne buty z brązowej skóry.

Griffoni się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

– Ludzie stąpają w różny sposób. Nauczyłam się rozpoznawać kroki wszystkich.

– Nawet porucznika Scarpy? – zapytał Brunetti, wymieniając nazwisko jej *bête noire*.

– Nadejście porucznika zwiastuje poprzedzająca go woń siarki – wyjaśniła z poważną miną. – Nie zwracam więc szczególnej uwagi na stukot kopyt. – Uśmiechnęła się ponownie, najwyraźniej uradowana, że może wyrazić się kąśliwie o poruczniku.

Brunetti skinął głową, zastanawiając się, czy jest ktoś, czyje kroki by rozpoznał.

– Poprosiłem signorinę Elettę, żeby poszukała informacji dla kogoś, kogo znam – zaczął wyjaśniać. Griffoni skinęła głową, czekając na ciąg dalszy. – Zajmie się tym, gdy wróci – dodał dumny ze spokojnego brzmienia swojego głosu.

– Dobrze – powiedziała Griffoni, po czym dodała: – I co my bez niej zrobimy?

Zadowolony, że Griffoni użyła słowa „my”, komisarz odparł:

– Będziemy się modlić.

Policjantka odczekała chwilę, a potem zapytała:

– Kim jest ten ktoś?

– Moim teściem.

Wyraz jej twarzy się zmienił, ciekawość zastąpiła rozbawienie.

– Nigdy go nie poznałam – powiedziała niepytana – ale wiele razy mijaliśmy się na ulicy.

– Skąd wiedziałaś, kim jest?

Posłała mu uśmiech, który zawsze starała się ukryć, gdy podejrzany ujawniał coś, co mogła wykorzystać.

– Jak powtarzasz mi, odkąd tu przybyłam, to jest Wenecja i wszyscy wszystkich rozpoznają.

– On ciebie rozpoznaje?

– Zauważa mnie. Teraz uśmiechamy się do siebie i wymieniamy ukłony. Ale jeszcze nie rozmawialiśmy.

– Z pewnością mogłabyś się przedstawić – rzekł Brunetti. – Pracujemy od lat i na pewno mówiłem mu o tobie.

– Och, Guido – powiedziała Griffoni. – Widać, że jesteś młody.

– Słucham?

– Nie zapominaj, że to człowiek z ubiegłego wieku. A może lepiej powiedzieć, że z minionej epoki. Dorastał w czasach, gdy kobiety nie rozmawiały z mężczyznami, którym ich nie przedstawiono.

Brunetti mimowolnie parsknął i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Claudio, na litość boską, on nie jest jakimś dinozaurem.

Griffoni nie przestawała się uśmiechać.

– Widziałam, jak się zachowuje, gdy spotyka ludzi, zwłaszcza kobiety. – Zanim komisarz zdążył coś powiedzieć, dodała: – Nie nosi kapelusza, ale gdyby nosił, prawdopodobnie uchylałby go na widok każdego mijanego mężczyzny. W przypadku spotykanych na ulicy kobiet całuje je w rękę. – Zawahała się, żeby dać komisarzowi szansę na odpowiedź, ale on milczał, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądały uliczne spacery u boku hrabiego. – W salonie robiłby to inaczej. Nawet nie zbliża ust do ręki: to pocałunek hipotetyczny. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i dodała: – Prawdopodobnie dlatego, że każda kobieta, której dłoń by całował, nosiłaby poza domem rękawiczki.

I znowu Brunettiemu odjęło mowę.

– Tacy mężczyźni nie rozmawiają z nieznanymi kobietami ani one nie rozmawiają z nimi, Guido. – Ponieważ Brunetti nie zakwestionował jej słów, zapytała: – O kim masz znaleźć dla niego informacje?

– O jego najlepszym przyjacielu.

– *Oddio* – powiedziała Griffoni, przykładając dłoń do ust. Po czym powoli, i jak wydało się Brunettiemu z żalem, stwierdziła: – W takim razie twój teść raczej nie jest...

– Nie jest kim?

– *A gentleman* – odparła po angielsku.

Rozdział 5

Potrzebował dość dużo czasu, żeby wytłumaczyć Griffoni, co hrabia powiedział mu o swoim najlepszym przyjacielu i sytuacji, w jakiej się znalazł: ponad sześćdziesiąt lat przyjaźni narażone na szwank przez zauroczenie, którego Falier nie aprobował. W tym punkcie swojej relacji Brunetti zawahał się na myśl o tym, że przecież nie ma bladego pojęcia, czy jego teść aprobuje wybór Gonzala, a nawet czy uważa, że ma prawo go nie aprobować. Hrabia wyraził opinię o nieprzystojnym zachowaniu dwóch mężczyzn na Calle de la Mandola. Był to wyraz dobrego wychowania, a nie osąd moralny.

Brunetti dobrnął do końca, nie wspominając, że początkowo odmówił teściowi pomocy.

– A co ty o tym myślisz? – zapytała komisarz Griffoni, gdy umilkł. Ponieważ nie odpowiedział, dodała: – Na temat adopcji?

– Oczywiście nie powinien tego robić – rzekł Brunetti, niewiele się zastanawiając.

– Ponieważ jest po osiemdziesiątce i stracił głowę dla mężczyzny młodszego o co najmniej dwa pokolenia? Czemu to takie niestosowne? – Zważywszy na opisywaną sytuację, ton Griffoni wydawał się dziwnie łagodny.

Komisarz spojrział na nią i zapytał:

– Nie dostrzegasz w tym nic dziwnego? Przy ponad czterdziestu latach różnicy wieku?

– Gdyby był jego rodzonym synem, nikt by się nad tym nie zastanawiał – odparła. – Wielu mężczyzn zostaje ojcami, mając pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat.

- Ich żony rodzą niemowlęta. Nie wydają na świat dorosłych mężczyzn.
- Brunetti rozłożył uniesione dłonie. – Rodzą niemowlęta.
- Nie musisz tego powtarzać, Guido. Zrozumiałam za pierwszym razem.
- Powtórzyłem, żebyś zrozumiała – odparł krótko komisarz.
- Rozumiem. Rozumiem też, że większość ludzi podejrzewałaby, że jego zainteresowanie mężczyzną o tyle lat młodszym musi mieć podtekst seksualny.

Już bez powściągliwości Brunetti rzucił:

- To przecież oczywiste.
- Au, au, au – jęknęła Griffoni, po czym na znak kapitulacji podniosła ręce na wysokość ramion. Przez chwilę milczała, opuściła dłonie na biurko, uśmiechnęła się i zapytała: – A jeśli nawet, to co z tego?

Brunetti skrzyżował ręce. Uświadomiwszy sobie natychmiast, jak niepewnie musi wyglądać w tej pozycji, ułożył dłonie na udach. Żałował, że w tej klitce nie ma jak spojrzeć w dal. Dotarło do niego, że wówczas mógłby tę całą sprawę ujrzeć w szerszej perspektywie.

Wcześniej nawet przez chwilę nie zwracał sobie głowy analizowaniem, co Gonzalo może czuć do tego młodego człowieka. Czy dlatego że jest gejem, nie jest zdolny do miłości, tylko kieruje się pożądaniem? Czy tak samo oceniałby heteroseksualnego mężczyznę związanego ze znacznie młodszą kobietą? Zdał sobie sprawę, że z pewnością tak, ale nie wykluczyłby możliwości, że darzą się miłością, przypuszczalnie nawet by im tego życzył.

Griffoni poruszyła się na krześle i założyła nogę na nogę. Brunetti wolałby, żeby siedziała nieruchomo: myślał, starał się to wszystko rozgryźć. Przyglądał się bacznie grzbietom swoich dłoni i odtwarzał w myślach tę rozmowę, napięcie w ich głosach, nacisk, który zarówno on, jak i Griffoni kładli na pojedyncze słowa, ton śledczych, który oboje przybrali.

- W porządku – rzekł, nadal unikając jej wzroku. – Liczy się tylko to, czy ten mężczyzna go kocha i będzie dla niego dobry. – W rzeczywistości

rozumiał, że to, czy młodzieniec kocha Gonzala, czy nie, jest bez znaczenia: ważne było to, czy będzie dla niego dobry. Gonzalo miał osiemdziesiąt pięć lat. Ile życia mu zostało? Przypomniał sobie, jak starszek, który najwyraźniej próbował uniknąć rozmowy, odchodził szybko, a potem bardzo powoli, z dłonią na biodrze, jakby chciał uśmierzyć ból.

– Sądzisz, że komputer signoriny Elettry będzie w stanie ci to powiedzieć? – zapytała Griffoni głosem łagodnym jak wiosenna bryza.

Brunetti podniósł szybko głowę i spojrzał na nią, daremnie doszukując się sarkazmu w wyrazie jej twarzy.

Wiedział, że nie będzie. Komputer mógłby jednak ujawnić, przynajmniej do pewnego stopnia, przeszłość mężczyzny, to zaś mogłoby być wskazówką co do teraźniejszości i tym samym prawdopodobnej przyszłości Gonzala.

Brunetti wstał, przecisnął się obok komisarz Griffoni i wyszedł za próg gabinetu.

– Muszę to przemyśleć – powiedział tytułem pożegnania, zanim ruszył w głąb korytarza. Griffoni nie odezwała się i nie odwróciła do niego. W połowie drogi do schodów przystanął i spojrzał wstecz, a potem wrócił i oparł się o framugę. Komisarz siedziała w tej samej pozycji, tyłem do niego, z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się blatowi biurka.

Nie zauważyła Brunettiego, ale coś w jej sylwetce się zmieniło, jakby stała się bardziej czujna, by lepiej słyszeć to, co mógłby powiedzieć.

– Dzięki, że powiedziałaś to, co powiedziałaś – rzekł komisarz.

Zobaczył, jak kiwa głową, ale się nie odwróciła.

Rozdział 6

Schodząc na dół do swojego gabinetu, Brunetti myślał o tym, jak bardzo analiza czyichś nieświadomych motywów i uprzedzeń przypomina brodzenie boso w mętnej wodzie: nigdy nie było wiadomo, czy nadepnie się na coś obrzydliwego lub uderzy paluchem w kamień. Zawsze uważał, że jest stosunkowo wolny od uprzedzeń i nawet częściowo zdołał utemperować swoją atawistyczną nieufność wobec południowców. Przynajmniej wobec niektórych.

Był również przekonany, że wyzbył się powszechnie przyjętych wyobrażeń o gejach, ale Griffoni dowiodła fałszywości tego przekonania. Czy nie różniły się one w niczym od uprzedzeń? Rozmyślając o tym, nie widział skręcającego w korytarz porucznika Scarpy i zauważył go dopiero wtedy, gdy omal na siebie nie wpadli.

– Dzień dobry, *commissario* – rzekł porucznik, podnosząc rękę, żeby zamarkować salut. Przewyższając Brunettiego zaledwie o parę centymetrów, ważył co najmniej piętnaście kilogramów mniej i przez to sprawiał wrażenie wyższego, niż był. Chociaż stał, wydawał się wisieć nad komisarzem.

– Dzień dobry, poruczniku – odparł Brunetti i chciał wyminąć Scarpę. Porucznik się nachylił, żeby zablokować mu drogę.

– Chciałem pana o coś zapytać, *commissario*.

– Słucham, poruczniku.

– Chodzi o wizytę komendanta Palermo.

– Tak? – zapytał Brunetti, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

– Kolacja. Dziś wieczorem. *Questore* chciałby wiedzieć, czy weźmie pan w niej udział.

Komisarz od wielu dni próbował znaleźć jakąś wymówkę i teraz już miał: kolacja u mecenasa.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Scarpa dodał:

– Powiedział, że bardzo mu zależy na pańskiej obecności.

– Komendantowi Palermo? – zdziwił się Brunetti. – Nigdy go nie spotkałem.

– Nie, *commissario*: komendantowi Wenecji – wyjaśnił Scarpa, cedząc słowa, jakby sądził, że Brunetti mógł nie słyszeć o swoim zwierzchniku lub nigdy go nie spotkać.

– Pochlebia mi to – rzekł komisarz – ale mam inne zobowiązania. – Przez moment rozważał pomysł, by dodać, że *questore* tak rzadko bywa w komendzie, iż przydałaby się okazja do przypomnienia sobie, jak wygląda, poskromił jednak odruchową chęć posłużenia się sarkazmem i tylko skinął porucznikowi głową, po czym odszedł.

Usłyszał z tyłu, jak Scarpa mówi:

– Dottoressa Griffoni powiedziała, że przyjdzie.

Brunetti zlekceważył pokusę, by powiedzieć, że przy okazji mogłaby dla niego robić notatki, i przekroczył próg swojego gabinetu. Nie chciał dać Scarpie satysfakcji zobaczenia, jak zamyka drzwi, podszedł do biurka i włączył komputer. Pierwsze, co ujrzał, gdy otworzył służbową pocztę, była czerwona chorągiewka przy e-mailu od inspektora Vianella z informacją, że podczas późnowieczornych rewizji w domach trzech zatrudnionych na lotnisku bagażowych, których obserwację prefekt policji zlecił ponownie weneckiej komendzie, ujawniono znaczne ilości biżuterii oraz wiele części kobiecej garderoby w oryginalnych opakowaniach i torbach. O tym, że z przeladowywanych na lotnisku walizek zniknęła część z tych przedmiotów, poinformowano wcześniej zarząd lotniska. Wszyscy trzej zatrzymani mężczyźni zostali doprowadzeni osobno na przesłuchanie.

Brunetti usłyszał jakiś odgłos i dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, że to cichy jęk dobiegający z jego własnej piersi. Śledztwo w sprawie

bagażowych stanowiło przedmiot wielokrotnie powtarzanych w komendzie żartów, a on nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

– Nie. Nie dam się. Nie dam się w to znowu wciągnąć.

Zaniepokojony szmerem od strony drzwi podniósł wzrok i ujrzał Vianella stojącego w progu z plikiem kartek w dłoni.

– Oj, dasz się, dasz – rzekł inspektor, po czym dodał z uśmiechem: – Jeżeli nie będziesz bardzo uważał.

Brunetti ruchem ręki zaprosił go do środka i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

– Łapiemy ich na tym już nie wiem od ilu lat, aresztujemy, czasem idą do więzienia, częściej nie, i niemal wszyscy lądują z powrotem w tej samej pracy.

– Dopóki znowu nie przyłapiemy ich na kradzieży – dopowiedział Vianello.

– Czemu się nie przeniosą do innego miasta? – zapytał komisarz. – Albo nie znajdą sobie innego zajęcia?

– Może lubią to, co robią – zasugerował inspektor, pozostawiając komisarzowi zrozumienie w pełni znaczenia swoich słów.

– To nienormalne.

Vianello wzruszył ramionami.

Ochłonawszy trochę, Brunetti zapytał:

– Powiedziałeś, że dam się w to wciągnąć. Jak?

– Jestem pewien, że Patta ma dla ciebie coś innego do roboty, coś, co nazwałby „zadaniem specjalnym” – zaczął Vianello. – Nie wiem, co zamierza, ale porucznik Scarpa rzucił już parę aluzji o tym, że ludzie muszą robić to, co im się każe. Coś w tym guście, a nie ma nikogo, kogo Scarpa chętniej widziałby w roli zmuszanego niż ciebie. Nienawidzi cię.

Brunetti nie był tym zaskoczony. Ta nienawiść była wzajemna.

– W porządku, Scarpa mnie nienawidzi. A Patta też za mną nie przepada – rzekł, jakby zaraz miał zacząć odmawiać litanie.

– To nieprawda – wtrącił inspektor. – U Patty nie chodzi o brak sympatii. On po prostu ci nie ufa. To nie to samo. Poza tym przez lata zrozumiał, że cię potrzebuje.

– Do czego?

– Nigdy się nie sprzeciwiasz, gdy przypisuje sobie zasługę za twoje sukcesy lub za sukcesy innych – wyjaśnił Vianello. – Chce mieć coś, czym mógłby ci zagrozić, żeby w momencie, gdy trafi się coś, czego nie zechcesz zrobić, jedynym wyjściem było dla ciebie podjęcie na nowo obserwacji na lotnisku. – Uśmiech inspektora nie był przyjemnym widokiem. – Pozwoli ci wtedy wybrać, nad czym wolisz pracować.

Równie dobrze obeznany z zachowaniami zastępcy komendanta jak Vianello, Brunetti musiał uznać słuszność tego rozumowania. Odsunął fotel od biurka i wstał. „Il Gazzettino” od lat wychwalała niesamowitą zdolność rozumienia umysłowości przestępców i tym samym przechytrzenia ich przez dottore Pattę, talent, któremu *vice-questore* zaprzeczał na wszystkich konferencjach prasowych, jakie zwoływał, żeby pokazać jego owoce. Sukcesy ugruntowały pozycję Patty w Wenecji: za każdym razem, gdy miał być przeniesiony do innej prowincji, burmistrz osobiście interweniował, żeby pozostawiono tego czarodzieja na miejscu, i w ten sposób zastępca komendanta wciąż roztaczał opiekę nad tym miastem niczym Madonna della Misericordia.

Brunetti podszedł do okna, lecz nie zobaczył niczego, co by mu się spodobało. Sukces osobisty go nie interesował, a pochwały wprawiały w zakłopotanie. W dzieciństwie grał w piłkę nożną i pokochał uczciwą rywalizację na boisku; być może jego oburzenie zbrodnią wynikało jedynie z obrzydzenia do tych, którzy łamali zasady fair play. Ważne było, żeby ich powstrzymać, a nie to, kto zdołał to zrobić.

– Jest jakaś sprawa, którą chce mi wcisnąć? – zapytał, nadal spoglądając przez okno.

– Nie ma żadnej. Żadnego polityka nie aresztowano za kradzież w sklepie; żaden zamożny lekarz nie pobił żony; żadnego biskupa nie przyłapano z ministrantem w zakrystii.

– Ani z ministrantką, mam nadzieję – rzekł Brunetti, próbując wnieść w życie duchowieństwa możliwość urozmaicenia.

– Pewne jest tylko to, że zostanie zaprezentowany jako mędrzec, który doprowadził do wyjaśnienia tej sprawy – wyjaśnił inspektor.

– I bardzo proszę, niech zostanie, bez względu na sprawę – zakończył komisarz. – Nie chcę znowu codziennie jeździć na lotnisko, żeby przesłuchiwać ich przełożonych i kolegów.

– Signorina Elettra... albo ja pod jej nieobecność... mogłaby przetworzyć część zeznań z innych śledztw: toczą się już od co najmniej dziesięciu lat – zaproponował radośnie Vianello, jakby ten pomysł właśnie przyszedł mu do głowy, po czym na ostateczny dowód jego skuteczności dodał: – Wiele z nich pochodziłoby z ust tych samych podejrzanych. – Ponieważ jego propozycja spotkała się z powściągliwym milczeniem Brunettiego, inspektor dorzucił: – Przypuszczalnie sam ich maglowałeś, mamy więc już nagrania z tych przesłuchań.

Wymusił tym w końcu uśmiech komisarza, który podniósł rękę i rzekł:

– Pamiętaj, Lorenzo, że nie wrócę na lotnisko.

– Oczywiście – powiedział Vianello i wstając, dodał: – Prawdopodobnie skończy się tym, że będziesz próbował coś zatuszować dla przyjaciela burmistrza.

– Jeśli miałbym wybierać, wolałbym wyjazdy na lotnisko – odparł Brunetti, a w nagrodę od odchodzącego inspektora usłyszał jedynie parsknięcie śmiechem.

Tamtego dnia próbowali zjeść na tarasie, ale po pięciu minutach zimno wzięło górę, Chiara dała za wygraną i odniosła swój talerz z powrotem do kuchni. Brunetti poddał się w następnej kolejności, wmawiając sobie, że to akt solidarności z córką. Raffi dołączył do nich kilka minut później i podszedł prosto do rondla z resztką *tagliatelle con peperoni gialli e piselli*.

Paola weszła do kuchni w chwili, gdy Raffi częstował się makaronem, i powiedziała głosem, któremu nadała głębokie, szorstkie brzmienie złoczyńcy ze spaghetti westernu:

– Nałożysz sobie jeszcze trochę, *caro*, a będzie to twój ostatni posiłek w tym mieście.

Brunetti widział, że Raffi trzyma na wpełniony talerz w lewej dłoni, a w prawej łyżkę z makaronem. Niedbale, jakby i tak zamierzał odłożyć ją do rondla, odwrócił się i to zrobił, po czym nakrył rondel, usiadł na swoim miejscu i zaczął pałaszować zmniejszoną porcję drugiej dokładki.

Paola podniosła rondel i nałożyła córce oraz mężowi więcej makaronu, a później odstawiła puste naczynie na kuchenkę.

– Zostało za mało, *mamma*? – zapytała Chiara, podnosząc talerz i proponując jej część swojej porcji.

– Nie, dziękuję, aniele. Zjadłam już dość – odparła Paola. – Poza tym jest jeszcze *vitello tonnato* – ciągnęła do momentu, aż powstrzymało ją przerażone spojrzenie córki. – Oraz *zucchine ripiene* dla ciebie – dodała po chwili, żeby zapobiec jej oburzeniu.

Gdy Brunetti zauważył, jak jego córka zaciska usta, już wiedział, że zamierza zlekceważyć domową zasadę niekrytykowania kulinarnych wyborów innych osób zasiadających przy stole. On, mięsożerca, który nigdy nie uznał za stosowne komentować słabości swojej córki wegetarianki do jajek, ograniczył się do cichego:

– Córeczko.

– W porządku – powiedziała Chiara, stawiając przed sobą talerz. – Ale nie mam ochoty znosić jej obrzydliwej woni.

– Dla niektórych z pewnością jest obrzydliwa – przyznała Paola zupełnie spokojnym głosem. – Ale mnie cielęcina bardzo smakuje, ponieważ zaś przyrządziłam ją w swoim domu, mam prawo zjeść ją tutaj.

– Czy nie jest to również mój dom? – zapytała Chiara głosem dorosłej osoby.

– Owszem, jest. Oczywiście – odparła Paola. – Ale ludzie, którzy mieszkają razem, muszą znosić siebie nawzajem oraz to, co robią.

– I to, co jedzą? – zapytała Chiara z przekonaniem kogoś, kto oczekiwał zaprzeczenia jako jedynej możliwej odpowiedzi.

– Oraz muzykę, której słuchają – stwierdziła Paola z rozstrzygającą dyskusją pewnością siebie.

Raffi pochylił głowę nad talerzem i przyłożył dłoń do skroni, by skryć twarz, i tym samym swój uśmiech, przed Chiarą.

Brunetti przyglądał się, jak córka decyduje, w jaki sposób zareagować: czy być urażoną ofiarą niesprawiedliwości, czy osobą, która z wdziękiem przyjmuje porażkę.

Chiara pogmerała w niedojedzonym makaronie, odłożyła widelec i napiła się wody, a potem zebrała widelcem reszkę sosu z talerza.

Rozdział 7

Brunetti wrócił do swojego gabinetu, ale uświadomił sobie, że wciąż myśli o prowadzonej przy obiedzie dyskusji o nawykach żywieniowych ludzi. Chiara, jak się wydawało, adoptowała całą planetę i teraz czuła, że ma obowiązek robić wszystko, co w jej mocy, żeby ją chronić. Stąd szklane butelki z wodą mineralną, wnoszone po pięciu biegach schodów z mrówczą wytrwałością i determinacją.

Brunetti zażądał odwzajemnienia przysług wyświadczonych niemal wszystkim lokatorom budynku przez dekady i uzyskał ich (z wyjątkiem dwójki francuskich prawników na pierwszym piętrze, którzy mu odmówili – a Brunetti postanowił zignorować ich decyzję) zgodę na pozostawianie skrzynek ze szklanymi butelkami z wodą pod głównymi schodami. Ponieważ nie było tam drzwi, do butelek mieli dostęp wszyscy lokatorzy. Nie kradli ich jednak – czego komisarz nie wykluczał – a ci mieszkający na górnych piętrach wnosili za każdym razem parę butelek i zostawiali je przy drzwiach na podeście schodów, żeby przy następnej okazji Brunetti pokonał z nimi resztę drogi do drzwi własnego mieszkania.

W rewanżu Chiara oraz – niekiedy – Raffi znosili worki z plastikowymi i papierowymi odpadami z mieszkań trzech starszych małżeństw i każdego ranka zostawiali je przy frontowych drzwiach śmieciarzom.

Jakże zmieniła się Wenecja za życia jego dzieci. Pamiętał matczyne opowieści o czasach jej dzieciństwa, gdy palili wszystko w *la cucina economica*, tym niezawodnym piecu, którym ogrzewano mieszkanie, na którym nastawiano wodę zarówno do gotowania, jak i do kąpieli, i przyrządzano posiłki; paliwem była makulatura, drewno bądź węgiel, które dostarczano do domu. Wtedy nikt nie mówił o zanieczyszczeniu, a jedynie o wszechobecnych drobnych ziarenkach miału węglowego, będących ceną, jaką płacono się za domowe ciepło. Co myślałaby

o obecnym cuchnącym zimą i wczesną wiosną powietrzu, o ciągłym ataku na wszystkie nabrzeża przypuszczanym przez przepływające łodzie motorowe, o tonach plastiku wrzucanego codziennie do pojemników na śmieci? Co tak naprawdę jego młoda matka mogła wiedzieć o plastiku?

Powrócił myślą do kwestii mięsa oraz decyzji Chiary, żeby go już nie jeść. W przeszłości nie miała zastrzeżeń, że oni je spożywają, o ile tylko dostawała w zamian coś innego. Ale okazało się, że cielęcina z rybą to dla niej stanowczo za dużo. Brunetti po raz pierwszy w życiu pomyślał o mięsie, czym ono jest, skąd pochodzi, co stanowi dla istot, w których... w tym momencie stwierdził, że nie potrafi znaleźć zadowalającego czasownika. Czy mięso i skóra „żyły” w organizmach swoich żywicieli, czy tylko tam pracowały lub funkcjonowały?

Próbował sobie przypomnieć, kiedy on, Raffi i Paola przestali żartować z Chiary i jej proekologicznych pomysłów oraz ideałów. Nie było żadnego decydującego działania ani komentarza, żadnego objawienia w drodze do Damaszku, a tylko kielkująca powoli świadomość, ile ma racji. Z tych bezcelowych rozmyślań wyrwał go jakiś hałas przy drzwiach. Gdy popatrzył w ich stronę, ujrzał signorinę Elettrę. Większość dnia spędziła przy komputerze i pewnie dlatego podwinęła rękawy bluzki, odsłaniając żółtą podszewkę mankietów. Komisarz zastanawiał się, jak taki drobny szczegół mógł dawać patrzącemu tak niewspółmiernie dużo przyjemności.

– Tak, *signorina*? – zapytał.

Sekretarka Patty podniosła trzymaną w dłoni szarą teczkę i podeszła do biurka. Uśmiechając się, położyła ją przed Brunettim.

– Ciekawe? – zapytał, przysuwając ku sobie dokumenty.

– Częściowo – odparła, najwyraźniej nieprzygotowana na inny wstęp. Wskazała teczkę. – Jest kilka rzeczy, których nie umiałam znaleźć. – Widząc zaskoczenie komisarza, szybko dodała: – Skontaktowałam się z przyjaciółmi, którzy chyba mogliby w tym pomóc, ale dopiero jutro.

Przez chwilę Brunetti myślał, że Elettra zaraz przeprosi za opieszałość swoich współpracowników. Zamiast to zrobić, spojrzała na zegarek i powiedziała:

– Dopóki nie odpowiedzą, nic więcej nie zdziałam, więc chyba już pójdę.

– A zastępca komendanta? – zapytał komisarz, wiedząc, że ta niewielka ilość pracy, jaką wykonywał Patta, zazwyczaj odbywała się późnym popołudniem.

– Poszedł już do domu, *dottore*. Zanim wyszedł, powiedział, że chce z panem o czymś porozmawiać, ale to może poczekać do jutra.

Brunetti posłał jej spokojne spojrzenie, lecz Elettra w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami, pozwalając, by sam się domyślił, jakie Patta może mieć wobec niego zamiary.

– Dziękuję za to – rzekł, życzył jej miłego wieczoru i sięgnął po teczkę.

Czas płynął. Ktoś stojący na dachu budynku po drugiej stronie kanału ujrzałby w gabinecie naprzeciwko krzepkiego mężczyznę siedzącego przy biurku i powoli przedzierającego się przez informacje zapisane na kartkach, które leżały przed nim, na lewo od klawiatury komputera. Od czasu do czasu przenosił wzrok na okno, po czym krzyżował ręce i siedział w tej pozycji przez dłuższy lub krótszy czas. Spojrzenie miał tak nieprzytomne, że i tak nie zauważyłby obserwatora na dachu.

Kiedy indziej mężczyzna odwracał się ku swojemu komputerowi, wstukiwiał coś na klawiaturze i spoglądał w ekran, następnie w okno, a potem znowu w ekran. Co jakiś czas ponownie patrzył na kartki; niekiedy notował coś na jednej z nich lub na kilku po to tylko, żeby wrócić spojrzeniem na ekran.

Raz wstał i podszedł do okna, ale jego wzrok nie powędrował w stronę dachu budynku naprzeciw. Jeśli już, to kierował go w otwartą przestrzeń nad dachem. Stojąc tam, kilkakrotnie wsadził dłonie do kieszeni spodni i wspiał się na palce, po czym wrócił do biurka.

Po pewnym czasie, spoglądając na kartki, poderwał się niczym po uderzeniu pioruna i poklepał po piersi ruchem, który zatrwożyłby każdego obserwatora. Potem jednak wsunął dłoń pod połę marynarki, wyciągnął telefon i przytknął go do ucha. Przez pewien czas słuchał, przez jakiś czas mówił, znowu słuchał, próbował coś powiedzieć, ale się powstrzymał,

słuchał jeszcze chwilę, dotknął ekranu aparatu i schował telefon do kieszeni marynarki.

Wydawało się, że mówi do siebie, po czym znowu odwrócił się do komputera. Długo skupiał wzrok na jego ekranie, sunąc palcem wskazującym po marginesie i raz po raz przerywając lekturę, by spojrzeć na przeciwległą ścianę.

Powrócił do wydruku i studiował go, dopóki nie przewrócił ostatniej kartki i nie położył na niej dłoni, jakby pragnął, żeby przekazała mu istotę zawartości dokumentu. Po długim czasie zebrał kartki i starannie wyrównał plik. Włożył go do złożonego egzemplarza „Il Fatto Quotidiano” i przesunął na drugą stronę biurka. Nachylił się bliżej ekranu, potarł oczy, a potem twarz i siedział w tej pozycji przez kilka minut. Ujął mysz i zakreślił nią koło, po czym odsunął dłoń. Wówczas światło na ekranie zgasło, czyniąc mężczyznę niewidzialnym w mrocznym już teraz gabinecie.

Światła na *riva* u stóp budynku, blado oświetlające mężczyznę i sprzęty, powoli wypełniły pokój szarym półmrokiem. Mężczyzna odchylił się w fotelu i podniósł ręce nad głowę, chwytając dłonią nadgarstek drugiej ręki. Kilka razy poruszył nimi z boku na bok, uwolnił nadgarstek i ułożył dłonie na poręczach fotela. Wstał, zamierzał sięgnąć po gazetę, ale cofnął dłoń i nie podniósł jej z blatu biurka. Ruszył w stronę drzwi i wyciągnął rękę ku klamce. Gdy prowadzące na korytarz drzwi się otworzyły, do gabinetu wdarł się błysk światła. Mężczyzna wyszedł za próg i zamknął drzwi.

Rozdział 8

Komisarz szedł do domu zwykłą drogą, przez Campo SS Giovanni e Paolo, Campo Santa Marina i dalej mostem Rialto. Bez namysłu skręcił u stóp mostu, żeby pójść Riva del Vin, a potem przeciąć Campo San Silvestro. Chociaż jego nogi znały trasę, którą podążał, umysł nie zwracał na nie większej uwagi i pozwalał im robić, co chcą, przekonany, że zaprowadzą resztę ciała komisarza do domu.

Znalazłszy się u stóp schodów prowadzących do własnego mieszkania, zapomniał o wodzie mineralnej i ruszył w górę z pustymi rękami. Dopiero na trzecim podejściu, gdy dostrzegł cztery butelki ustawione obok drzwi mieszkania Nicchettich, zdał sobie sprawę, że w zasadzie drogę do domu pokonał w stanie lekkiego otumanienia.

Pochylił się, chwycił w obie dłonie po dwie butelki i kontynuował wspinaczkę do swojego mieszkania. Przed drzwiami nadal był tak nieprzytomny, że musiał się zatrzymać i zastanowić przez chwilę, co powinien zrobić z butelkami, zanim sięgnie po klucze. Odstawił wodę i otworzył drzwi. Podniósł butelki i wszedł tyłem do mieszkania. Zamknął drzwi, postawiwszy butelki na posadzce. Potem znowu je podniósł i zabrał do kuchni. Wydawało się, że kuchenny blat jest dla nich wystarczająco dobrym miejscem.

W lodówce znalazł otwarte pinot grigio. Napełnił nim kieliszek i zabrał go do salonu, pozostawiając niezakorkowaną butelkę z winem na blacie obok butelek z wodą. Usiadł na kanapie, wsunął poduchę za plecy, wyprostował nogi i oparł stopy na niskim stoliku przed sobą.

Dokumenty, które dostarczyła mu signorina Elettra, celowo zostawił w komendzie – pragnął zmusić się do zapamiętania, co czytał, był przekonany, że najważniejsze wydarzenia pierwsze zapiszą mu się w pamięci. Gdy siedział w salonie, pozwalając sobie na chwilę odprężenia,

zawarte w raporcie informacje ułożyły się w ciąg i zaczęły zapadać mu w pamięć.

Pierwszy zapamiętany fakt był najbardziej zaskakujący: gdy Gonzalo miał dwadzieścia parę lat, jego ojciec, właściciel fabryki kapeluszy, wykupił w lokalnej gazecie całą stronę, żeby ogłosić drukiem, że Gonzala nie należy już uważać za jego syna. Nie mieszkali w Madrycie, lecz w średniej wielkości mieście na północy, którym jego rodzina rządziła w zasadzie od stuleci. Gonzalo był pierwszy w kolejce do zastąpienia ojca w roli głowy rodziny, właściciela fabryki oraz wicehrabiego... Brunetti nie pamiętał już nazwy tego miejsca. W ogłoszeniu prasowym, którego kopia znajdowała się w teczce, wyraźnie dano do zrozumienia, że instytucja zwana Deputacją grandów czegoś tam usunęła Gonzala ze swoich szeregów.

Ponieważ w dokumencie nie było wzmianki o przyczynie wydziedziczenia, wybór był otwarty; Brunetti obstawiał politykę lub zarzut sodomii. Hiszpania końca lat pięćdziesiątych: bogata konserwatywna rodzina, frankiści. Z pewnością nie chodziło o to, że Gonzalo zastawiał potrzaski na szczygły.

Wydziedziczenie prawdopodobnie skłoniło Gonzala do dążenia do sukcesu i bogactwa na własną rękę, a signorina Elettra zdołała dostrzec go na tej drodze. Wyruszył do ziemi obiecanej i znalazł ją w Argentynie, gdzie został farmerem, potem eksporterem wołowiny, a później milionerem. Signorina Elettra nie znalazła dowodów, że gdy tam przebywał, w jakikolwiek sposób angażował się w politykę: miał swoje krowy i wydawało się, że to mu wystarcza. Potem, pod koniec lat sześćdziesiątych, w akcie najwyraźniej dobrowolnej emigracji spakował się i przeprowadził do Chile. Znowu zaczął gospodarować na roli, stronił od polityki, pozostał tam przez pierwszy rok rządów Pinocheta i w połowie lat siedemdziesiątych wrócił do Hiszpanii.

Jego ojciec zmarł sześć lat wcześniej, ale Gonzalo najwyraźniej nie zgłosił roszczeń do udziałów w rodzinnej firmie. Otworzył za to

w Madrycie galerię specjalizującą się w sztuce prekolumbijskiej i po kilku latach miał już galerie w Paryżu, Wenecji i Londynie.

Brunetti spojrział w lukę między swoimi podniesionymi stopami. Słońce już dawno zaszło, ale widział prostokąty światła i, w oddali, dzwonnice: wystarczyło mieszkać na górnej kondygnacji, by widzieć ją oraz słyszeć z niemal wszystkich dzielnic miasta.

Dopił wino i pochylił się, żeby odstawić kieliszek na stolik, po czym powrócił do rozważania urzędowych świadectw, które różne urzędy zgromadziły na temat Gonzala, gdy ten wędrował przez świat i przez lata.

Zakup mieszkania w Wenecji, gdzie najwyraźniej wciąż mieszkał sam, został zarejestrowany w Ufficio Catasto ponad dwadzieścia lat temu i dokonany po cenie, która teraz sprawiłaby, że każdy poszukujący własnego lokum skreślałby się z zazdrości. Brunetti wiedział wystarczająco dużo o kupowaniu domów, żeby się orientować, iż cena deklarowana w dokumentach urzędowych stanowiła pewnie połowę kwoty zapłaconej przez Gonzala, ale nawet jeśli mieszkanie kosztowało trzy razy więcej, to i tak zakup był okazyjny.

Kopie pozwoleń na remont, które signorina Elettra znalazła w różnych urzędach, świadczyły, że ta niska cena odzwierciedlała stan ruiny, w jaką popadło mieszkanie. Wykaz pozwoleń na prace budowlane był imponujący: nowy dach i okna, instalacja grzewcza, nowa instalacja elektryczna, dwudziestocentymetrowa warstwa izolacji pod dachem oraz trzy łazienki i rekonstrukcja trzech ścian.

Paola zauważyła kiedyś, że dom to tylko dziura w ziemi, obok której stoi właściciel, podczas gdy głęboki głos z dołu woła: „Daj mi euro, dinary, franki, korony, jeny, dolary, dukaty, swojego pierwородnego syna, krew. Daj mi wszystko”. Miała rację, pomyślał.

Dokumenty, które udało się zdobyć sekretarce Patty, świadczyły jedynie o rodzaju i zakresie robót remontowych, nie o ich koszcie ani o nieuniknionym wzroście kosztów. Mieszkanie uznano za „nadające się do zamieszkania” dwa lata i cztery miesiące po wydaniu pozwoleń, sześć lat

i trzy miesiące po wystąpieniu o nie. Czyżby w biurze wydającym pozwolenia na budowę pracował Obłomow?

W pierwszym roku obecnego wieku Gonzalo wycofał się z branży handlu sztuką: „Vanity Fair”, między innymi, zamieścił artykuł o przyjęciu, które marszand wydał dla uczczenia swojego przejścia na emeryturę; numer zawierał zdjęcia przyjęć urządzonych we wszystkich trzech galeriach. Kiedy Brunetti przyjrzał się kopiom artykułów zrobionym przez Elettę, z zaskoczeniem rozpoznał niektórych gości: gwiazdę rocka i piłkarza na przyjęciu w Paryżu oraz polityka i jego żonę aktorkę na imprezie w Londynie. Kiedyś aresztował prawnika, który pojawił się wraz z żoną na przyjęciu w Wenecji.

W dwóch z tych artykułów donoszono, że Gonzalo sprzedał swoje galerie i listę klientów słynnemu domowi aukcyjnemu za nieujawnioną sumę. W wywiadzie udzielonym na przyjęciu w Wenecji – tym, w którym postanowił wziąć udział – wyznał, że zamierza spędzić emeryturę, chodząc do muzeów, żeby oglądać obrazy i przedmioty, którym nigdy nie miał czasu naprawdę się przyjrzeć. Życzył powodzenia nowym właścicielom i powiedział, że w następnym roku z pewnością będzie z nimi współpracował jako konsultant.

A później prawie nic. Nigdy nie wspomniano o czymkolwiek, co mógł zrobić dla nowych właścicieli. Jego zdjęcie ukazało się kilka razy w czasopiśmie takich jak „Chi” oraz „Gente”, ale z upływem czasu zdjęć było coraz mniej, ich format robił się coraz mniejszy i trafiały na coraz dalsze strony magazynów. Gdy Brunetti myślał o zdjęciach, które towarzyszyły artykułom, wydawało mu się, że Gonzalo nie tylko się postarzał, ale i zrobił się bledszy i mniej żywotny.

Wiedział, że tak właśnie dzieje się z ludźmi, którzy przeszli na emeryturę. Niczym kolory na fotografiach pozostawionych zbyt długo na ścianach zaczynali gasnąć. Włosy podążały ścieżką życia i zaczynały matowieć, oczy traciły blask. Mocny zarys zuchwy trudniej było dostrzec; skóra wysychała i stawała się bardziej delikatna. Pozostali tymi samymi ludźmi, ale zaczęli znikać. Inni oczywiście już ich nie dostrzegali ani nie

zwracali uwagi na to, co noszą, co mówią i robią. Byli tam, w zawieszaniu, wykończeni i uznani za nieprzydatnych, uwięzieni za szybą wieku. Na szkle zbierał się kurz i pewnego dnia nie było ich już na ścianie pośród innych blaknących zdjęć, niedługo potem zaś ludzie zaczęli zapominać, jak wyglądali i co mówili.

Och, jaki z ciebie bystrzak, pomyślał komisarz. Wstał i poszedł do sypialni przebrać się na kolację u mecenasa.

Lodovico Costantini, będący jednym z prawników hrabiego Orazia, był także jego przyjacielem, więc na zasadzie przypominającej prawo dziedziczenia był też przyjacielem Paoli. To samo prawo powodowało, że był dobrze usposobiony do Brunettiego jako jej męża. Lodo serdecznie go powitał i powiedział, że Paola jest już w salonie: przyszła prosto z uniwersytetu, gdzie wydział literatury angielskiej zorganizował doroczne zebranie, żeby zdecydować, kto na zakończenie semestru będzie zarządzał egzaminami ustnymi.

Kiedy Brunetti wszedł do dużego i ozdobionego zbyt jaskrawymi freskami *salone*, zaczął wypatrywać Paoli wśród zebranych tam osób. Skinął głową kilku znajomym twarzom, pochylił się, żeby ucałować dłoń szwagierki Lodovica, po czym wreszcie ujrzał Paolę; z kieliszkiem szampana w ręku rozmawiała z mężczyzną, którego nie rozpoznał.

– Ach, Guido, chciałabym, żebyś poznał Filippa Longo. Filippo jest kolegą Lodovica. Przyjechał tu na jutrzejszą rozprawę: właśnie mi o niej opowiadał.

Gdy Paola wypowiadała te słowa, mężczyzna wziął z tacy podsunętej przez przechodzącego kelnera smukły kieliszek z winem musującym i wręczył go Brunettiemu, który podziękował skinieniem głowy. Longo był tęgi: kark, klatka piersiowa, a nawet nadgarstki wyłaniające się z rękawów marynarki wydawały się pokryte dodatkową warstwą mięśni. Twarz natomiast miał delikatną i drobną. Efekt przypominał oglądanie greckiego posągu z głową Apolla i ciałem niedźwiedzia.

– Jakiego rodzaju rozprawę, jeśli wolno zapytać? – rzekł Brunetti i wypił łyk wina, które było wyjątkowo smaczne.

– Najgorszego – odparł Longo głosem, jaki musiał się wydobyć z piersi tych rozmiarów: bas-barytonem, którego pozazdrościłby mu każdy zawodowy śpiewak. – W sprawie spadku. – Pokręcił głową i teatralnie zadrżał na całym ciele. – Te rozprawy są okropne – zaznaczył, ale potem się uśmiechnął i dodał: – To moja specjalność, proszę więc zrozumieć, że nie skarżę się, tylko opisuję.

– Dlaczego są najgorsze? – zapytał Brunetti.

Longo przechylił głowę i spojrział obok komisarza.

– Dlatego, że sytuacja nigdy nie jest taka, jak się wydaje i jak ją przedstawia twój klient. – Zawahał się, jakby próbował wymyślić sposób, by dokładnie wytłumaczyć, jak okropne bywają takie sprawy. Pokiwał głową. – Tak, o to właśnie chodzi. Myślisz, że twój klient jest oszukiwany przez swoje rodzeństwo bądź swoje dzieci albo przez administratora domu osoby, której testament podważa, i wydaje ci się, że robi to, ponieważ naprawdę w dobrej wierze sądzi, że rzeczywiście ma prawo do większej ilości pieniędzy lub mieszkania bądź do brylantów swojej matki.

Prawnik wypił łyk wina i Brunetti wyobraził sobie, jak dobrze ten człowiek spisywałby się w wystąpieniach stron w sądzie: doskonale wiedział, jak posługiwać się pauzą.

– Tak naprawdę jednak ponownie toczą walki z dzieciństwa, wyrównują rachunki z powodu dawnych animozji i zupełnie nie obchodzą ich przedmioty ani pieniądze, a tylko zrobienie na złość komuś, kto pół wieku wcześniej uraził ich uczucia. – Prawnik pociągnął kolejny łyk, po czym ciszej, głosem złowieszczym jak kondukt pogrzebowy wycedził: – Dramat polega na tym, że nigdy sobie tego nie uświadomią.

Nim prawnik zdążył coś jeszcze dodać, kolejny kelner podszedł do drzwi i oznajmił zebranym:

– *Signori, la cena è servita.*

To właśnie wówczas, gdy zgromadzeni w pokoju ludzie rozglądali się, gdzie mogą odstawić kieliszki, Brunetti spostrzegł Gonzala. Początkowo go nie poznał, ponieważ ten Gonzalo był co najmniej dziesięć centymetrów niższy, niż być powinien. A jego włosy, niegdyś kręcone i sterczące niesfornie tam, gdzie chciały, spoczywały bezwładnie na czaszce, nie będąc w stanie zakryć skrawków różowej skóry.

Starszy człowiek ruszył w stronę drzwi ze zwieszoną ze zmęczenia głową. W pewnym momencie musiał sobie przypomnieć, gdzie jest, bo się wyprostował. Podeszedł do stołu i powoli sunął za krzesłami, zerkając na karteczki z nazwiskami, które umieszczono przed każdym nakryciem. Na oczach Brunettiego dotarł do końca stołu, przeszedł za krzesłem u jego szczytu i ruszył powoli drugą stroną, patrząc na karteczki oparte o talerze.

Znalazł swoje miejsce, na prawo od gospodarza. Ułożył obie dłonie na oparciu krzesła, nie zawracając sobie głowy skrywaniem faktu, że musi się na nim wesprzeć. Widząc to, stojąca z prawej strony szwagierka Lodovica usiadła za stołem i poklepała krzesło Gonzala, żeby zaproponować mu to samo. Osunął się na nie, podpierając ręką o blat, i odwrócił, żeby jej podziękować, a następnie odpowiedział na jej słowa.

Brunettiemu, który siedział najdalej od nich, po przeciwnej stronie, widok Gonzala zasłaniał jeden z dwóch ogromnych bukietów gladioli, które stały na środku stołu.

Na prawo od komisarza siedziała córka Lodovica, Margherita, która studiowała prawo w Ca' Foscari kilka lat po nim i którą zaliczał do grona swoich przyjaciół ze środowiska prawniczego. Po jego drugiej stronie siedziała Paola, a na prawo od niej dyrektor festiwalu w Toskanii, którego poznała, gdy wygłaszał cykl wykładów na uniwersytecie.

Dwa krzesła naprzeciwko Brunettiego i Margherity były puste, ale w chwili gdy otwarto drzwi do kuchni, aby wpuścić kelnerów z jedzeniem, jedno z nich zajęła bardzo młoda kobieta.

– *Scusa, nonna* – powiedziała, odwracając się do żony gospodarza, a potem siedziała z pochyloną głową, dopóki komisarz nie wykrzyknął:

– Wielkie nieba, toż to Sandra! Gdy cię ostatnim razem widziałem, ledwie sięgałaś blatu tego stołu, a teraz jesteś piękną młodą kobietą. – Sandra podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego, po czym rozejrzała się, żeby zobaczyć, kto jeszcze siedzi przy stole.

Pierwsze danie, *antipasto di mare*, podano ze szczególnie dobrym winem Ribolla Gialla, które, jak pamiętał, pił w domu Lodovica kilka lat wcześniej. W odpowiedzi na jego pytanie, nad czym pracuje, córka gospodarza powiedziała, że obecnie reprezentuje robotnika, który zginął w wypadku w porcie w Margherze: zmęczony po wspinaczce po sześciopiętrowym rusztowaniu, zatrzymał się, żeby się oprzeć o ścianę. Nie była to jednak ściana, tylko kawałek białego płótna zawieszony między dwoma słupkami; mężczyzna spadł na ziemię i zginął na miejscu.

Gdy prawniczka opowiadała mu o tym, usłyszał głosy za sobą i odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jakiś gładko ogolony mężczyzna w ciemnopopielatym garniturze mówił cichym głosem do jednego z kelnerów, który stał przez kilka sekund pochylony, żeby lepiej słyszeć. Skinął głową i poprowadził mężczyznę wokół stołu do dwóch pustych krzeseł na prawo od Gonzala, na wprost Margherity. Nowy gość szybko usiadł i wymamrotał coś, co zapewne było przeprosinami dla zebranych przy stole. Bukiety, o których Brunetti zaczął myśleć jako o kwiatowym wielkim murze, zasłaniały część twarzy mężczyzny, ale widać było wystarczająco dużo, by mógł uznać go za przystojniaka: duże ciemne oczy i bardzo krótko obcięte, ciemne, kręcone włosy. Mężczyzna odezwał się do szwagierki Lodovica siedzącej po jego lewej ręce, a potem do Sandry, a obie kobiety skinęły w odpowiedzi głowami i uśmiechnęły się do niego.

Gdy mężczyzna dalej rozmawiał z Sandrą, Brunetti zobaczył, jak Gonzalo kładzie dłonie po obu stronach swojego talerza i zaczyna wstawać, ale niemal natychmiast opadł na krzesło, po czym podniósł nóż i widelec. Popatrzył na talerz pustym wzrokiem. Mimo przeszkody w postaci kwiatów Brunetti dostrzegł malujące się na twarzy Gonzala napięcie. Gonzalo pochylił się i spojrzał w prawo, na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie starszej kobiety.

– *Buonasera* – rzekł, nie przestając patrzeć na nowo przybyłego. Kelner zabierał talerz sprzed Margherity, która tymczasem umilkła. Głos Gonzala brzmiał niepewnie i komisarz odwrócił się w drugą stronę.

Młodszy mężczyzna skierował twarz ku Gonzalowi i napotkał jego wzrok. Minęły trzy sekundy – Brunetti policzył je – nim skinął głową i posłał starcowi płomienny uśmiech.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, jakby to Gonzalo był gospodarzem i tym samym osobą, której należały się przeprosiny.

Dziesięciolecia, które Brunetti spędził, obserwując i analizując ludzkie zachowania, sprawiły, że zainteresował się tą krótką rozmową. Przeprosiny wymagały odpowiedzi, a jedyną odpowiedzią, jakiej oczekiwał młodszy mężczyzna – komisarz był tego pewien – była uległość, a jej potwierdzeniem mogło być tylko zapewnienie, że spóźnienie nie ma najmniejszego znaczenia.

Na odprężonej i ożywionej twarzy Gonzala pojawił się uśmiech.

– Grunt, że tutaj dotarłeś – odparł i podniósł widelec.

Odpowiedzią na śmiech młodszego mężczyzny był kolejny uśmiech Gonzala. Obserwując, jak Gonzalo je, Brunetti zauważył, że siedział bardziej wyprostowany; wydawało się, że ramiona starszka lepiej wypełniają marynarkę, a głos stracił wszelkie oznaki starości i stał się głęboki i dźwięczny, jaki był w jego wspomnieniach.

Przez resztę posiłku on i młodszy mężczyzna zamienili ze sobą zaledwie kilka słów, ale to, jak rozmawiali, nie pozostawiało wątpliwości co do łączącej ich więzi. Kwiaty zasłaniały komisarzowi widok ich obu, ale zauważył, jak Gonzalo przechylał głowę ku mężczyźnie, ilekroć ten coś mówił, chociaż tamten, odpowiadając, nie raczył się odwrócić, by napotkać spojrzenie Gonzala.

Widząc, jak mało ciekawia Brunettiego szczegóły dotyczące dowodów w sprawie i zeznania świadków, Margherita odwróciła się i przez pewien czas rozmawiała z Paolą.

Po jej lewej stronie zjawił się kelner i podał coś, na co Brunetti nie raczył zerknąć. Wyczuł emocje w głosie Margherity, gdy ta opisywała Paoli rodzinę ofiary wypadku, ale większą uwagę zwracał na grę emocji malujących się na tej części twarzy Gonzala, którą widział, gdy Gonzalo pochylał się i patrzył w kierunku młodszego mężczyzny.

Z tego, co słyszał, rozmowa po obu stronach stołu dotyczyła głównie filmów, tematu bez wątpienia wywołanego przez dyrektora festiwalu. Brunetti uważał, że ów temat dominuje przy wielu kolacyjnych stołach, ponieważ w ostatnich latach dyskusje o polityce, imigracji, a w istocie niemal na każdy poważny temat stawały się coraz bardziej ryzykowne; nawet komentarze o polityce w sąsiednich krajach mogły wzbudzić kontrowersje. Brunetti nie miał nic do wniesienia do dyskusji o kinematografii, bo wobec braku wolnego czasu szkoda mu było poświęcać go na oglądanie filmów. Gdy kilka razy dał się namówić na pójście do kina, zawsze wracał do domu z poczuciem, że zmarnował czas: mógł poczytać.

Podano deser, następnie kawę, a potem wspaniałą nalewkę z moreli, którą co roku przysyłał Lodovicowi przyjaciel z Val Venosta. Po wypiciu sznapsa niewiele osób przejawiało chęć pozostania dłużej. Większość gości podziękowała gospodarzom i wyszła przed jedenastą.

Gonzalo nie zauważył Brunettiego, a przynajmniej go nie pozdrowił, mimo że jak się wydawało, z Paolą rozmawiał z wielką sympatią. Nie chcąc się narzucać, Brunetti trzymał się z tyłu i podziękował Lodovicowi i jego żonie, dopiero gdy wszyscy inni już wyszli.

– No i? – zapytał gospodarz, gdy razem z żoną odprowadzał Paolę i komisarza do drzwi.

– To był wspaniały wieczór, Lodo – powiedziała Paola, wykluczając w ten sposób wszelką możliwość rozmowy na temat Gonzala, młodszego mężczyzny i jej ojca. – Tak dawno nie widziałam Margherity – ciągnęła, wbijając drugi gwóźdź do trumny z dyskusją o Gonzalu i jego młodym przyjacielu. – Wygląda naprawdę świetnie i wydaje się taka szczęśliwa, dumna ze swojej pracy.

– Bo jest dumna – zgodził się Lodovico, potwierdzając tym samym, że nie będzie żenującej rozmowy o jego kliencie, przyjacielu ojca Paoli. Dyskutując o zawodowych sukcesach Margherity, szli dalej ku drzwiom mieszkania, przy których wycelowali się na pożegnanie i wymienili podziękowania oraz zapewnienia o wzajemnej życzliwości.

Gdy skręcili w stronę mostu Akademii, Brunetti zapytał:

– No i?

– Nie pytasz, co myślę o jedzeniu, prawda? – odpowiedziała Paola.

– Gdybym był człowiekiem inteligentnym, powiedziałbym, że częściej zwracałem uwagę na przynętę niż na jedzenie.

– Jeżeli chodzi ci o Gonzala – zauważyła Paola, gdy weszli na Campo Santo Stefano – to myślę, że chwycił przynętę dawno temu i już się nie zerwie z haczyka.

– Takie też odniosłem wrażenie – zgodził się Brunetti – ale ty siedziałas bliżej niego i więcej słyszałaś z tego, co mówił.

– Usłyszałam sporo. – Paola przystanęła i spojrzała na księżyc widoczny nad Palazzo Franchetti. Nie zwróciła na niego uwagi męża, stała jedynie i przyglądała się srebrzystej tarczy na niebie. Kiedy już mieli dosyć, ruszyli dalej przez plac w kierunku nowego mostu.

– I? – podpowiedział Brunetti.

– I marchese Attilio uważa, że Quentin Tarantino to geniusz.

– A ja jestem Galileuszem – odparł Brunetti. – Czy przez cały wieczór rozmawiali o kinie?

– Niestety tak. Ty pewnie byś był. Ja ledwie się powstrzymałam.

– Dlaczego? Myślałem, że lubisz filmy.

– Lubię. Nie lubię za to konieczności słuchania, jak inni o nich rozmawiają. Większość ludzi wygaduje o filmach straszne bzdury. Co gorsza, bzdury pretensjonalne.

Zanim Paola zdążyła coś dodać, Brunetti zapytał:

– I jak myślisz?

– Myślę, że Gonzalo jest zakochany, a *marchese* dba o to, żeby to się nie zmieniło.

– Hm. – Brunetti nie zdołał znaleźć lepszej odpowiedzi.

– Ma rekinie oczy – zauważyła Paola.

– Markiz?

– Nie. Gonzalo.

– Słucham?

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy i uznałeś, że ci się podobam?

– Zawsze miałaś skłonność do niedomówień – odparł Brunetti. – Chyba dlatego, że kształciłaś się w Anglii.

Ignorując jego słowa, Paola ciągnęła:

– Przez pewien czas miałaś rekinie oczy. Widuję je u mężczyzn przez całe życie. To się zdarza, gdy są owładnięci namiętnością i nad nią nie panują.

– Ja? – zapytał Brunetti piskliwym głosem.

– Ty. Mniej więcej przez tydzień. Potem zacząłeś mnie lubić, później zdałeś sobie sprawę, że mnie kochasz, a twoje oczy przestały przypominać oczy rekina i na powrót zaczęły być twoimi oczami.

Brunetti postanowił nie drążyć tematu i zapytał:

– I Gonzalo ma rekinie oczy?

– Albo jestem Galileuszem – odparła Paola i zaczęli wspinać się po schodach mostu.

Rozdział 9

Osoba, która nazajutrz rano o ósmej przyniosła mu kawę, postawiła spodek z filiżanką na stoliku obok i pochyliła się, żeby pocałować go w lewe ucho.

– Kawa – powiedziała.

– Paola? – wymamrotał, wciąż w okowach snu.

– Nie – odparła pogodnie i przeszła na francuski. – Jestem Catherine Deneuve i zostawiłam wszystko, żeby do ciebie przyjechać, mój skarbie. – Pochyliła się i obiema rękami kilka razy nacisnęła na materac łóżka, po czym powróciła do języka włoskiego, żeby powiedzieć: – Kazałeś się obudzić o ósmej, bo Patta chciał z tobą mówić.

Brunetti odwrócił się i podciągnął na wezgłowiu. Sięgnął po filiżankę i wypił kawę trzema szybkimi łykami. Pokręcił głową.

– Nigdy mu tego nie wybaczę.

– Czego? – zapytała zdezorientowana Paola.

– Że miałem w sypialni Catherine Deneuve, ale musiałem jej powiedzieć, że nie mogę zostać, bo mam spotkanie z szefem.

Paola się uśmiechnęła i odwróciła do drzwi.

– Mówiłam ci, że straciłeś swoje rekinie oczy.

Wyszła, zanim zdążył rzucić w nią poduszką.

Signorina Elettra poinformowała Brunettiego, że Patta rzeczywiście chce z nim rozmawiać, ale dopiero po jedenastej. To sprawiło, że musiał poczekać ponad godzinę. Wróciwszy do gabinetu, powędrował myślami do wydarzeń poprzedniego wieczoru, ale potem wdał się w rozważania o adopcji jako sposobie na podtrzymanie nazwiska rodzowego. Uczynił to Juliusz Cezar i dał rzymskiemu światu syna swojej siostrzenicy, który

przemienił się w Augusta i rządził we względnym spokoju przez czterdzieści lat. Potem jednak szybko nastąpiły kłopoty: Tyberiusz, Kaligula i Neron.

Brunetti próbował sobie przypomnieć dokładnie kolejnych cesarzy, gdy zadzwonił jego telefon i signorina Elettra powiedziała mu, że zastępca komendanta jest już wolny. Znalazłszy się na parterze, stwierdził, że drzwi do gabinetu Patta są otwarte, minął w milczeniu Elettrę i wszedł, mówiąc:

– *Buondì, vice-questore.*

Już miał zapytać, w czym może być pomocny tego rana, ale pomny przestrogi Vianella zdał sobie sprawę, jak służalczo zabrzmiałoby to w jego ustach, więc nie powiedział nic więcej.

Patta siedział za biurkiem. Srebrzyste włosy miał świeżo ostrzyżone, trochę krócej niż zwykle po bokach, jakby postanowił naśladować wielu młodych mężczyzn zatrzymywanych obecnie przez policję i zamierzał przyjść niebawem do biura z gładko wygolonymi skrońmi i długim grzebieniem biegnącym od czoła do potylicy. Na głowie tak szlachetnej, nad twarzą tak urodziwą mogłoby się to sprawdzić i pchnąć zastępcę komendanta na nowe drogi mody.

– Ach, dzień dobry, *commissario*. Usiądź, proszę, chciałbym coś z tobą omówić – rzekł Patta, posyłając Brunettiemu szeroki uśmiech, który działał mu na nerwy.

– Tak, *vice-questore*? – zapytał obojętnie komisarz.

– Właściwie – zaczął Patta, którego zęby skryły się teraz za wargami, być może w przygotowaniu na kolejny uśmiech. – Chodzi o... moją żonę.

– Ach – to słowo było wszystkim, na co pozwolił sobie Brunetti. Uznał, że najlepiej będzie się nie wychylać, więc przybrał minę łagodnej troski i ukrył się za nią.

– Zeszłego wieczoru w moim domu miało miejsce pewne... zajście – zaczął Patta. Brunetti wyczuł, ile niedostrzegalnej siły potrzebował jego zwierzchnik, żeby zachować spokój.

Komisarz skinął głową.

– Słyszałeś o tym? – zapytał Patta ze strachem połączonym ze złością. – Już?

– Nie, *dottore* – odparł Brunetti. – Skinąłem tylko głową, żeby pokazać, że słyszałem, co pan powiedział.

– Okłamujesz mnie, Brunetti? – zapytał dawny Patta.

– Ależ nie, *signore*. Przysięgam.

– Dobra, w porządku – rzekł pośpiesznie zastępca komendanta. – Przypuszczam, że nie miałbyś jak się dowiedzieć – umilkł i wpatrywał się w blat biurka, chyba szukając tam telepromptera, który pokazałby mu, jak opowiedzieć tę historię.

Brunetti, który parę razy spotkał żonę Patty, ale zawsze ograniczał się tylko do uścisku dłoni i kiwnięcia głową na znak zadowolenia z kontaktu, milczał. Pamiętał kobietę wyższą od Patty, z szeroką twarzą i małym nosem, która emanowała entuzjazmem, jakby czekała, aż pokażą jej następną atrakcję. Tylko przedstawili się sobie nawzajem, ale polubił ją, choćby z uwagi na okazywane jej przez Pattę oddanie, którego szczerość zawsze odwodziła go od wszelkich prób wykluczenia możliwości, że zastępca komendanta jest istotą ludzką.

Patta spojrział na miniaturowe flagi Włoch oraz Unii Europejskiej wsadzone do mosiężnego pojemnika na pióra stojącego na biurku. Kiedy tak się w nie wpatrywał, Brunetti dostrzegł na jego twarzy przygnębienie. Najpierw pomyślał, że chodzi o chorobę, ale w takim przypadku *vice-questore* nie chciałby się z nim widzieć; w sprawach dotyczących swojej rodziny był zazwyczaj osobą zamkniętą w sobie.

Zastępca komendanta podniósł wzrok i napotkał spojrzenie komisarza.

– Jesteś weneccjaninem – rzekł i umilkł.

– *Sì, signore* – odparł Brunetti.

– Więc ich rozumiesz? – zapytał Patta, jakby mówił o Hotentotach lub Pigmejach.

– Weneccjan, panie komendancie?

– Tak. O kimże innym rozmawiamy? – rzekł bardziej typowym dla siebie tonem Patta.

– Jeżeli poda mi pan trochę więcej informacji, może będę w stanie pomóc. – Po tych słowach Brunetti uśmiechnął się, uważając, by jego uśmiech sprawiał zupełnie naturalne wrażenie.

– Tak, oczywiście – powiedział łagodniej brzmiącym głosem Patta. Pochylił się i przeczesał włosy palcami, ale gdy tylko jego ręka zetknęła się ze szczecina na skroniach, oderwał ją z zaskoczeniem. Splótł dłonie i ułożył je na biurku przed sobą, gdzie nie mogły mu już przysporzyć kłopotów. – Mamy sąsiadów – dodał. Brunetti skinął głową i powstrzymał odruchową chęć zauważenia, że ma ich większość ludzi. – To weneccanie. – Tym razem Brunetti powstrzymał się od uwagi, że w ostatnich czasach sąsiedzi wielu osób nie są już weneccanami. Zamiast uzmysłwić to Patcie, znowu skinął tylko głową. – Mamy z nimi kłopoty – rzekł Patta, nie pozostawiając komisarzowi innego wyboru, jak złożyć w ofierze Madonnie z Medjugorje prośbę o pomoc w zachowaniu milczenia w obliczu sposobności do grzechu. Z jej pomocą powstrzymał się od stwierdzenia, że wcale nie jest tym zaskoczony, i wydał z siebie tylko pomruk, który wystarczająco zachęcił Pattę do dodania: – Od niedawna.

– Przykro mi to słyszeć, *dottore* – rzekł komisarz i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że powiedział to szczerze. Niewiele brzemion ciąży bardziej niż brzemie złych sąsiadów. Jeśli chodzi o agresję i wyrachowaną złośliwość, z jakimi mogli się zetknąć policjanci, trudniej było im reagować jedynie na przypadki przemocy domowej.

Zanim Brunetti zdążył zapytać, gdzie ci ludzie mieszkają – położenie bezpośrednio nad lub drzwi obok było najgorsze z uwagi na hałas – Patta dodał:

– Mieszkają pod nami.

Pechowa sytuacja. Komisarz wiedział o tym z powodu wody: jeżeli dostała się z góry, to z ich winy i nie było dyskusji. Pęknięta rura, przelewająca się wanna, woda spływająca z dachu: dla spowodowanych przez nią szkód nie miało to znaczenia, a woda powodowała największe.

Gdy Brunetti rozważał wszystkie te możliwości, Patta pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Nigdy nie chodziło o wodę. Przez te wszystkie lata nigdy nie doszło do zalania.

– O co zatem chodzi, panie komendancie, jeśli mogę zapytać?

– Ich syn znieważył moją żonę – odparł Patta i nim Brunetti zdążył cokolwiek powiedzieć, dodał: – I to niejeden raz.

Brunettiemu przeszło przez myśl, by zapytać, czy aż do emerytury będzie się zajmował rozwiązywaniem problemów rodzinnych, ale wobec milczenia Patty wybrał inne rozwiązanie.

– Mam nadzieję, że jego rodzice coś z tym zrobili.

Patta się roześmiał, choć wcale nie było mu do śmiechu.

– Nic nie zrobili. Powiedzieli mojej żonie, że zmyśla, a ich syn jest aniołem. – Prychnięcie, które wydał z siebie z wyraźną odrazą Patta, uświadomiło Brunettiemu, za jak niedorzeczne uważa on to twierdzenie.

– Kiedy to się stało, *signore*?

– Przed siedmioma miesiącami, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego.

– Ile lat ma ten chłopiec?

– Osiem.

– Może mi pan wyjawić, co dokładnie powiedział?

Patta podniósł, a potem odwrócił wzrok. Brunetti czekał na odpowiedź.

– Powiedział, że jest obrzydliwą kurwą – rzekł w końcu Patta i obserwował, jak zaskoczony komisarz marszczy brwi, po czym dodał: – Nie jestem pewien, czy wie, co to znaczy, ale wiem, że nie powinien tak mówić do kobiety.

Ponieważ w reakcji na rozczarowanie lub zaskoczenie tak często mówiło się *sporca puttana*, komisarz zapytał:

– Czy gdy to mówił, zwracał się bezpośrednio do pańskiej żony?

– Chodzi ci o to, czy powiedział *sporca puttana*, bo się potknął na schodach, a nie nazwał mojej żony *una sporca puttana*?

– Owszem.

– Żona powiedziała, że szła po schodach i spotkała tego chłopca przy drzwiach frontowych. Na jej widok się zatrzymał, spojrzął na nią i rzekł: *Tu sei una sporca puttana*. Nie doszło więc do językowego nieporozumienia, *commissario*: powiedział to celowo.

Brunetti nie pamiętał już, kiedy po raz pierwszy zrozumiał, kim jest *puttana*, wiedział jednak, że gdyby któreś z jego rodziców się dowiedziało, że użył tego słowa w stosunku do kobiety, jakiegokolwiek kobiety, konsekwencje byłyby natychmiastowe, fizyczne i bardzo nieprzyjemne. Czasy się zmieniły, więc już nie było rzeczą nie do pomyślenia, by dziecko użyło także poufałego *tu* w stosunku do osoby dorosłej: w tym przypadku wzmocniłoby to tylko zniewagę.

– Czy pańska małżonka rozmawiała z jego rodzicami? – zapytał komisarz.

– Tego samego wieczoru. Zeszła zobaczyć się z nimi przed kolacją i gdy matka chłopca otworzyła drzwi, powtórzyła jej, co powiedział syn.

– A matka?

– Zamknęła jej drzwi przed nosem.

– A potem?

– Żona opowiedziała mi o tym, gdy wróciłem do domu. Zszedłem i poprosiłem o rozmowę z ojcem. Podszedł do drzwi... ja stałem na podeście... i powiedział, że żona przekazała mu, co powiedziała jej moja żona, i uważa, że moja żona oszalała.

– Co pan zrobił?

– Nic, a co mogłem zrobić? – odparł Patta.

– To się stało siedem miesięcy temu? – zapytał Brunetti i widząc, jak Patta kiwa głową, ciągnął: – Co się później działo, *signore*?

– Od czasu do czasu mijaliśmy się na schodach, ale bez słowa. My, znaczy rodzice. Gdy żona mijala chłopca i byli sami, burczał na nią, ale nigdy niczego nie mówił. Po czym, mniej więcej dwa miesiące temu, gdy wróciła do domu i dotarła na pierwszy podest schodów, usłyszała, jak ktoś

po nich zbiega, zatrzymała się więc, żeby zejść z drogi. Kiedy chłopak znalazł się na podeście, przełożył plecak do drugiej ręki i walnął nim w jej nogi. – Wydawało się, że Patta skończył, potem jednak dodał: – Uciekł, zanim zdążyła coś zrobić, co nie znaczy, że cokolwiek zrobić mogła. Nie dziecku.

Zdobywszy się na odwagę po wyznaniach zwierzchnika, komisarz zapytał:

– A wczoraj wieczorem, panie komendancie?

– Było podobnie: on schodził i gdy zobaczył, że żona idzie do góry, stanął naprzeciwko i nie chciał się odsunąć, mówił, że schody należą do niego i ma prawo decydować, kto po nich chodzi. Żona miała dwie torby z zakupami i postawiła je obok siebie. – Gdy Patta zbliżał się do momentu, który zdaniem Brunetti mógł być kluczowy w jego opowieści, Brunetti pomyślał o starciu Edypa z Lajosem na drodze: tak zaczynają się kłopoty. – Powiedziała, że długo na siebie patrzyli, a potem on zeskoczył, wylądował na jednej z toreb i strącił całą jej zawartość nogą w dół schodów.

Głos Patty zrobił się tak ostry, że Brunetti cieszył się, iż jego zwierzchnik nie był świadkiem tej sceny.

– Co zrobiła pańska małżonka?

Patta odetchnął głęboko kilka razy, jakby chciał wyrzucić z siebie część złości.

– Chwyciła go za rękę i próbowała wciągnąć na górę po schodach. Twierdzi, że ją kopał, więc złapała go za obie ręce i nim potrząsała, dopóki nie przestał. Po czym zaprowadziła go pod drzwi ich mieszkania i zadzwoniła. Gdy pojawiła się jego matka, żona opisała, co zrobił jej syn, i powiedziała, że może zejść na półpiętro i zobaczyć torby na schodach.

– A ta kobieta?

– Złapała chłopca, wciągnęła go do mieszkania i zatrzasnęła drzwi. Żona słyszała, jak chłopiec wrzeszczał przez następne pół godziny – odparł Patta i umilkł, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia.

Wziął pióro i zaczął kreślić prostokąty na marginesie listu, na którym widniał nagłówek i pieczęć Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Po kolacji ojciec chłopca przyszedł na górę i powiedział, że wie, iż jestem policjantem, więc nie ma szans na wygranie sprawy, którą mógłby wnieść do sądu przeciwko mojej żonie za napaść na ich syna. – Zastępca komendanta spojrział na Brunettiego, żeby sprawdzić jego reakcję na te słowa, i wobec braku jakiegokolwiek reakcji dodał: – Nadmienię, że takie właśnie rzeczy się dzieją, odkąd pozwolili południowcom zamieszkać w budynku.

– Aha – wymknęło się Brunettiemu.

– Potem powiedział, że jeżeli moja żona nie przestanie przysparzać problemów jego żonie i synowi, on nie będzie miał innego wyboru, jak porozmawiać ze swoim ojcem.

– Kto to taki? – zapytał komisarz.

Patta się skrzywił, jakby poczuł gorycz w ustach, i rzekł:

– Umberto Rullo.

Ciemna pletwa przecięła wody pamięci komisarza i zniknęła bezszelestnie, pozostawiając na powierzchni kilka rozszerzających się koncentrycznych kręgów.

Gdy znieruchomiały, Brunetti powtórzył nazwisko i zapytał:

– Co on ma z tym wspólnego?

– Jest dyrektorem naczelnym firmy, w której pracuje Roberto. Produkuje nawozy. – Kolejny błysk, a potem wspomnienie.

– To pana młodszy syn?

Patta skinął głową.

Komisarz, któremu nieobce były realia współczesności, zapytał:

– Jaką ma umowę?

– Na czas określony – odparł Patta, dodając głosem równie ponurym jak wyraz jego twarzy: – Pięcioletni kontrakt. Odnawiany co pół roku. –

Przeczesał palcami włosy na skroniach. – Pięć lat, żeby otrzymać dyplom z handlu i ekonomii, a ma umowę, która obowiązuje przez sześć miesięcy.

Popatrzył na Brunettiego jak ojciec, który nie ma znaczących koneksji, nie na północy, które mógłby wykorzystać, żeby znaleźć lepsze zajęcie dla syna.

– Jeżeli straci tę pracę, już nigdy nie znajdzie innej. A przynajmniej nie tutaj. – Podniósł ręce w geście bezradności. – A w rodzinnych stronach nie ma pracy. – Komisarz wiedział, że Patta ma na myśli Palermo, nie Wenecję.

Siedział w milczeniu, myśląc o tym, z jaką łatwością po skończeniu studiów znajdą zatrudnienie jego dzieci. Nie miało wcale znaczenia, co postanowią studiować: archeologię czy zoologię, nazwisko Falier pojawiające się w ich życiorysie z pewnością otworzy im każde drzwi.

– Właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać – rzekł Patta, nagle sprawiając wrażenie zmęczonego. – Chciałbym, żebyś mi pomógł.

– Bardzo chętnie to zrobię, panie komendancie – odparł Brunetti, któremu ulżyło na myśl, że Patta nie okraszył tego polecenia gadką o „zadaniu specjalnym”.

– Chcę, byś poprosił, żeby signorina Elettra spróbowała wy badać, czy z tym chłopcem coś jest nie w porządku.

– Signorina Elettra, panie komendancie?

– Oczywiście. Któż inny może się tego dowiedzieć?

Tyle, jeśli chodzi o ich wymyślne manewry uniemożliwiające Patcie orientację w tym, co się dzieje w jego własnym biurze; tyle, jeśli chodzi o ich spokojne poczucie wyższości wobec cymbała z południa, który nie ma pojęcia, co się dzieje i jak wszystko naprawdę funkcjonuje w komendzie.

– Jestem pewien, że przyjrzy się temu, jeżeli zapisze mi pan imiona rodziców i chłopca – odparł komisarz.

– Dobrze – rzekł Patta. Wysunął szufladę biurka i wyciągnął kartkę. Szybko zapisał na niej nazwisko, imiona i adres, po czym spojrzął na Brunettiego, który właśnie się pochylał, żeby ją zabrać. – A czy – zaczął, nie odrywając dłoni od kartki – jeżeli się okaże, że chłopcu nic nie dolega...

że nie ma żadnych poważnych problemów... poprosiłbyś ją o to, by się przyjrzała jego rodzicom? – W reakcji na widoczne zaskoczenie komisarza dodał: – Jeśli z tym chłopcem jest jakiś problem, to nie chcę im przysparzać dodatkowych kłopotów.

– A jeżeli nie ma problemu? – zapytał Brunetti.

– Wtedy byłbym bardzo zainteresowany w zdobyciu czegoś, czym mogę ich postraszyć – wyjaśnił zastępca komendanta i jeszcze sroższym tonem dorzucił: – On nie może tak traktować mojej żony.

– Nie pamiętam nazwy firmy, której dyrektorem jest Rullo – rzekł w odpowiedzi komisarz.

Patta spojrzał na niego ostro, niezdolny ukryć podejrzliwości na swojej twarzy.

– Czemu chcesz znać jej nazwę?

– Może warto by było, żeby signorina Elettra przy okazji przyjrzała się całej reszcie.

Patta znowu wziął do ręki pióro i długo patrzył na Brunettiego, po czym pochylił głowę, zapisał nazwę firmy na kartce i przesunął ją na drugą stronę biurka.

Komisarz podniósł kartkę, ale na nią nie spojrzał. Życzył swojemu zwierzchnikowi przyjemnego przedpołudnia i wyszedł do sekretariatu, żeby zapytać signorinę Elettrę, czy będzie skłonna wyświadczyć vice-questore Patcie pewną przysługę.

Rozdział 10

Signorina Elettra wydawała się zadowolona z prośby o pomoc dla zastępcy komendanta, ale gdy Brunetti podał jej kartkę, powiedziała bardzo cicho:

– Umberto Rullo? Znam to nazwisko. – Zgięła palce prawej dłoni i na moment przytknęła je do twarzy, a potem siedziała w milczeniu i zadumie.
– Umberto Rullo – powtórzyła.

Przed wielu laty Brunetti widział obraz – nie pamiętał już, kto go namalował – przedstawiający Świętą Katarzynę Sieneńską rozmyślającą o istocie Boga. Ona także siedziała, z prawą dłonią przy policzku, wyglądając przez okno. Za nim, wśród łagodnych wzgórz Toskanii, należało szukać istoty Boga. Signorina Elettra kontemplowała jednak po prostu fasadę najwyraźniej opustoszałego budynku na drugim brzegu Rio di San Lorenzo. Święta Katarzyna była odziana w gustowny czarno-biały habit dominikanek. Sekretarka Patty, tak się przypadkiem złożyło, wybrała tego dnia identyczne kolory, obszerną koszulę z białego jedwabiu z czarnymi ćwiekami od smokingu zamiast guzików, wetkniętą w uszyte z czarnego kaszmiru obcisłe spodnie toreadora.

Święta Katarzyna trzymała w dłoni coś, co przypominało wyglądem torebkę; Brunetti pomyślał wówczas, że ten akcent sprawia, iż obraz wygląda bardzo współcześnie. Dopiero później dowiedział się, że uszyto ją ze skóry smoka, którego, jak wierzono, pokonała. Torebka signoriny Elettry wisiała na cienkim skórzanym pasku na oparciu krzesła. Brunetti pohamował swoje zaciekawienie pochodzeniem skóry, z której ją zrobiono. Sekretarka zastępcy komendanta nigdy nie kupiłaby czegoś, co zostało uszyte ze skóry zwierzęcia zagrożonego gatunku.

Elettra wyrwała się z transu i zapytała:

– Czy to nie on był zamieszany w bankructwo tej fabryki tworzyw sztucznych? Dziesięć lat temu? Piętnaście?

No jasne, to właśnie stąd Brunetti znał to nazwisko: fabryka w pobliżu Udine. Okoliczne dzieci ze skażoną krwią – nie pamiętał już nazwy substancji chemicznej wykrytej w wodzie pitnej. I coś o lekarzach będących w stanie oczyścić ich krew? Beczki z trującymi odpadami zakopane niedaleko fabryki. A gdy Guardia di Finanza wkroczyła i zajęła jej rachunki bankowe, odkryto, że fabryka należy do panamskiej firmy z biurem w Luksemburgu, którego właścicielem jest firma nigeryjska z siedzibą w Indiach Zachodnich, która z kolei... W końcu właściciela nie udało się znaleźć. Rullo twierdził, a potem to udowodnił, że jest menedżerem, otrzymuje pensję jak wszyscy inni i nie ma pojęcia, czyją własnością jest fabryka. Był nieistotnym trybikiem, człowiekiem, który pilnował, żeby realizowano zamówienia i wypłacano pensje pracownikom.

Sędziowie to kupili. Albo sami zostali kupieni. Opuszczona fabryka stała pośrodku ogrodzonego pola, a woda w co najmniej dwudziestu pobliskich miastach była zanieczyszczona i niezdatna do spożycia.

I teraz Rullo znowu kierował firmą, która wykorzystywała w produkcji substancje chemiczne.

– Jego syn mieszka z rodziną pod mieszkaniem zastępcy komendanta – wyjaśnił Brunetti. Signorina Elettra powoli pokręciła głową, jakby przekazał jej złe wieści. – Ich mały syn od wielu miesięcy znieważa żonę *vice-questore*, uderzył ją nawet plecakiem.

Sekretarka Patty nie zdołała ukryć zaskoczenia tą informacją.

– Przecież to bardzo miła kobieta – powiedziała z oburzeniem.

Komisarz nie miał podstaw, by twierdzić, że to nieprawda, był jednak zdumiony, słysząc to z jej ust.

– Chyba lepiej zacząć od chłopca – zasugerował. – *Vice-questore* zastrzegł, że jeżeli są z nim poważne problemy, nie chce dalszego postępowania.

– Dlaczego? – zapytała signorina Elettra.

Brunetti sformułował odpowiedź tak, żeby nie była dla Elettry zbyt szokująca.

– Chyba uważa, że ten chłopiec stanowi dla nich wystarczająco duży kłopot, z którym muszą sobie radzić.

Komisarz przyglądał się, jak stopniowo dociera do niej, co to znaczy.

– Dobry Boże – powiedziała w końcu. Spojrzała na drzwi gabinetu Patty, zupełnie jakby widziała je po raz pierwszy w życiu, i dodała: – Kto by pomyślał?

Brunetti uznał za stosowne nie komentować jej spostrzeżenia i w związku z tym rzekł:

– W takim razie nie będę już pani przeszkadzał.

Nie wiedział, jakich wpływów może użyć Umberto Rullo: najwyraźniej były wystarczająco duże, by mógł uniknąć oskarżeń – no dobrze, skazania – w związku z aferą z fabryką nieopodal Udine. Rullo junior z pewnością przydał rodowemu nazwisku magicznych właściwości, wystarczających, by poskromić zwykłego zastępcę komendanta policji, a przy tym południowca. Brunetti był zaskoczony, jak bardzo razi go to nadużycie władzy, jakby jego profesja, jego honor i jego życie zostały zakwestionowane przez zwykłą zawołowaną groźbę ze strony jakiegoś głupca, który uważał, że ma dostęp do ludzi o wpływach większych niż te, jakie miał dottore Patta.

Zatrzymał się na środku schodów, zaskoczony siłą swojej reakcji, szczególnie po tym, gdy sam poczuł gwałtowną ulgę – mógł to przyznać przynajmniej przed samym sobą – na myśl o wpływach, jakie mogło wywrzeć nazwisko Falier. Co takiego zawsze mówił po neapolitańsku jego przyjaciel Giulio? *Votta 'a petrella e annasconne 'a manella*. Rzuć kamieniem, a potem ukryj rękę. No właśnie.

Na swoim biurku Brunetti znalazł harmonogramy dyżurów na następny miesiąc i spędził godzinę, przeglądając je i dokonując zmian; część z nich wprowadził, żeby uchronić nieprzepadających za sobą funkcjonariuszy przed wspólnym patrolowaniem, dwie, by umieścić kobiety na czele patroli, zamiast pozwolić, by przekładały papiery na biurkach w komendzie,

a ostatnią po to, żeby znieść karę dyscyplinarną dla jednego z pilotów, który policyjną motorówką zabrał jakąś turystkę do szpitala, spostrzegłszy, że leży na chodniku przy wzywającym pomocy mężu. Potknęła się i tylko zwichnęła nogę w kostce. Pilot nie mógł jednak tego wiedzieć, więc Brunetti cofnął karę, po czym z radością zauważył, że została nałożona na wniosek porucznika Scarpy.

Był czwartek, więc dzieci jadły obiad w domu dziadków. Paola skorzystała z tej okazji, by urządzić konsultacje z jedynym doktorantem, jakiego miała w tym roku akademickim. Brunetti zszedł na parter, by zapytać Vianella, czy ma ochotę coś przekąsić.

Był niezwykle ciepły dzień, trzeci z serii niezwykle ciepłych dni, i postanowili pójść na *campo* przed Arsenalem, żeby sprawdzić, czy uda się im zjeść obiad na świeżym powietrzu. Po drodze powiedział inspektorowi o prośbie Patty i jego trosce, żeby nie przygniatać rodziców dodatkowym brzemieniem, gdyby ich syn był pod pewnym względem...

– Wyjątkowy? – odpowiedział Vianello.

– Jeżeli ma poważne problemy, tak – potwierdził Brunetti.

Minęli kościół San Martino i znaleźli się przed lwami, które strzegły wejścia do Arsenału. Brunetti zatrzymał się przed posągami, jak czynił od dzieciństwa. Wyglądały tak samo jak zawsze, dwa z nich dość nobliwe, a ten z prawej strony wciąż z miną winowajcy po zjedzeniu jakiegoś chrześcijanina. Był tak wychudły, że najwyraźniej niewiele mu z tego przyszło. Lew stojący na nadprożu sprawiał wrażenie silniejszego: i musiał być silniejszy, bo same skrzydła wydawały się nie dość mocne, by mogły go tam wynieść.

– Jak sądzisz? – zapytał Vianello, przystanawszy przy jednym ze stolików na zewnątrz. Brunetti zauważył, że nie ma na nich obrusów i, co jeszcze dziwniejsze, brak turystów.

– Wewnątrz – zdecydował. Byli w Wenecji, a ponieważ cały dzień pełnili służbę, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych miało zapłacić za ich obiad.

Komisarz pchnął drzwi, wszedł do restauracji i zastał w niej ludzi siedzących przy sześciu stolikach.

Właściciel lokalu, Luca, wyszedł z kuchni, zobaczył ich i się zatrzymał. Na jego okrągłej twarzy odmalował się dziwny wyraz, coś więcej niż zaskoczenie, niemal rozczarowanie na widok dwóch stałych gości; z jednym z nich był po imieniu. Po raz pierwszy od rozpoczęcia ich wieloletniej znajomości Brunetti zauważył poziome zmarszczki na czole Luki.

– *Ciao*, Luca – rzekł Vianello, zdejmując czapkę i rozglądając się po sali. Komisarz się uśmiechnął i ruszył do przeciwległego kąta, gdzie zwykle siadali. Inspektor podał mu kartę dań. Był to pozbawiony znaczenia gest na pokaz: Brunetti zawsze jadł *paccheri* z tuńczykiem, oliwkami i *pomodorini*, a Vianello zawsze prosił o *pasta alla Norma*.

Luca podszedł do nich drobnym krokiem, trzymając oburącz ścierkę.

– *Buondì, signori* – powiedział, nie zwracając się do Vianella po imieniu. Zazwyczaj, żeby dopełnić formalności, zapisywał ich zamówienie, ale tym razem nie przyniósł notesu. Stał obok stolika, miętosząc ścierkę, i przestępował z nogi na nogę, ale nic więcej nie powiedział.

– W czym problem, Luca? – zapytał w końcu Brunetti, po czym, licząc, że złagodzi sytuację żartem, dodał: – Nie martw się, nie przyszedliśmy cię aresztować.

Twarcz restauratora pozostała niewzruszona, ale przestał ugniatać ścierkę.

Tym razem to Vianello zapytał:

– W czym problem, Luca? Coś się stało?

– Nie wiecie? – odpowiedział wreszcie właściciel restauracji. – Nie czytaliście dzisiejszego „Il Gazzettino”?

– Nie – odparł Brunetti. Spojrzał przez stół i skinął głową na Vianella.

Inspektor pokręcił głową.

Luca jeszcze kilka razy przestąpił z nogi na nogę. W końcu wyjaśnił:

– Jest w kuchni; pozwólcie, że przyniosę.

Odwrócił się i odszedł, pchnął drzwi kuchni i zniknął za nimi.

Policjanci wymienili zdziwione spojrzenia.

– Mam nadzieję, że go nie przyłapali na niewydaniu paragonu – rzekł Vianello.

– Wykluczone, on zawsze wręcza je klientom – odparł Brunetti, choć w restauracjach nie było to powszechne.

Po chwili drzwi kuchni się uchyliły i Luca ponownie się pojawił, niosąc lokalną część dziennika ze słynną ciemnoniebieską winietą.

Podał gazetę komisarzowi, a ten rozłożył ją na stoliku tak, żeby obaj z Vianellem mogli przeczytać nagłówki. Ponieważ wzrok Brunettiego przyciągnął ten największy, zaczął czytać o upadku kolejnego banku, ale jego uwagę rozproszył szept Vianella:

– *Oddio.*

Komisarz spojrział na przyjaciela, który wskazał na tytuł: *La Questura non paga trenta mila Euro*. A potem na tekst drobniejszym drukiem: *Ristorante non accetta la Polizia*. Czytał dalej. Właścicielowi restauracji w Chioggii, gdzie miejscowi policjanci mieli zwyczaj spożywać swój popołudniowy posiłek, którego koszty pełniącym służbę funkcjonariuszom pokrywała policja, komenda była winna trzydzieści tysięcy euro i jego lokal odmawiał obsługi kolejnych policjantów, jeżeli nie płacili z własnej kieszeni. Restaurator powiedział reporterowi, że funkcjonariusze mogą sami zanosić rachunki do komendy i prosić o zapłatę, ale on już dłużej nie będzie tego tolerował.

Brunetti spojrział na restauratora, a potem na Vianella.

– Zapłacimy ci, Luca. Nie martw się.

– Nie chodzi o pana, *commissario* – zaczął właściciel, po czym, jakby się bał, że uraził inspektora, dodał: – ani o ciebie, Lorenzo. Chodzi o pozostałych. Przychodzą i myślą, że nadal mogą tu jeść i nie zawracać sobie głowy płaceniem. To nie jest garkuchnia prowadzona przez Caritas. – Zdając sobie chyba sprawę, jak to musiało zabrzmieć, wyjaśnił głosem, który z każdym wypowiedzianym zdaniem stawał się bardziej stanowczy: – Są mi winni ponad piętnaście tysięcy euro. Wystarczy. Ani centa więcej.

Vianello położył dłoń na rękę mężczyzny i wypowiedział jego imię.

– Nie martw się. Zapłacimy. A po powrocie poinformujemy zastępcę komendanta o nowych zasadach. – Albo ten dotyk, albo jego słowa zdołały uspokoić Lucę, ale dla pewności inspektor spytał: – W porządku?

Restaurator złożył gazetę i skinął głową.

– *Paccheri* i *Norma*, zgadza się?

– Do tego butelka niegazowanej wody mineralnej – dodał Vianello i znowu poklepał Lucę po ręce. Właściciel restauracji schował gazetę i ruszył do drugiego stolika, skąd jakaś kobieta dawała mu znak, żeby przyniósł rachunek.

Kiedy czekali na swój obiad, Vianello powiedział:

– Mam nadzieję, że się okaże, że chłopiec nie ma problemów. Poważnych problemów. – Rozdarł paczkę paluszków chlebowych, połamał jeden na cztery lub pięć kawałków, które ułożył w rzędzie obok widelca, a potem o nich zapomniał. – To musi być okropne. – Przesunął dwa kawałki paluszka w prawo, po czym położył koniec palca wskazującego na końcu jednego z nich i oderwał drugi koniec od blatu stolika. Pozwalając mu opaść, ciągnął: – Mieć chłopaka, o którym się wie, że jest naprawdę złym dzieckiem, nie tylko pełnym wigoru utrapieńcem. – Potem zapadła długa cisza.

– Znałeś takich? – zapytał Brunetti, sam bowiem nie miał podobnych doświadczeń.

Vianello skinął głową i podważył koniec drugiego paluszka, a potem pozwolił mu natychmiast opaść.

– Chłopaka w domu naprzeciwno, gdy dorastałem – odparł. – Nikt go nie lubił, nawet rodzice, w każdym razie nie za bardzo.

Do stolika podszedł Luca, postawił na nim wodę mineralną i powiedział, że makaron będzie gotowy za kilka minut. Brunetti zerknął na jego twarz i zauważył, że poziome zmarszczki są mniej widoczne.

– Co się z nim stało? – zapytał Vianella.

– Nie wiem. Wyprowadzili się, gdy miałem piętnaście lat, i już nigdy go nie widziałem. – Inspektor nalał im po szklance wody i wyjął kolejny

paluszek z opakowania. Ten zjadł.

Luca wrócił z zamówionymi porcjami makaronu, wyraził nadzieję, że będzie im smakowało, i powędrował z powrotem do kuchni. Brunetti nadział na widelec wstążkę *paccheri*, dodał kostkę tuńczyka i skosztował. Może tym razem odrobinę za słony, ale i tak wyśmienity.

– Z niektórymi dziećmi – ciągnął Vianello – zwłaszcza z małymi chłopcami, nigdy nie wiadomo. Z większości wyrastają normalni ludzie, ale z niektórych chyba nie. – Zjadł trochę makaronu, po czym odłożył widelec i popatrzył na przyjaciela. – Ostatecznie ludzie, z którymi mamy do czynienia... ci, których aresztujemy... skądś się biorą, prawda? Chodzi mi o to, że kiedyś muszą zacząć być źli. Albo coś musi na nich wpłynąć.

– Zacząłem przypuszczać, że może tacy się rodzą – rzekł Brunetti, a jego widelec zawisł nad talerzem. – Zastanawiam się, czy o to chodziło kalwinistom, gdy mówili o predestynacji. To po prostu kwestia tego, co myśli społeczeństwo. Chcemy, żeby wszystko miało konkretną przyczynę, a oni poszukiwali przyczyn duchowych, twierdzili więc, że rodzisz się zbawiony albo potępiony i nic nie możesz z tym zrobić. – Wzruszył ramionami i odłożył widelec na talerz, wypił trochę wody, a potem otarł usta.

Ponieważ Vianello nie przejawiał ochoty na dyskusję o rozmaitych formach religijnego doświadczenia, Brunetti pomyślał, że dodatkowo wykorzysta zdrowy rozsądek przyjaciela. Zwracając się do niego po imieniu i tym samym sygnalizując, że to sprawa osobista, rzekł:

– Chciałbym poznać twoje zdanie na inny temat, Lorenzo.

Gdyby Vianello był jeleniem pasącym się w lesie, nie byłby bardziej wyczulony na zmianę w normalnym dźwiękowym tle. Szybko podniósł głowę znad talerza, odłożył widelec i skierował wzrok na komisarza.

– Chodzi o znajomego, przyjaciela, kogoś, kogo znam od lat – zaczął Brunetti. Szybko przechylił głowę, by potwierdzić, że wie, jak niejednoznacznie to zabrzmiało. – Tak naprawdę to przyjaciel mojego teścia: jego najlepszy przyjaciel; z pochodzenia Hiszpan. Jest mniej więcej w tym samym wieku i chce usynowić młodszego... znacznie młodszego...

mężczyznę – przerwał, żeby ocenić reakcję Vianella, i czekał wystarczająco długo, by dać mu szansę na odpowiedź.

– Jak duża jest różnica wieku? – zapytał inspektor.

Brunetti spojrział na pozostawiony na talerzu sos i przypomniał sobie, jak bardzo nie lubi, gdy po skończonym posiłku leżą przed nim brudne talerze.

– Co najmniej czterdzieści lat.

– Powiedziałeś, że to przyjaciel twojego teścia?

Brunetti skinął głową.

– Wywodzi się z tej samej sfery?

– Pochodzi z arystokratycznego, bardzo zamożnego rodu. I wydaje się, że sam też jest zamożny.

– Skąd ma pieniądze?

– Zarobił ich sporo w Ameryce Południowej, ale wyjechał stamtąd, wrócił do Europy i został marszandem.

– A człowiek, którego chce usynowić?

– Widziałem go raz, na przyjęciu, ale z nim nie rozmawiałem.

Vianello odwrócił się, lecz tylko po to, żeby dać znak Luce i poprosić go, żeby im przyniósł dwie kawy. Kiedy znowu skierował wzrok na komisarza, zapytał:

– Myślisz, że chodzi o jego pochodzenie klasowe i wiek?

– Które sprawiają, że chce go usynowić, zamiast poślubić?

Brunetti potarł policzek i natrafił na drobny punkt, który pominął podczas porannego golenia. Luca zjawił się z kawą; Brunetti wsypał cukier do swojej filiżanki i wymieszał, żeby się czymś zająć, zastanawiając się nad odpowiedzią na pytanie Vianella. W końcu rzekł:

– Myślę, że tak. – Wsłuchał się w echo swoich słów i dodał: – Nie rozumiem ich, znajomych mojego teścia, ludzi z jego sfery. Niektórzy z nich wydają się robić, co chcą, i nigdy się nad tym nie zastanawiają, ale inni postępują tak, jakby wszyscy włącznie z ich psami zwracali uwagę na ich poczynania.

– Tak samo jak my, wieśniacy – zauważył Vianello, roześmiał się i zawołał Lucę, żeby go poprosić o rachunek.

Rozdział 11

W drodze powrotnej do komendy Brunetti wyjaśnił, że zapytał signorinę Elettrę, czy zdoła znaleźć czas na uzupełnienie części luk między kilkoma znanymi mu wydarzeniami z życia Gonzala. Vianello przypomniał mu, że nazajutrz wypada jej ostatni dzień w biurze przed urlopem i sekretarka Patty może nie zdążyć załatwić żadnych spraw „prywatnych”.

Uwaga inspektora sprawiła, że komisarz uzmysłowił sobie, do jakiego stopnia usunął z pamięci fakt, że signoriny Elettry przez trzy tygodnie nie będzie w pracy. Wiedział, że sam nie jest w stanie zebrać tych informacji i nie poprosi nikogo innego, nawet Vianella, o podjęcie się załatwienia czegokolwiek, co, jak zauważyła sekretarka Patty, było sprawą „prywatną”.

Obaj milczeli do czasu, aż dotarli do komendy, gdzie, nadal nie mówiąc ani słowa, się rozstali i każdy wrócił do swojego gabinetu. Resztę dnia Brunetti spędził na lekturze akt, które tego ranka trafiły na jego biurko. Rizzardi, naczelny patolog, potwierdził, że turysta, którego trzy dni wcześniej znaleziono, jak opisała pokojówka z hotelu, gdzie się zatrzymał, w „jeziorze krwi”, rzeczywiście wykrwawił się na śmierć po tym, jak pękł mu żylak na łydce. Mężczyzna ostro pił i najwyraźniej był w tamtym momencie nieprzytomny. Brunetti postanowił nie oglądać zdjęć zrobionych przez zespół wysłany na miejsce zgonu.

Bangladeski kucharz został napadnięty i pobity, gdy wracał do domu z pracy w restauracji przy Lista di Spagna. Nie próbowano go obrabować; napastnicy mówili po włosku. Nocą dwa dni wcześniej w bankomacie przed jednym z banków na Campo San Luca wybuchła bomba, ale eksplozja nie zdołała rozerwać urządzenia. Kamera wideo nad bankomatem zarejestrowała zarówno moment podłożenia bomby, jak i jej przedwczesny wybuch, który zranił jednego ze złodziei. Obydwu zidentyfikowali pierwsi policjanci, którzy obejrżeli nagranie, i następnego dnia jeden z niedoszłych

rabusiów został aresztowany. Po niespełna godzinie od wybuchu drugi pojawił się w Pronto Soccorso z ranami odniesionymi w wyniku eksplozji i oparzeniami trzeciego stopnia na prawej ręce; aresztowano go, gdy wyjechał z sali operacyjnej, gdzie chirurdzy usunęli mu to, co zostało z trzech palców. Do raportu zostały dołączone dwa zdjęcia sfilmowanych mężczyzn. Komisarz rozpoznał obu z nich – drobnych przestępców, dla których system wymiaru sprawiedliwości stał się ośrodkiem okresowej utylizacji.

Wyszedł na kawę, a gdy wrócił do komendy, udał się do gabinetu Griffoni, ale zastał drzwi zamknięte. W końcu, niedługo po szóstej, uznał, że ma już dosyć, opuścił więc swój gabinet i gmach komendy. Na dworze wciąż było jasno, krótki przebłysk radości pod koniec nużącego dnia.

Ślady czerwieni na zachodniej stronie nieba odbijały się w nisko wiszących chmurach i Brunetti żałował, że nie zdecydował się iść wzdłuż kanałów przynajmniej aż do bazyliki. Zanim dotarł do mostu Rialto, czerwień zniknęła, a obłoki na powrót przybrały postać jasnoszarych strzępów.

Gdy mijał miejsce, gdzie kiedyś mieściła się kwaciarnia Biancat, pomyślał, że już nie może tu przystanąć, by kupić kwiaty w drodze do domu. Ledwie uświadomił sobie ten żal, a już kazał sobie o tym nie myśleć, nie narzekać, nie utyskiwać. Biancatu nie było, teraz sprzedawano tu tanie torebki oraz paski i należało się z tym pogodzić.

W mieszkaniu panowała cisza. Poszedł do sypialni, mijając po drodze pusty gabinet Paoli, i powiesił marynarkę, zastąpił ją grubym brązowym swetrem, który dostał na Gwiazdkę od niezupełnie bezinteresownego syna. Wrócił do gabinetu Paoli i zatrzymał się przed półkami, na których stały jego książki. Przyjrzał się bacznie tytułom na grzbietach, nie mając pewności, co wybrać. Niedawno czytał greckie dramaty, do których nie zaglądał od czasów studiów, i chciał kontynuować ich lekturę, ponieważ czytając je po tylu latach, stwierdził, że się nie zestarzały i są odkrywczyste. Gdy sunął wzrokiem po tytułach, cicho pomrukiwał. Nadal nie był gotowy na powtórny lekturę *Medei*, wymowa *Agamemnona* była zaś zbyt

bezlitosna. Może *Trojanki*? Pamiętał, jak jego nauczyciel greki podnosił ręce zdegustowany, gdy żadne z nich nie potrafiło wymyślić współczesnej paraleli do tej opowieści. Och, pomyślał, gdyby professore De Palma teraz żył, zostałby zasypany paralelami: okalające Włochy morza były pełne łodzi z Trojankami. Europejskie burdele pękały w szwach od żywych łupów z wojny na Wschodzie.

Zdjął książkę z półki, wrócił do salonu i zaczął czytać. Do czasu, gdy pół godziny później Paola wróciła do domu, zdążył przeczytać zaledwie kilka stron i przerwał przy słowach Posejdona: „O, głupi ród śmiertelnych, który miasta niszczy, świątynie i grobowce zmienia w kupę zgliszczy – czas przyjdzie, że i on też haniebnie zaginie!”^[2]. Zastanawiał się, ilu mądrych ludzi mówiło to samo przez tysiąclecia, a mimo to proszę, nadal wysyła się żołnierzy w hełmach w poszukiwaniu zemsty. I łupów.

Z przybycia Paoli zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy zawołała jego imię. Wtedy zamknął książkę, odłożył ją i wstał. Podszedł i pocałował Paolę w policzek, poskramiając odruchową chęć, by wziąć ją w opiekuńcze ramiona i obiecać, że będzie w nich bezpieczna.

Nieświadoma, że może potrzebować męzowskiej ochrony, Paola powiesiła żakiet na wieszaku przy drzwiach i pochyliła się, żeby podnieść leżące u jej stóp torby z zakupami. Brunetti wziął je od żony, myśląc, że nawet gdyby nie potrafił jej ocalić przed gniewem Menelaosa, to przynajmniej może zanieść zakupy do kuchni.

Jedna z toreb była wyraźnie cięższa. Podniósł ją kilka razy i zapytał:

– Co jest w środku?

Paola odwróciła się w drzwiach i spojrzała na torbę.

– Ach, kilo szparagów i kilogram młodego groszku. Myślę, że powinniśmy ich jeść jak najwięcej, dopóki jest na nie sezon, więc postanowiłam sprawdzić, jak będą smakować w risocie.

– Nie wystarczy sam groszek? – zapytał Brunetti. Wenecjanin z krwi i kości dorastał na *risi e bisi* i bardzo je lubił. – Moglibyśmy zjeść szparagi na zakąskę.

- Czyżbym słyszała błaganie uzależnionego?
- Wiesz, że uwielbiam risotto z zielonym groszkiem.
- Brakuje ci kulinarnej ciekawości, Guido.
- Nie brakuje – odparł z naciskiem, kładąc torby na kuchennym blacie, a dłoń na sercu. – Rzecz w tym, że uwielbiam *risi e bisi*.
- Jesteś gorszy niż nasze dzieci. One przynajmniej są skłonne próbować nowych rzeczy.
- Ja też – upierał się Brunetti. – Pomyślałem jednak, że byłoby miło, gdybyśmy mogli zjeść... – nie dokończył, a potem dodał kilka jęklanych czknięć. Chcąc zjednać swoją żonę, dodał: – Poza tym, podając miejscowe warzywa, zrehabilitujesz się za wczorajszą wpadkę z *vitello tonnato*.

Paola właśnie rozpakowywała jarzyny i szturchnęła go w rękę pękiem szparagów.

– Dobrze, już dobrze. Wracaj do swojej lektury i zostaw mnie samą. – Gdy Brunetti ruszył w stronę lodówki, dodała: – W środku jest butelka gewürztraminera. Może otworzysz, żebym mogła dodać trochę do risotta?

Zrobił, jak mu kazano, zawsze posłuszny głosowi zdrowego rozsądku.

Kiedy wrócił na swoje miejsce i do przerwanej lektury, zawahał się, nim otworzył książkę, i wypił łyk wina, potem drugi. Wiedział, że to moment, gdy mógłby jeszcze odłożyć tragedię Eurypidesa na półkę i wybrać coś mniej ryzykownego. Wiedział, co się wydarzy, ale już zapomniał, jak większość postaci tragedii reagowała na zrzędzenia losu, którym kierowały kaprysy bogów lub zachcianki człowieka.

Odstawił kieliszek na stół i wziął książkę do ręki.

Usłyszał wracające do domu dzieci. Chiara weszła do salonu, pocałowała go w czubek głowy i zniknęła bez słowa. Od czasu do czasu docierał do niego jakiś hałas lub głos i w trakcie lektury z ulgą wsłuchiwał się w te dźwiękowe oznaki życia.

Zanim Paola stanęła w drzwiach i zawołała go na kolację, zdołał przeczytać zaledwie pięć następnych stron i ucieszył się z wezwania, uwolniło go to bowiem – przynajmniej na chwilę – od wysłuchiwania

proroctw Kasandry co do zabójczych następstw dokonanego na niej gwałtu. Znowu odłożył książkę, ponieważ wiedział, co spotka szaloną księżniczkę i schwyte wraz z nią kobiety. Cóż jednak począć z licznymi gwałtami dokonującymi się obecnie, gdy kolejne Trojanki były wyrzucane z domów w objęcia mężczyzn, którzy wygrali je w zakładzie lub obiecano je im jako część łupu?

Brunetti zatrzymał się w drzwiach do kuchni i uwolnił od osaczających go myśli o tragedii Eurypidesa, ale udało mu się to dopiero wtedy, gdy zaakceptował nieuchronność zdarzeń.

Gdy wszedł, pozostali domownicy podnieśli wzrok, uradowani na jego widok. Pośrodku stołu stała porcelanowa misa z risottem z zielonym groszkiem, a kremowa powierzchnia potrawy niemal zafalowała na powitanie. Usiadł na swoim miejscu, Paola nałożyła łyżką parujące risotto i podała mu talerz. Potem przysła kolej na dzieci, a w końcu na nią samą.

Chiara podniosła się z krzesła w spontanicznej demonstracji kulinarnego zachwyty.

– *Risi e bisi, risi e bisi!* – zawołała z nieskrywaną radością.

Jej reakcja natchnęła Brunettiego nadzieją – gdyby był człowiekiem wierzącym, toby się o to modlił – na coś, o czym nic nie wiedział i w co przypuszczalnie nie wierzył: że Chiare czekają niezliczone lata, w których będzie się rozkoszować smakiem zielonego groszku. Ta rozkosz pomogłaby jej wieść szczęśliwe życie: uważał tak, nie rozumiejąc dlaczego.

– *Papà* – powiedziała niepewnie, zaspokoiwszy pierwszy głód – czy to prawda, że stryj Gonzalo zamierza kogoś adoptować?

Na szczęście Brunetti dopiero zaczął jeść, mógł więc na chwilę odwlec wyjaśnienia.

– Gdzie o tym usłyszałaś? – zapytał tytułem odpowiedzi. Zerknął w stronę Paoli i zobaczył, że kiwa głową z aprobatą dla spokoju, z jakim zareagował.

– Dziadek oznajmił to dzisiaj przy obiedzie, a potem nie przestawał o tym mówić nawet wtedy, gdy babcia prosiła, by już przestał.

– Co mówił? – przerwała jej pytaniem Paola.

Chiara posłała spojrzenie bratu, który był z nią u dziadków, ale Raffi nadal jadł, nie zwracając chyba większej uwagi na ich rozmowę.

– Och, to co zwykle – odparła.

– Czyli co? – zapytał Brunetti.

Chiara odłożyła widelec i popatrzyła na ojca.

– Że to błąd.

Brunetti, który w zasadzie był tego samego zdania, drążył:

– Czy powiedział, jakiego rodzaju błąd?

– Jakiego rodzaju?

– Tak. Że to błąd, ponieważ stryj już ma rodzinę, czy dlatego, że jest za stary, by przyjmować na siebie nowe zobowiązania, czy też dziadek miał zastrzeżenia do jego wybranka?

To sprawiło, że Raffi włączył się do rozmowy.

– Tego nie wyjaśnił. Powiedział, że Gonzalo nie powinien tego robić i tyle. – Raffi odczekał chwilę, by sprawdzić, jak przyjęli to rodzice, po czym dodał: – Rzecz nie w tym, że dziadek jest taki ograniczony umysłowo, prawda? – Brunettiemu wydało się to pytaniem retorycznym, więc dał Paoli szansę na odpowiedź: ostatecznie hrabia był jej ojcem.

Odpowiedziała dopiero wtedy, gdy spoczęły na niej spojrzenia wszystkich trojga.

– Podejrzewam, że tak uważa, ponieważ jego wyobrażenie rodziny może się różnić od wyobrażeń Gonzala.

– Rodziny? – zdziwiła się Chiara. – Czy rodzina stryja nie mieszka w Hiszpanii?

Paola skinęła głową.

– Czemu więc miałyby im przeszkadzać, że adoptuje kogoś tutaj? – zapytała, szczerze zdziwiona.

Raffi wtrącił się do rozmowy.

– Tutaj to my jesteśmy jego rodziną, prawda? – Widząc ich miny, dodał:
– No cóż, tak jakby.

Paola spojrzała na syna i uśmiechnęła się blado.

– Wasz dziadek nie myśli o rodzinie jako o czymś, co może być „tak jakby”. Albo to jest rodzina, albo nie jest.

– Czym więc jest dla niego „rodzina”? – zapytała Chiara dziwnie dorosłym tonem. – „Rodzina” w jakim sensie?

– Więzów krwi, chyba tak by to ujął – odparła Paola.

– Co w takim razie z Bartolomeo? – zapytała natychmiast Chiara, wspominając adoptowanego syna kolegi matki.

– Może to inna sytuacja, ponieważ on został adoptowany, będąc dzieckiem – zasugerował Brunetti.

– Jaki jest wiek graniczny? – odparła Chiara.

– Wiek na co? – zapytał zdezorientowany przez chwilę Brunetti.

– Na to, by adopcja była możliwa i żebyś naprawdę stał się dzieckiem ludzi, którzy cię adoptują. Jest jakiś wiek graniczny? – W sposobie, w jaki jego córka zadała to pytanie, kryła się odrobina... figlarności, nie sarkazmu.

Brunetti wiedział, że Chiara często traciła zimną krew, gdy jej uwag nie traktowano poważnie, ale tym razem zachowała całkowity spokój i ciągnęła:

– Tylko próbuję się dowiedzieć, jakie warunki trzeba spełnić, by stać się członkiem rodziny.

Bystra dziewczyna, pomyślał Brunetti ze skrywaną dumą.

– Czy dziadek wie, ile lat ma ten człowiek? – zapytała Paola i żeby nie było cienia wątpliwości, dodała: – Ten, którego chce adoptować Gonzalo?

– Z tego, co powiedział, zanim babcia zdołała go uciszyć – odparła Chiara z bladym cieniem uśmiechu – można by przypuszczać, że nie jest młodzieniaszkiem.

Raffi spojrział na siostrę i rzekł:

– Mam wrażenie, że ktoś przy tym stole zaraz cię zapyta, co przez to rozumiesz.

Chiara posłała mu anielsko cierpliwe spojrzenie osoby, której rzucają kłody pod nogi, i powiedziała:

– Sądzę, że ma około czterdziestki.

Zamiast zapytać, jak to odkryła, Brunetti skinął głową i przyznał:

– Staruszek. – Zastanawiał się, jak szybko córka zapyta, czy jest granica na drugim końcu skali wieku do adopcji, ale nie zrobiła tego.

Chiara odwróciła się do matki i rzekła:

– Mamo, mówiłaś, że dziadek może mieć zastrzeżenia co do tego człowieka. – Zjadła jeszcze trochę risotta, po czym ułożyła swój widelec w poprzek talerza, i dodała: – Nie powiedział, kto to taki, ale odniosłam wrażenie, że go zna i za nim nie przepada.

– Powiedział to? – zapytała Paola.

– Nie, ale wiesz, że dziadek nie potrzebuje powodu, żeby myśleć tak, a nie inaczej.

Gdyby ta uwaga była czymkolwiek innym niż prostym stwierdzeniem prawdy znanej wszystkim uczestnikom tej rozmowy, Chiara zostałaby skarcona przez któreś z rodziców. W zaistniałej sytuacji nikt nie skomentował jej słów i tym samym zgodzono się z nimi.

– Poza tym – ciągnęła Chiara – wszyscy słyszeliśmy, jak przez lata stryj Gonzalo mówił o swojej rodzinie. Jediną krewną, którą potrafi znieść, jest jego siostra lekarka. Czemu więc nie miałyby postanowić, że założą własną rodzinę? – Potoczyła wzrokiem wokół stołu, ale nikt się nie odezwał. – Tak właśnie by się stało, gdyby się ożenił, prawda? – zapytała drżącym z niepewności głosem.

Paola spojrzała na męża i dała mu znak, że na to pytanie on może odpowiedzieć lepiej niż ona. Chiara odwróciła się do ojca i przechyliła pytająco głowę.

– Myślę, że chodzi nie tylko o to – zaczął beznamiętnie jak prawnik Brunetti. – Jeśli dokona adopcji, to jego adoptowany syn odziedziczy cały

majątek; żona dostaje tylko część.

Chiara natychmiast mu przerwała.

– Nie mówię o pieniądzach, *papà*. Mówię o miłości.

Nikt się nie odzywał. Milczenie trwało nawet wtedy, gdy Paola wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Wszyscy bez słowa wręczali jej talerze, pilnując, żeby nie pospadały z nich widelce. Paola szybko wróciła z kurczakiem z pomidorkami koktajlowymi i oliwkami na dużym półmisku, który postawiła pośrodku stołu, a potem przyniosła Chiarze zabrany z kuchennego blatu talerz z zestawem serów.

Brunetti czekał, aż żona znowu siądzie, po czym mówił dalej:

– Niestety, w kwestii miłości prawo nie może stwierdzić nic ścisłego, Chiaro. Nie da się jej zmierzyć ani ocenić, ani nawet dostrzec. Kiedy więc prawnicy mówią o takich sprawach jak adopcja, muszą mówić o rzeczach, które są pewne, to zaś oznacza, że mogą się wypowiadać jedynie o przepisach, a przepisy dotyczą pieniędzy i przedmiotów oraz tego, co ludzie mogą i czego nie mogą robić.

Zapomniawszy o stojącym przed nią talerzu, Chiara nie spuszczała oczu z ojca.

– Nie mogę mówić za twojego dziadka ani przesądzić, dlaczego nie aprobeje tego, co Gonzalo chce uczynić, ale chyba potrafię wyjaśnić, dlaczego czuje się... skrepowany... tym pomysłem.

– To dlatego, że Gonzalo jest gejem? – zapytała z wahaniem Chiara.

– Nie – odparł Brunetti bez chwili namysłu. – Dla twojego dziadka to nie jest istotne.

– Czemu więc robi z tego taką wielką sprawę? Naprawdę nie rozumiem – powiedziała Chiara.

– Chyba uważa, że Gonzalo nie przemyślał tego wystarczająco dobrze – rzekł Brunetti, uświadamiając sobie, że to może być prawdą. – Prawo precyzuje, jakie są zobowiązania ojca wobec syna: musi go utrzymywać, a potem musi mu zostawić majątek, ponieważ zaś Gonzalo nie ma żony, trafi on do jego adoptowanego syna. Z chwilą sfinalizowania postępowania

prawnego nie będzie się mógł wycofać. – Chiara skinęła głową na znak, że rozumie. – Ale w odwrotną stronę – ciągnął Brunetti – w relacji adoptowanego syna wobec ojca ochrona prawna nie działa. Syn nie ma prawnego obowiązku niczego dawać ojcu, kochać go ani okazywać mu wdzięczności. – Tym razem Chiara skinęła głową dopiero po pewnym czasie. – Tak więc być może właśnie dlatego twój dziadek martwi się tym, co jego najlepszy przyjaciel chce zrobić.

Paola nagle zaskoczyła ich wszystkich, mówiąc:

– Chciałabym, żebyśmy już o tym więcej nie rozmawiali. To nie nasza sprawa. – Zanim ktokolwiek zdążył to skomentować, dodała: – Ponieważ bardzo lubimy Gonzalę, możemy się o niego martwić. Nie możemy jednak o nim plotkować, a przynajmniej nie przy tym stole.

Rozdział 12

Nastroju przy posiłku nie zdołało poprawić przypomnienie przez Paolę, że w lodówce czeka połowa tortu daktylowo-migdałowego: nawet Raffi nie był zainteresowany. Odprawiła ich wszystkich z kuchni i umyła naczynia. Brunetti, który siedział w salonie, miał świadomość, jak cicho pracowała tego wieczoru; obyło się bez stuków i głuchych odgłosów, które stanowiły część procesu zmywania, gdy miała do wygłoszenia końcowy komentarz o czymś, co zostało powiedziane przy posiłku.

Zamiast wrócić do lektury *Trojanek*, wolał posłuchać, jak się krząta. Siedział na kanapie i rozmyślał o tym, że te wyimaginowane postaci i ich przeżycia są dla niego o wiele bardziej niepokojąco prawdziwe niż to, co czytał w nawet najbardziej obrazowych raportach policyjnych. Sam nie będąc pisarzem i nie mając daru słowa, znajdował w ich mocy ślady tego, co z zażenowaniem nazywał boskością.

Paola podeszła do drzwi salonu i zapytała:

– Kawy?

– Tak, proszę.

Słyszał jej cichnące na powrót kroki. Jak by to było zostać zapędzonym na plażę przez obcych, brutalnych mężczyzn, którzy wymordowali twoją rodzinę, zrównali z ziemią twoje miasto, zniszczyli twoją przeszłość, i być tam trzymanym do czasu, aż zdołają postanowić, któremu z ich przyjaciół będziesz przekazana? Z tego, co miałaś, nie zostało nic oprócz ubrania na grzbiecie. Żadnych praw, żadnego dobytku, żadnej możliwości sprzeciwienia się czemukolwiek. Wszystko uśmiercili; tak naprawdę jedyna pozostawiona ci wolność była wolnością odebrania sobie życia. Bogowie od lat przyjmowali twoje ofiary, a potem umyli ręce i przeszli na drugą stronę. A ty byłaś tam, na plaży. Być może opuchłe zwłoki znanych ci osób wciąż kołysały się na falach u twoich stóp; za sobą miałaś zburzone baszty,

rozbite bramy i nic poza obrazem zniszczenia, tłusty popiół opadał z wolna na ciebie i wszystkich innych z ponurą, oślizgłą równoprawnością. Pozbawiono cię kraju i, co jeszcze bardziej potworne, rodziny.

– Guido? – usłyszał i gdy podniósł wzrok, zobaczył żonę stojącą nad nim z filiżanką na spodku.

– Ach, dziękuję, moja droga – powiedział i wziął od niej kawę.

– Nic ci nie jest? – zapytała, siadając na niskim stoliku, który znajdował się przed Brunettim, i stawiając z boku swoją filiżankę.

– Nie. Po prostu rozmyślałem.

– O czym?

– O tym, jak pisarz nawet najstraszniejsze rzeczy potrafi uczynić... – Brunetti nie chciał powiedzieć „pięknymi”, lecz właśnie to miał na myśli. Zamiast tego rzekł: – Potrafi nadać im moc. – Zabrzmiało inaczej, ale też było prawdą.

Paola zaskoczyła go, mówiąc:

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego studiowałeś prawo. – Podniosła filiżankę i wypła łyk kawy.

– Nie jestem pewien, czy sam rozumiem.

– Żałujesz tego?

Pokręcił głową.

– Nie. Prawo jest piękne. Przypomina wznoszenie katedry.

– Pogubiłam się – przyznała z uśmiechem Paola.

– Chcesz zbudować coś, co będzie trwałe i zapewni schronienie, musisz więc sprawić, że się nie rozpadnie, nie będzie miało słabych miejsc. Musisz myśleć o wszystkich problemach, które mogłyby powstać, jeżeli jedna część będzie słaba lub źle zaprojektowana. Musisz przynajmniej się postarać, żeby uczynić to doskonałym.

– Z pewnością brzmi to pięknie i szlachetnie – zauważyła Paola. Pochyliła się i położyła mu obie dłonie na kolanach. – Ale prawo tego nie czyni, prawda?

Brunetti pokręcił głową i odwrócił się, żeby postukać w okładkę leżącej obok książki.

– Chyba właśnie z tego powodu porzuciłem historię dla tragedii – powiedział.

– To znaczy?

– Ponieważ ich autorzy nie muszą się przejmować przedstawianiem dokładnego przebiegu zdarzeń.

– A co twoim zdaniem pragną zrobić?

– Zapomnieć o faktach i powiedzieć nam prawdę – rzekł Brunetti z pewnością człowieka, który niedawno doszedł do jakiegoś przekonania.

Tym razem Paola się roześmiała.

– Mówię ci to od lat, mój drogi. – Podniosła kawę, ale stwierdziwszy, że jest zimna, odstawiła filiżankę i spodek na stolik.

Później, gdy usiadła obok męża, rozmawiali o coraz większej skłonności Chiary do formułowania własnych ocen, nawet gdy oni się z nimi nie zgadzali.

– Nawet o Gonzalu? – zapytał Brunetti.

Paola wzruszyła ramionami.

– Widzi go jedynie przez pryzmat miłości, Guido.

– Myślisz, że to zmienia postać rzeczy?

– Mam nadzieję, że tak – odparła, po czym znowu, tym razem nieznacznie, wzruszając ramionami, zaznaczyła: – Zrobiliśmy, co w naszej mocy. – Jeżeli oczekiwał czegoś więcej, to spotkał go zawód: Paola zabrała spodki oraz filiżanki i zniosła je z powrotem do kuchni.

Gdy wróciła z książką, żeby się obok męża i poczytać, Brunetti zapytał:

– Przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby wiedzieć coś więcej o jego... uczuciach?

Paola posłała mu przeciągłe spojrzenie, jakby zaskoczyło ją to słowo w jego ustach.

– Jedynym z jego przyjaciół, którego dobrze znałam, był Rudy. A on odszedł – odparła, a po krótkiej pauzie dodała bardziej ponurym tonem: – Chciałabym, żeby znalazł sposób na to, by być szczęśliwym. Odkąd pamiętam, jest obecny w moim życiu. – Podniosła dłoń męża i pogładziła go po palcach. – Masz naprawdę piękne dłonie. Mówiłam ci to kiedyś?

– Chyba z sześćset dwanaście razy, chociaż podczas naszego miesiąca miodowego straciłem rachubę.

– Ależ z ciebie głupiec, Guido – powiedziała Paola, odtrącając jego rękę. Zaskoczony nagłą myślą Brunetti zapytał:

– Tylko dlaczego nie znamy już żadnych jego przyjaciół?

– Czy powinnam to uznać za nękanie przez policję?

– Nie, z tym będziemy mieli do czynienia, gdy zastrzegę, że jeżeli nie odpowie pani na moje pytania, poddamy pani męża torturom.

– Och, tak, panie komisarzu, proszę, panie komisarzu, po trzykroć proszę.

– To niedobrze, że nic nie wiemy o jego życiu ani nie znamy nikogo, kto mógłby nam o nim opowiedzieć.

Paola opadła na oparcie kanapy i mruknęła:

– Poślubiłam szaleńca.

– Czy ty...

Paola przerwała Brunettiemu, mówiąc:

– Dami.

– Słucham?

– Padovani. Wrócił tu na urlop naukowy. Widziałam go przed dwoma tygodniami.

– I nic mi nie powiedziałaś? – zdziwił się Brunetti.

– Jesteś zazdrosny? – zapytała Paola z uśmiechem. Jej kolega ze studiów był jednym z czołowych włoskich krytyków sztuki: utalentowany, zgryźliwy, zabawny i ostentacyjnie wręcz demonstrujący swój homoseksualizm.

– Jeżeli wciąż jest tak inteligentny jak kiedyś...

– Jeżeli ktoś zna świat sztuki, to Dami, a Gonzalo przynależał do niego przez wiele lat – zauważyła Paola.

– Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

Zamiast odpowiedzieć, Paola wstała i poszła do swojego gabinetu. Gdy wróciła, trzymała w dłoni *telefonino*. Klapnęła obok męża i wystukała numer. Gdy komórka zaczęła dzwonić, wręczyła ją Brunettiemu i ruszyła do kuchni.

Telefon zadzwonił cztery razy, zanim połączenie zostało odebrane i głęboki głos zapytał:

– Paola?

– Nie, Dami, mówi Guido.

– Ach – rzucił Padovani i głęboko westchnął, po czym chrząknął, zupełnie jakby szykował się do odegrania innej postaci niż ta, która westchnęła. – Jakże przyjemnie usłyszeć po tylu latach twój głos, Guido.

– Paola powiedziała, że jesteś na urlopie naukowym.

– Można to tak nazwać. Prawdę mówiąc, ja mogę to tak nazywać.

– To nie jest urlop naukowy?

– Niezupełnie.

– O co w takim razie chodzi?

– Pewna amerykańska fundacja zaproponowała, żebym napisał książkę.

– O czym?

– O malarzu, który mieszkał tu przez pewien czas.

– Kto to taki?

– Zapewniam cię, że nikt, o kim byś słyszał, Guido. Brak mu talentu, ale ma mnóstwo forsy. Przez trzy lata mieszkał w Palazzo Giustinian i namalował około dziewięćdziesięciu portretów swojego psa. Był bardzo miłym człowiekiem, przekonanym, że ma talent, i dobrym dla swoich przyjaciół.

– A skąd pomysł napisania książki? Znałeś go?

– Spotkałem go raz, mniej więcej piętnaście lat temu, na jakimś przyjęciu.

– I to wystarczyło, żebyś zapragnął napisać tę książkę?

Padovani wybuchnął śmiechem.

– Och, nie, nie, nie. – Potem przez chwilę nie mógł opanować rozbawienia. Gdy już przestał się śmiać, stwierdził całkowicie poważnie: – Podejrzewam, że zadzwoniłeś, żeby mnie zapytać o coś innego.

– Nie masz zaufania co do moich intencji, Dami.

– Wręcz przeciwnie, Guido. Mam do nich całkowite zaufanie. Tyle że często ich nie rozumiem.

– W porządku, no cóż... – zaczął Brunetti. – Jest ktoś, o kim chciałbym z tobą porozmawiać, o ile się zgodzisz i o ile go znasz.

– Kto taki?

– Gonzalo Rodríguez... – zaczął Brunetti po to tylko, żeby Padovani dołączył do niego w duecie przy słowach „de Tejada”.

– Ach, więc jednak się znacie.

– Był taki czas, gdy wydawało się, że w chrześcijańskim świecie... a przynajmniej w Rzymie... wszyscy znają Gonzala.

– Czy to komplement? – zapytał Brunetti.

– Owszem.

– Znasz go?

– Czy jestem chrześcijaninem? – zapytał Dami z krótkim śmiechem, po czym ciągnął: – Tak, znam go lub też znałem, przynajmniej wtedy, gdy mieszkaliśmy w Rzymie. Od kilku lat go nie widziałem, ale od czasu do czasu otrzymuję od niego jakieś wieści.

– Porozmawiasz ze mną na jego temat?

Padovani odpowiedział dopiero po chwili i zaskoczył Brunettiego słowami:

– Pod warunkiem że dowiesz się zawczasu, jak bardzo go cenię.

– Jutro? – Komisarz próbował pomyśleć o lokalu, do którego powinien zaprosić Padovaniego, miejsca odpowiedniego do rozmowy o Gonzalu Rodríguezie de Tejedzie. – U Floriana o dziesiątej?

– *Oddio*, pewnie słyszałeś, ile mi płacą za napisanie tej książki. Czy jeśli przyjdę, pozwolisz mi opowiedzieć o moim malarzu?

– To ja będę płacił, więc nie możesz o nim rozmawiać.

– Rozpaczliwie pragnę znaleźć kogoś, kto mnie wysłucha. To jedyny sposób, bym mógł wpaść na jakiś pisarski pomysł.

– Aż tak źle? – zdziwił się Brunetti.

– Gorzej – odparł Padovani i się rozłączył.

Rozdział 13

Brunetti zatelefonował do komendy o dziewiątej i poprosił funkcjonariusza w centrali telefonicznej, żeby poinformował vice-questore Patte – ale tylko gdyby się dopytywał – że zjawi się później, bo musi przesłuchać świadka. W tłumie turystów przedostał się na drugą stronę Piazza San Marco i za kwadrans dziesiąta dotarł do Floriana. Zapytał kelnera, czy może usiąść w jednej z sal w głębi kawiarni. Ten skinął głową, poprowadził go wzdłuż baru i skręcił w lewo do małej sali. Powiedział Brunettiemu, że może wybrać dowolny stolik: nie zanosilo się na to, by przez najbliższe pół godziny trafili się jeszcze jacyś goście.

Komisarz podziękował i wyjaśnił, że zamówienie złoży, gdy już przyjdzie jego przyjaciel. Zamierzał opisać dziennikarza, żeby kelner mógł go skierować do właściwej sali, ale tak dawno się nie widzieli, że nie miał pojęcia, jak teraz wygląda.

– Nazywa się Padovani – powiedział.

– Oczywiście, proszę pana. *Il dottore* często u nas gości. – Z uśmiechu mężczyzny Brunetti wywnioskował, że czar Damiego nie zmałał. Nie zmałały też, jak przypuszczał, pozostawiane przez niego napiwki.

Usiadł i ujrzał siebie w pokrytej lustrami ścianie naprzeciwko, a potem przesiadł się na miejsce, z którego widać było całą salę, tłumacząc sobie, że robi to, by móc zobaczyć, kto do niej wchodzi. Wziął do ręki menu i przejrzał pozycje w kawiarnianej ofercie. Gdyby chciał, mógłby napić się kawy z bitą śmietaną: myśl o tym przyprawiła go o lekkie mdłości. Do salki wszedł inny kelner i Brunetti znowu powiedział, że poczeka z zamówieniem do czasu, aż zjawi się jego przyjaciel.

Nie pomyślał o tym, żeby przynieść gazetę, przestudiował więc całe menu, a potem rozejrzał się po sali, chcąc sprawdzić, czy nikt nie zostawił czegoś do czytania. Nagle usłyszał męski głos:

– Guido?

Odwrócił się, wstał i zobaczył w drzwiach Damiego, który niewiele się zmienił od ich ostatniego spotkania. Ta sama mocna budowa ciała i spłaszczony nos. Włosy miał wprawdzie siwe, ale reszta sprawiała, że wydawał się młodszy. Broda i wystający brzuch zniknęły, włosy zaś cesał do góry, co sprawiało wrażenie bynajmniej nie starczej witalności. Brunetti zapamiętał go w bardziej – jak by to nazwać? – ociężałej postaci. Tak, wtedy Dami był bardziej ociężały, a ten mężczyzna mógł śmiało uchodzić za mistrza gry deblowej w prywatnym klubie tenisowym w Mediolanie.

Przypomniawszy sobie nagle, jak wielką sympatią kiedyś go darzył, Brunetti podszedł do drzwi i objął dziennikarza. Dawny Padovani obróciłby to we wstydlivy żart, ale ten obecny chyba wyrósł z dawnego sposobu bycia i tylko poklepał komisarza kilka razy po ramieniu i uwięził jego rękę w obu swoich dłoniach.

– Jak miło cię widzieć, Guido, po tak długim czasie. – Zrobił krok do tyłu, żeby się lepiej przyjrzeć. Uśmiechnął się. – Jeżeli mi powiesz, że się nie zmieniłem, powiem to samo o tobie – dodał, ujawniając odrobinę swojej dawnej osobowości.

– Nie zmieniłeś się ani trochę – odparł z niemal posępną szczerością Brunetti.

Padovani szturchnął go w zębra i ruszył w stronę stolika, przy którym wcześniej siedział komisarz.

– Czemu siedzimy tutaj, gdzie nikt nas nie może zobaczyć?

– Bo tutaj nikt nas nie usłyszy – wyjaśnił obojętnie komisarz.

– Ach, oczywiście – rzekł uprzejmie dziennikarz. – Spotkaliśmy się, żeby coś uknuć?

– Być może – odparł Brunetti.

– Tylko ostrzegam, nie przeciwko Gonzalowi – rzekł Padovani bez cienia frywolności, która w przeszłości tak bardzo pociągała Brunettiego w ich rozmowach.

Komisarz pokręcił głową.

– Jeśli już, to chciałbym mu pomóc.

– No nie – rzekł nagle zatrwożony dziennikarz. Przestał się uśmiechać i zapytał: – Co mu się stało?

W drzwiach sali ukazał się pierwszy kelner i podszedł do ich stolika. Obaj zamówili kawę, a Padovani, przybrawszy uprzejmy wyraz twarzy, poprosił jeszcze o brioszkę.

Gdy zostali sami, dziennikarz zapytał:

– Co się dzieje?

– Nic – odparł Brunetti głosem, któremu próbował nadać spokojne brzmienie. – Gonzalo chce przysposobić syna.

Padovani zamknął na moment oczy i pokręcił głową. Jego głos stał się nagle zimniejszy, gdy zapytał:

– Czy przypadkiem nie chodzi o znacznie młodszego, urodziwego mężczyznę?

– Znasz go?

– Znam ten typ. – W jego głosie pojawił się ton pogardy, może czegoś gorszego, ale Brunetti nie miał pojęcia, kto może być jej przedmiotem: Gonzalo? Ten drugi mężczyzna? On sam?

– Poznałeś go? – zapytał dziennikarz. – Jest tutaj od pewnego czasu i słyszałem, że obecnie często spędza go w towarzystwie Gonzala.

– Wiesz, kim on jest? – zapytał Brunetti. – Chcielibyśmy się czegoś o nim dowiedzieć – dodał, postanawiając nie wspominać o namowach swojego teścia.

Kelner wszedł do salki i udając, że jest niewidzialny, postawił na stoliku dwie kawy, a następnie talerzyk z brioszką. Ruszył z powrotem do drzwi, ale nie przestąpił progu. Brunetti spojrzał i zobaczył w drzwiach parę młodych Japończyków zerkających zza kelnera, który blokował im przejście. Kelner uklonił się, młodzi ludzie też się uklonili i wszyscy troje zniknęli.

– Ten, o którym myślę, nazywa się Attilio Circetti di Torrebarbo – odparł Dami, wymawiając to nazwisko, jakby był prezenterem telewizyjnym

przedstawiającym swojego gościa. Potem dodał: – Marchese di Torrebardo.

– Gdziekolwiek to jest – rzekł Brunetti, pozwalając Padovaniemu wysnuć wniosek, że to nazwisko było mu już znane.

Komisarz wziął saszetkę z cukrem i wsypał go do kawy, mieszał ją znacznie dłużej, niż było to niezbędne, a potem zapytał:

– Co jeszcze o nim słyszałeś?

Dziennikarz pochylił się i wsypał cukier do swojej filiżanki, po czym wypił mały łyk kawy, odstawił filiżankę na spodek i wziął briozkę. Po zjedzeniu dwóch kęsów, odłożył drożdżówkę na talerzyk, a następnie dopił kawę. Dopiero wtedy powiedział:

– Jest historykiem sztuki. Cóż, studiował historię sztuki w Rzymie. I od tamtej pory, od około dziesięciu, piętnastu lat, operuje na obrzeżach świata artystów.

– Jak?

– Zbierając informacje do książek autorstwa innych ludzi. Pisząc te książki, o ile wiem. Pisząc katalogi do wystaw, recenzując wystawy sztuki w sieci, prowadząc bloga. Ponieważ mieszka w Wenecji, od czasu do czasu wygłasza prelekcje w Galeriach Akademii lub oprowadza ludzi po muzeum.

– To nie wygląda na stałą pracę.

– I nią nie jest – przyznał Padovani. – Ale to zajęcie wymagające głównie uroku osobistego, a tego akurat mu nie brakuje. – Ugryzł kolejny kęs briozki i odłożył ją na talerzyk.

Po krótkim wahaniu Brunetti odważył się zaryzykować.

– Mam uznać, że mówisz to z doświadczenia?

– Dobry Boże – rzekł dziennikarz, uśmiechając się szeroko. – Lata zamieszkiwania z Paolą nauczyły cię przenikliwości, prawda?

Komisarz się roześmiał.

– Mam nadzieję, że fakt, iż nie pozbyła się mnie, pomoże ci uwierzyć, że zasługuję na zaufanie – powiedział i czekał na reakcję Padovaniego. Po chwili wahania dziennikarz się uśmiechnął.

– Gdy go poznałem, zrobił na mnie duże wrażenie – odparł beznamiętnie.

– Ale już nie robi?

– Nie. Początkowo byłem nim oczarowany: jest bystry, bardzo dobrze wychowany... to nadal bardzo się u mnie liczy... i wydawał się człowiekiem wielkodusznym. Po jakimś czasie zacząłem jednak dostrzegać, że to wielkoduszność ograniczająca się do sfery słów: on nigdy nie mówił źle o innych, to muszę mu przyznać. Co w świecie, w którym żyję, stanowi miłą odmianę. Ale właściwie nigdy nie zrobił niczego dla nikogo i o ile wiem, rzadko płacił za swoją kolację. – Padovani westchnął. – To typ bardzo często spotykany. Dobrze się ubiera, zna nazwiska ludzi w świecie sztuki, stale widuje się go na kolacjach i przyjęciach, ma wianuszek starszych hrabin, do których zawsze może zadzwonić i przyjść z wizytą lub zabrać do opery bądź na kolację. – Dziennikarz zastanowił się nad tym, co właśnie powiedział, i skorygował ostatnie słowa: – To znaczy, które mogą go zabrać do opery bądź na kolację.

Sięgnął po szklankę z wodą, którą podano wraz z kawą, i opróżnił ją, po czym odsunął się od stołu; delikatne krzesło zaskrzypiało na znak protestu i zaskoczony Padovani z wrażenia aż podskoczył. Opał na krzesło i szybko zajrzał pod nie, gdzie zapewne nie zobaczył nic dziwnego; wtedy skierował wzrok z powrotem na komisarza.

– To pozer. – Podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Brunettiego przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu. – Ma w sobie niewiele prawdziwej życzliwości. Będzie czarujący, przyjazny i poświęci ci wiele uwagi, ale w istocie szuka tylko sposobu, jak wyciągnąć korzyści z kontaktu z tobą. W każdej sekundzie każdej minuty, którą z tobą spędza.

– Co się stało, gdy zdałeś sobie z tego sprawę?

– Pewnego dnia zadzwoniłem i odwołałem kolację, na którą go wcześniej zaprosiłem. Nie wiem dlaczego: po prostu miałem go dosyć. Kilka dni później zatelefonował do mnie, ale powiedziałem, że jestem zajęty. Po czym, kiedy znowu zadzwonił, znowu byłem zajęty. I to wszystko. Nie było następnych telefonów.

– Wygląda na to, że tanio się wywinąłeś – zauważył Brunetti. Nie powiedział natomiast, że przedstawiony przez dziennikarza wykaz wykroczeń Torrebarda mógł być równie dobrze skargą odtrąconego kochanka, jak i beznamiętną oceną poważnych wad jakiegoś człowieka. Pasożytowanie na ludziach bogatych było w Wenecji sposobem życia, nie przestępstwem.

– Owszem.

– A Gonzalo?

Padovani wzruszył ramionami.

– Wydaje się, że Attilio zaczął szukać lepszych perspektyw – odparł. Po chwili wahania dodał: – Dla człowieka takiego jak on to normalna droga.

– Skąd dokąd? – zapytał Brunetti.

– Od dziennikarza dysponującego skromnym zasobem pieniędzy do człowieka, który ma ich mnóstwo.

– Czy to pewne?

– Że mój majątek jest skromny? Tak – odparł Padovani i roześmiał się z autentyczną radością, widząc zakłopotaną minę komisarza. Sięgnął nad stołem i poklepał go po ręce. – To nie ma znaczenia, Guido. – Znowu się roześmiał i dodał: – Ale jeśli chodzi o Gonzala, to w sprawie jego majątku wątpliwości jest niemało. Z pewnością uważa się go za bogacza, a on żyje jak bogacz. – Jakby zaskoczyły go własne słowa, umilkł, żeby wsłuchać się w ich echo, a następnie zaznaczył: – Nigdy nie mieszkałem w mieście, gdzie tylu ludzi stara się sprawiać wrażenie bogatszych, niż są, i gdzie tylu próbuje wydawać się biedniejszymi. – Ponownie wybuchnął śmiechem na myśl o objawieniu zaskakujących prawd. – Wy, weneccjanie, macie dziwne wyobrażenia o pieniądzach.

Brunetti zastanawiał się przez chwilę i uznał, że sprzedajność czy bezinteresowność weneccjan znajdują się na liście spraw, o których nie miał już cierpliwości rozmawiać, zmienił więc temat i zapytał:

– Zapoznałeś się z jego kolekcją?

Padovani wzruszył ramionami.

– Tak. Ma doskonały gust, przed laty nabył wiele dobrych obrazów. – Dziennikarz przechylił głowę i przez chwilę patrzył w dal, po czym spojrzął na Brunettiego i rzekł: – Posiada mały portret pędzla Bronzino przedstawiający... nieznanego, niestety... młodego dworzanina. Przepiękny, wciąż o nim marzę. Oraz kompletną pierwszą edycję *I Carceri*. W doskonałym stanie. Nigdy nie widziałem czegoś tak wspaniałego. – Pokręcił głową i dodał: – Większość pozostałych dzieł odznacza się równie wysoką jakością, żeby więc odpowiedzieć na twoje pytanie: owszem, jako właściciel galerii, i to niejednej, świetnie sobie radził.

Brunetti podniósł filiżankę i wypił łyk kawy. Była już jednak zimna. Odstawił filiżankę i zapytał:

– Czy zdarzało mu się to już wcześniej? Zakochać się i próbować obsypać ukochanego pieniędzmi lub obietnicami ich przekazania?

Usta Padovaniego wykrzywiły się w ponurym uśmiechu.

– To aż tak oczywiste?

Brunetti pohamował uśmiech.

– Spędziłem znaczną część życia z kobietą, która jest zakochana w Henrym Jamesie i ciągle czyta jego powieści. Myślisz, że nic nie wiem o tym, na jakie sposoby ludzie się wykorzystują?

Wyraźnie zakłopotany tym, jaki obrót przybrała ich rozmowa, Padovani odpowiedział lżejszym tonem:

– Nigdy nie czytałem jego książek, ale wiem o nim wystarczająco dużo, żeby móc udawać, że jest inaczej.

– Jamesa interesuje grabież, tyle że dokonywana bez podnoszenia głosu i przy podwieczorku.

Twarz dziennikarza stężała, chyba na dźwięk słowa „grabież”.

– Gdy dokonuje się jej z zimnym sercem, to na swój sposób pogarsza sprawę – zauważył, po czym po długiej pauzie dodał: – Nie powinno się to przydarzyć komuś takiemu jak Gonzalo.

Podniósł swoją pustą filiżankę i usiłował wysączyć z niej kilka kropli kawy. Po nieudanej próbie odstawił ją na spodek. Popatrzył na Brunettiego,

który wytrzymał jego spojrzenie do momentu, gdy pojawił się kelner, żeby zapytać, czy jeszcze czegoś sobie życzą.

Obaj zamówili kolejną kawę.

I znowu Padovani pozwolił, by upłynęło trochę czasu, zanim rzekł:

– Był jedną z pierwszych osób, które poznałem na początku mojej kariery. Poznaliśmy się... no cóż, nie ma znaczenia, gdzie ani jak się poznaliśmy, ale tak się stało i poczuliśmy do siebie sympatię. Chyba dlatego, że obaj lubiliśmy się śmiać, lub dlatego, że żaden z nas nie traktował świata, w którym wówczas żyliśmy, świata handlu dziełami sztuki, poważnie. Gonzalo jeszcze mniej niż ja.

Brunetti odsunął się od stolika, żeby założyć nogę na nogę, i jego krzesło zaskrzyphiało jeszcze bardziej histerycznie niż wcześniej krzesło dziennikarza. Obaj puścili to mimo uszu.

Kelner zjawił się z dwiema kawami oraz dwiema małymi szklankami z wodą na srebrnej tacy, postawił je na stoliku i dyskretnie sprzątnął pozostałe.

Gdy sobie poszedł, Padovani ciągnął:

– Gonzalo nauczył mnie sztuki nowoczesnej i sztuki współczesnej, nauczył, jak odróżniać dobrą od złej i to, co da się sprzedać, od tego, co nigdy nie znajdzie nabywcy. Powiedział mi, którym agentom schlebiać, których artystów promować, kiedy pochwalić młodego geniusza, a kiedy wstrzymać się przed pisaniem o twórcy, którego kariera niebawem dobiegnie końca.

Przerwał i wypił łyk kawy, a Brunetti skorzystał z okazji, żeby zauważyć:

– W twoich ustach brzmi to jak oszustwo.

– Bo jest oszustwem. Jest równie zafałszowane jak rozgrywki piłkarskie: w obu przypadkach o wynikach rozstrzyga się za zamkniętymi drzwiami, nie na boisku. Agenci decydują, kto idzie w górę, a kto w dół, kto wygrywa, a kto traci. Od czasu do czasu pojawia się geniusz, który po prostu na to wszystko nie zwraca uwagi i maluje, rzeźbi lub fotografuje, i nic, co oni robią, nie może go dotknąć. W większości przypadków to jednak agent

wykonuje prawdziwą pracę twórczą i przemienia mierny obraz w arcydzieło.

– I miernego artystę w geniusza?

Padovani nachylił się i rzekł:

– A ja zostałem dobrym dziennikarzem piszącym o złej sztuce.

Roześmiał się z własnego komentarza i dopił kawę. Gdy już się wydawało, że skończył mówić, Brunetti zapytał:

– I?

– Gonzalo nauczył mnie, jak przetrwać w tym świecie, i wkrótce stałem się sławny. Cóż, na tyle sławny, na ile sławny może się stać dziennikarz. – Zrobił pauzę, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma jeszcze coś do dodania. Przesunął swoją filiżankę i spodek nieco w lewo, zerknął na komisarza i ciągnął: – To najbardziej szczodry człowiek, jakiego poznałem. Nieszczędzący swojego bogactwa, ale nie on jeden go nie szczędzi. On, w odróżnieniu od większości ludzi, nie szczędzi swojej wiedzy. – I znowu Padovani umilkł, ale tym razem Brunetti nie miał pewności, czy skończył. Czekał i w końcu usłyszał: – To oznacza, że moje pochwały w znacznej mierze wynikają z zawstydzenia tym, że obszedłem się z nim tak paskudnie, a on był na tyle wielkoduszny, by nadal mnie dobrze traktować.

– Co się stało? – zapytał komisarz, bowiem opowieść Padovaniego nabrała rytmu wyraźnie wskazującego, że to już jej ostatni rozdział.

– Znalazłem kogoś innego, a raczej ktoś inny znalazł mnie, i ta część naszej historii dobiegła końca.

– A potem?

– Pozostaliśmy przyjaciółmi, dzięki Bogu. Albo dzięki Gonzalowi. Nadal nie szczędził mi informacji i pomocy, nadal nawiązywał dla mnie kontakty i nagle zaczął mnie traktować po... ojcowsku... jeśli to odpowiednie słowo. Byliśmy przyjaciółmi, a on był starszy i opiekuńczy. – Dziennikarz umilkł, jakby właśnie przyszło mu na myśl coś mądrego. – Ale czas płynie i teraz jest jeszcze starszy, dlatego to ja stałem się opiekuńczy.

– Rozumiem – rzekł Brunetti i obaj zamilkli.

Nie wiedział, jak sformułować pytanie, które chciał zadać Padovaniemu. „Czy boisz się najgorszego?”, wydawało się archaiczne i przesadne, ale właśnie to chciał wiedzieć. Zamiast tego zdecydował się na o wiele bardziej prozaiczne:

– Martwisz się o niego?

Oczy dziennikarza przybrały poważny wyraz.

– Tak, a teraz, gdy powiedziałeś mi, co wiesz, będę się martwić jeszcze bardziej.

Komisarzowi nie przychodziło do głowy nic, co jeszcze mógłby dodać. Siedział w milczeniu przez jakiś czas, po czym zapytał:

– Skąd on, Torrebarido, pochodzi?

– Z Piemontu, ale skąd dokładnie, nie wiem.

– Byłeś kiedyś w ich towarzystwie?

– Masz na myśli towarzystwo ich obu?

Brunetti skinął głową, a gdy Padovani nie odpowiedział, zapytał:

– Więc?

Dziennikarz zaczął mówić, ale przerwał mu powrót kelnera, który wprowadził do małej sali sześcioro chińskich turystów, dopilnował jednak, by usiedli jak najdalej od ich stolika. Wręczył im sześć kart i powiedział, że niebawem wróci przyjmując zamówienia. Turyści otworzyli menu i zaczęli cicho rozmawiać.

Dziennikarz wziął menu do ręki i poklepał nim Brunettiego po grzbiecie dłoni.

– Nie, nigdy nie widziałem ich razem – odparł z uśmiechem, który pojawił się na moment, po czym zniknął. – Nie wiem, dlaczego mówię o tym z taką przykrością. – Przez jego twarz znowu przemknęła namiastka nieporadnego uśmiechu. – Pamiętaj, że wcale nie jestem bezstronnym świadkiem – zaznaczył, rzucił menu z powrotem na stół i dodał: – Poza tym, jeżeli Attilio jest dla Gonzala dobry i troszczy się o niego, to w czym problem?

– Nie tak podchodziłeś do tego przed chwilą – zauważył Brunetti.

– Mówiłem ci, że nie jestem wiarygodnym świadkiem. – Dziennikarz poruszył się niepewnie na krześle, podciągnął rękaw, żeby spojrzeć na zegarek, a następnie popatrzył na komisarza. Zaciśnął usta i pokręcił głową.
– Nie mogę powiedzieć, że to zły człowiek. Jest samolubny i chciwy, ale tacy są ludzie na tym świecie. Interesuje go wygodne życie, lecz faktem jest – zawahał się i lekko westchnął – że mnie również.

– Na wypadek gdybyś nie zauważył, wiedz, że zmieniłeś się w obrońcę – mówiąc to, Brunetti się uśmiechał, ale Padovani nie odwzajemnił uśmiechu.

– Nazywamy to mieszanymi uczuciami, Guido.

– Powierzyłbyś Torrebardowi cokolwiek? – zapytał komisarz dla zaoszczędzenia czasu.

– Na przykład?

– Sekret.

– Gdybym zastrzegł, że ma go nie ujawniać, to tak.

– Pieniądze?

– Nie – odparł bez wahania dziennikarz. – Za bardzo ich pragnie, za bardzo pragnie rzeczy, które mu one zapewnią lub pomogą zdobyć. – Zastanowił się nad tym przez chwilę, wzruszył ramionami i dodał: – Jest jeszcze młody. Cóż, młody z perspektywy mojego wieku. Nadal tak myśli.

– Jak większość ludzi bez względu na wiek – zauważył Brunetti, po czym dodał: – I gdy się starzeją, to się zazwyczaj nie zmienia.

– Wiem o tym – rzekł Padovani i spróbował się uśmiechnąć. – Ale człowiek lubi wierzyć, że choć raz wszystko będzie inaczej.

– I ktoś nas pokocha za to, kim jesteśmy, a nie za to, co posiadamy?

– Coś w tym rodzaju – przyznał dziennikarz, zerkając na rozpuszczony w swojej filiżance cukier.

– Nie znałeś mojej matki – zaczął Brunetti, sprawiając, że Padovani spojrzał na niego zmieszany. – Po śmierci ojca zapytałem ją, czy wierzy. – Gdy spostrzegł, że dziennikarz nadal jest zdezorientowany, dodał: – Zawsze chodziła do kościoła i zawsze ciągnęła ze sobą na mszę mnie i mojego brata. Ale traktowała Boga jak dalekiego krewnego i nigdy nie wiedziałem,

w co naprawdę wierzy. Zapytałem więc, czy wierzy, że nasz ojciec jest u Boga.

Umilkł w oczekiwaniu na reakcję, ale Padovani milczał. W końcu jednak zapytał:

– I co odpowiedziała?

– „Byłoby miło”.

Rozdział 14

Przez kolejny kwadrans rozmawiali o wielu sprawach, nie wracając jednak ani do Torrebarda, ani do Gonzala. Sala stopniowo się zapełniała i Brunetti uznał, że wystarczająco długo zajmują swój stół. Przykuł uwagę kelnera, markując, że pisze coś w powietrzu. Kelner szybko wrócił i wręczył mu rachunek, ignorując podniesioną rękę Padovaniego.

Komisarz zauważył, że policzono im za posiłek niższą stawkę oferowaną miejscowym: zapłacił kelnerowi i dodał napiwek, który zapewniłby Padovaniemu wyjątkowe potraktowanie przy następnej okazji. Gdy tylko wyszli na plac, poczuli, że wiosna czmychnęła z powrotem na południe, pozostawiając im wilgotne powietrze i bryzę, która w drodze do Wenecji przeszła zapewne nad Syberią.

– Musimy po prostu przetrwać jeszcze kilka tygodni – rzekł Brunetti – aż pogoda się opamięta.

Padovani przystanął i zaskakująco poważnie, tonem bardzo przypominającym ton Chiary, odparł:

– Myślę, że pogoda postradała zmysły.

Dziennikarz uściśnął dłoń Brunettiemu i odszedł w kierunku Akademii.

Gdy komisarz dotarł do komendy, strażnik przy drzwiach zatrzymał go, mówiąc:

– *Commissario*, w pańskim gabinecie na piętrze czeka na pana jakiś człowiek.

Funkcjonariusz był młody i niedoświadczony, więc Brunetti, zastanawiając się, jaki sędzia pokoju lub oficjel mógł przyjść z nim porozmawiać, zapytał łagodnie:

– Kto to taki?

Policjant spuścił wzrok, żeby obejrzeć swoje buty, i coś wymamrotał.

– Wybacz, Coltro, nie dosłyszałem.

– Nie chciał powiedzieć, panie komisarzu – odparł policjant, wciąż uważnie obserwujący swoje obuwie.

– I wpuściłeś go do mojego gabinetu?

– Cóż, panie komisarzu, to człowiek w pewnym wieku i bardzo porządnie ubrany.

– I to wystarczy, żeby się znaleźć w moim gabinecie? – wypytywał komisarz, próbując sobie przypomnieć, jakie akta zostały na jego biurku, biurku, którego szuflad nie raczył nigdy zamykać na klucz.

– Minął mnie, *commissario*, i ruszył po schodach, a ja musiałem wziąć klucz ze swojego biurka i zamknąć drzwi od frontu. Dopiero potem za nim pobiegłem. Gdy go dogoniłem, wchodził na piętro, ale wspierał się na poręczy i okropnie wyglądał. Od tej wspinaczki aż dyszał. Twarz miał bladą i zroszoną potem.

– I co zrobiłeś? – dociekał komisarz, nakazując sobie spokój i zachowanie normalnego tonu.

– Na parter schodził akurat Rugoletto i właściwie pomogliśmy temu człowiekowi... a tak naprawdę, panie komisarzu, to wnieśliśmy go... do pańskiego gabinetu. Niestety, nic innego nie przyszło nam do głowy.

– I on wciąż tam jest?

– Chyba tak, panie komisarzu. To było zaledwie kilka minut temu. Rugoletto poszedł do swojego gabinetu, żeby mu przynieść szklanekę wody, a ja musiałem wrócić, by otworzyć drzwi. I właśnie wtedy pan przyszedł.

– Rozumiem – powiedział Brunetti i ruszył na górę. Na pierwszym podejściu schodów odwrócił się do Coltra i ruchem dłoni kazał mu wrócić do swojego pokoju. Piął się dalej, idąc szybko, ale krok po kroku.

Kiedy znajdował się w połowie schodów, usłyszał za sobą głośne kroki i odwróciwszy się, ujrzał Rugoletta pokonującego po dwa stopnie naraz. Młody policjant niósł szklanekę i butelkę wody mineralnej. Gdy zrównał się z komisarzem, przystanął i podniósł szklanekę w półsalucie.

– Coltro pana uprzedził, *commissario*? – zapytał.

– Owszem – odparł Brunetti.

– Mam iść z panem?

– Nie, pójdę i z nim pogadam. – Brunetti wziął butelkę i szklanekę od policjanta, podziękował mu i kontynuował wspinaczkę po schodach. Przy drzwiach do swojego gabinetu wetknął głowę do środka, żeby zobaczyć, kto na niego czeka.

Gonzalo Rodríguez de Tejada siedział w jednym z dwóch foteli ustawionych przed biurkiem komisarza wsparty łokciem na poręczy, z dłonią jednej ręki pod brodą i drugą, bezwładną ręką na kolanach. Na podłodze u jego stóp leżała zmięta chustka.

– Ach, Gonzalo – rzekł Brunetti najswobodniej, jak umiał. – Jak miło, że mnie odwiedziłeś. Od dawna nie mieliśmy okazji porozmawiać. – Postawił butelkę i szklanekę na biurku i przez chwilę przekładał leżące na nim papiery, po czym odwrócił się do Gonzala i kilka razy poklepał go po ramieniu. – Wezmę drugą – powiedział tonem gospodarza i podszedł do biblioteczki, w której powoli przestawiał różne rzeczy, dopóki nie znalazł szklanki.

Gdy wrócił do biurka, Gonzalo siedział wyprostowany, z dłońmi na poręczach fotela; chustka zniknęła.

– Mogę ci zaproponować szklanekę wody? – zapytał komisarz.

– Tak, proszę, Guido – odparł starszy mężczyzna.

Brunetti napełnił szklanekę i wręczył ją Gonzalowi, a potem nalał wody do drugiej i postawił ją na biurku przed drugim fotelem. Pochylił się nad Gonzalem, kładąc mu na chwilę dłoń na ramieniu, po czym przesunął fotel na wprost fotela swojego gościa i usiadł.

– Przepraszam, że nie było mnie tutaj, gdy przyszedłeś. Piłem kawę z dobrym znajomym, którego nie widziałem od lat. – Zamknął oczy na to wspomnienie. – Studiował ze mną i Paolą na uniwersytecie.

Siedząc teraz tak blisko de Tejedy, zauważył, jak bardzo jego przyjaciel się postarzał od czasu ich spotkania na Campo Santi Apostoli. Płamy pod oczami przemieniły się w zmarszczki na suchej skórze. Usta zacisnęły się

jeszcze mocniej i wyglądały tak, jakby miały się zapaść, gdyby nie stawiające im opór zęby. Oczy przygasły i zrobiły się lekko zamglone. Siedział jednak prosto bez względu na wysiłek, jakiego to wymagało, zdołał nawet założyć nogę na nogę w na pozór bardzo niedbały sposób.

– Jak dawno się nie widzieliście? – zapytał Gonzalo i udało mu się sprawić wrażenie, że tak naprawdę interesuje go tylko swobodna rozmowa i uzupełnienie wiedzy o tym, co się działo z każdym z nich od czasu ostatniego spotkania. W jego wymowie pojawiło się nadmierne syczenie, dźwięk, który Brunetti skojarzył z protezą, tak samo jak skojarzył z nią nieskazitelną biel jego uśmiechu.

– Dokładnie nie pamiętam, ale ponad piętnaście lat. Paola utrzymuje z nim kontakt.

Odstawiając szklanę na biurko, Gonzalo rzekł:

– Utrzymywanie kontaktów z dobrymi znajomymi bywa pożyteczne.

Postanowiwszy nie traktować tej uwagi jako wyrzutu, Brunetti powstrzymał się przed wyrażeniem zaciekawienia przyczyną niespodziewanej wizyty i zachowywał tak, jakby to, że Gonzalo wstąpił pogadać o pożytkach z utrzymywania starych znajomości, było najnormalniejszą rzeczą w świecie.

Widząc, że szklanka Gonzala jest pusta, dopił resztę wody ze swojej i ponownie napełnił oba naczynia. Wiedział, że w razie wątpliwości należy rozmawiać o pogodzie.

– Jak wspaniale jest mieć wrażenie, że wraca dobra pogoda – rzekł. Nie doczekawszy się reakcji, dodał: – I że zmierzch zapada godzinę później. – Wyczerpawszy swoje zainteresowanie sprawami meteorologii, umilkł i napił się wody, gotów pozwolić de Tejedzie na nieskrępowaną wypowiedź.

Starszy mężczyzna nachylił się i źle oceniwszy odległość, z głośnym stukiem odstawił pustą szklanę na blat biurka. Komisarz drgnął na ten dźwięk, ale Gonzalo chyba tego nie zauważył. Położył dłonie na poręczach fotela, wyprostował palec wskazujący prawej ręki i zaczął pocierać nim o drewno. Po chwili do palca wskazującego dołączył środkowy i teraz już

razem sunęły po powierzchni poręczy. Komisarz zacisnął mocniej dłonie na poręczach swojego fotela i nakazał sobie milczenie.

Czas płynął. W pokoju panowała taka cisza, że Brunettiemu wydawało się, iż słyszy odgłos pocierania palców o drewno, chociaż wiedział, że to niemożliwe. Zaczął liczyć do czterech, a potem znowu do czterech; robił tak na początku swojej policyjnej kariery, żeby przeczekać godziny inwigilacji w oczekiwaniu, aż ktoś wyjdzie z obserwowanego budynku lub wróci do niego nocą. Pamiętał, że nigdy niczego tym nie przyśpieszył, ale odliczanie łagodziło częściowo niepokój wynikający z potrzeby znoszenia poczucia nicości.

Gonzalo dał za wygraną i pierwszy przerwał milczenie.

– Przyszedłem poprosić cię o przysługę, Guido – powiedział mocnym głosem. – Chodzi o Orazia.

– Tak? – odparł obojętnie komisarz.

– Wygląda na to, że chodzi po mieście i o mnie wypytuje. – Brunetti wyczuł nuty gniewu w głosie starszego mężczyzny, ten stan rozpoznał również po jego dłoniach, mocno zaciśniętych teraz na poręczach fotela.

– O co wypytuje?

Gonzalo spojrział na komisarza, nie próbując ukryć zdziwienia.

– Gdybyś nie był mężem Paoli, tobym wstał i wyszedł – odparł szorstko, po czym dodał oskarżycielskim tonem: – Z tobą też rozmawiał, prawda? – Brunetti był coraz bliższy ściągnięcia na siebie jego gniewu.

– Owszem, pytał, kiedy ostatnio się z tobą widziałem i jak się miewasz. – Komisarz uznał, że właśnie tak zapamiętał rozmowę z hrabią, obie te rzeczy rzeczywiście miały bowiem miejsce.

– Czy mówił ci o jakimś młodym mężczyźnie?

– Tak – odparł Brunetti bez wahania.

– Pytał, czy widziałeś nas razem?

Brunetti westchnął, żeby zasugerować irytację, co czasem mu się zdarzało w kontaktach ze swoimi dziećmi.

– Na kolacji u Lodovica widziałem pewnego młodego człowieka i zauważyłem, że z nim rozmawiałeś, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi. Nie przedstawiono mi go i nie rozmawialiśmy.

Gonzalo zamknął oczy na dostatecznie długi moment, by Brunetti zdążył ponownie napełnić obie szklanki. Kiedy staruszek uniósł powieki, miał spokojniejszy wyraz twarzy.

– Byliście tam oboje, wiem, ale nie mieliśmy czasu porozmawiać. Przepraszam – powiedział.

Brunetti nachylił się ku niemu i poklepał po grzbiecie dłoni.

– Rozmawiamy teraz, czyż nie, Gonzalo?

Starzec zagryzł dolną wargę. Gdy rozluźnił usta, komisarz spostrzegł ślady, jakie pozostawiły na niej zęby. De Tejada wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i wytarł nią twarz, po czym schował ją z powrotem. Spojrzał na komisarza i bez żadnych wstępów powiedział:

– Pokłóciliśmy się. Przed tamtym przyjęciem.

– Ty i ten młody człowiek? – zapytał Brunetti, wierząc, że Gonzalowi brak siły, by mówić dalej bez ponaglenia. Gonzalo skinął głową.

– O co? – Komisarz zadał to pytanie, wiedząc, że doprowadzi ono do dyskusji, której pragnął uniknąć.

– O pieniądze – odparł starszy mężczyzna.

Brunetti westchnął.

– Starąłem się przekonać go do podjęcia pracy researchera. Od jakiegoś czasu jestem poza światem sztuki i nie utrzymuję kontaktów z tworzącymi go ludźmi. Nie obserwuję rynku, no cóż, nie robię tego systematycznie, więc nie wiem, kto się liczy, a kto nie. – Gonzalo zrobił pauzę, żeby dać Brunettiemu sposobność do pokazania, że nadąża. Gdy komisarz się zastanawiał, co powiedzieć, de Tejada rozejrzał się po gabinecie, zatrzymał spojrzenie na rządowej rycinie wiszącej na przeciwległej ścianie i szybko je odwrócił.

– Rozumiem – rzekł Brunetti, a Gonzalo podjął przerwany wątek.

– Potrzebny mi ktoś, kto zna się na obsłudze komputera, potrafi znaleźć ceny transakcyjne uzyskane na ważnych aukcjach i poinformować mnie, co sprzedano w Hongkongu oraz na targach Art Basel i za ile. Jeżeli nie zrozumie, co jest grane, błędem byłaby nawet myśl o ponownym zaangażowaniu się.

Czemu w takim razie, zastanawiał się komisarz, Gonzalo chce się znowu zaangażować? Komisarz był słabo obeznany z handlem dziełami sztuki, ale podejrzewał, iż żaden cennik, choćby najdłuższy i najbardziej szczegółowy, nie zapewni wystarczająco dobrych informacji, które by umożliwiły Gonzalowi powrót do branży. Zgodnie z jego rozumieniem ów świat bardzo przypominał dowolny inny kult: ludzie rozmawiali ze współwyznawcami w języku wiary, a dogmaty zmieniały się pod wpływem rynku. W obu przypadkach chodziło o wiarę w zapewnienie wstępu do raju, finalnego albo finansowego.

– Chcesz wrócić do pracy w tym środowisku? – zapytał Brunetti, próbując tchnąć entuzjazm w swoje słowa.

Gonzalo posłał mu jeden ze swoich dawnych zniewalających uśmiechów. Mimo nowych zębów i starczej twarzy emanowały zeń energia i urok, które Brunetti zawsze w nim dostrzegał.

– To jedyne, na czym kiedykolwiek dobrze się znałem – odparł, a potem, z wyczuciem czasu, które stanowiło tak ważny składnik jego poczucia humoru, dodał: – oprócz hodowli bydła, ale dla niej w Wenecji nie widzę wielkiej przyszłości.

Komisarz roześmiał się i panujące między nimi napięcie wyraźnie zelżało.

– I przystąpiłeś do realizacji tego planu? – uznał, że lepiej zadać Gonzalowi to pytanie, niż pytać, czy ma zamiar wywołać zamęt w swoim życiu pochopną decyzją tylko po to, żeby dać temu młodemu człowiekowi zajęcie.

De Tejada pokręcił głową.

– On... Attilio... zaproponował, bym obdzwonił swoich znajomych, którzy nadal pracują w branży, i dowiedział się, co sądzą o tym pomysle. –

Głos Gonzala odpłynął w ciszę, z dala od tego zdania i wszelkich jego potencjalnych następstw.

– Obdzwoń się?

Gonzalo skinął głową i odparł krótko:

– Powiedzieli, że bym tego nie robił.

– Aha – zdołał tylko mruknąć Brunetti. Niczym pies podrywający się na dźwięk dzwonka u drzwi, żeby bronić domu, ślizgał się wielokrotnie na marmurowej posadzce swojego umysłu, drapiąc ją i nie znajdując oparcia. – To chyba lepiej – zaryzykował. – Skoro powiedzieli ci tak znajomi. – Jak to możliwe, że w jego głosie pobrzmiwało zaciekawienie, ale nie było w nim napastliwości?

– Pozostanę więc emerytowanym dżentelmenem, a Attilio nie będzie dla mnie pracował.

Brunettiemu nie przyszło na myśl nic innego, niż skinąć głową i się uśmiechnąć, jakby aprobował to rozwiązanie.

I wtedy, spontanicznie, niepytany, Gonzalo powiedział rzecz, która przyciągnęła Brunettiego, wciąż pozostawiającego ślady pazurów na wypolerowanej posadzce, do otworu drzwiowego:

– Postanowiłem więc znaleźć lepszy sposób, żeby mu pomóc.

– Słucham? – zaskamlał Brunetti.

– Adopcję.

– To możliwe?

De Tejada zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, po czym odparł:

– Z pomocą odpowiednich prawników możliwe.

– Aha – znowu zdołał bąknąć komisarz, po czym rzucił: – Dlaczego mi o tym mówisz?

Starszy mężczyzna, zaskoczony tym pytaniem, odpowiedział bez namysłu:

– Dlatego, że Orazio darzy cię miłością i zaufaniem, więc mógłby cię posłuchać.

– Gdybym co powiedział? – zapytał Brunetti, chociaż doskonale znał odpowiedź.

– Że jest już za późno, żeby mnie powstrzymać – zaczął Gonzalo głosem nabierającym mocy z każdym słowem, choć jego twarz pozostała twarzą zmęczonego starca. – Może przestać prosić moich przyjaciół, by spróbowali mi to wyperswadować, i nie szukać dowodów, że postradałem zmysły lub że wpadłem w złe ręce.

Czy to znaczyło, że Gonzalo usynowił już Attilia, czy tylko to, że już nie zmieni swojej decyzji? – zastanawiał się Brunetti. Złączył dłonie i przyłożył je do ust.

– Nie możesz mu sam powiedzieć? – spytał, uwalniając usta, po czym dodał rozsądnie, życzliwym tonem: – Przecież przyjaźnicie się dłużej, niż jestem na tym świecie.

Przyjaciel hrabiego Faliera spojrział na Brunettiego nagle zimnymi oczami.

– Proszę, nie staraj się mnie zniechęcić, Guido.

– Nie mam takiego zamiaru i to nie jest moja sprawa – zastrzegł natychmiast komisarz. – Po prostu nie chcę się w to mieszać.

– Cóż, i tak jesteś w to wmieszany – zauważył spokojnie Gonzalo.

Brunetti nauczył się we wczesnej młodości, że najlepszą obroną słabej pozycji jest atak.

– Co to ma znaczyć? – zachnął się, dając wyraz całemu poirytowaniu, w jakie wprawiała go ta sytuacja.

– Że jesteś spowinowacony z Orazim... przez prawo i przez miłość... i masz szansę powstrzymać go przed zrobieniem czegoś głupiego, czegoś, czego będzie żałował.

Komisarz oparł się pokusie powiedzenia temu starcowi, że ani on sam, ani jego przyjaciel Orazio nie mają przed sobą aż tyle życia, żeby się narażać na zmarnowanie go czymś takim. Paola stale mu powtarzała, że w każdej męskiej rozmowie chodzi o władzę i o to, kto ma jej więcej, i teraz otrzymał kolejny dowód słuszności jej stwierdzenia.

Do cna zniecierpliwiony powiedział:

– To nie moja sprawa, Gonzalo. Przypuszczam, że robisz to, aby ten człowiek odziedziczył cały twój majątek, a nie zaledwie część. – Gonzalo podniósł rękę na znak protestu, lecz stopy Brunettiego znajdowały się teraz na dywanie i miał wystarczająco dobrą przyczepność, by trafić tam, dokąd chciał trafić. – Mógłbyś przecież zacząć mu dawać wszystko, co chcesz. Teraz. Po prostu weź stąd, gdzie to trzymasz, i mu daj. I wyznacz go na spadkobiercę tej części swojego majątku, którą prawo pozwala ci zapisać mu w testamencie. Gdy wydarzy się coś, co skłoni cię do zmiany zdania, będziesz mógł zmienić testament. A tymczasem upłynnij dowolne aktywa i mu je daj. W gotówce. Bez podatku. Bez śladów.

De Tejada nachylił się i powiedział cierpkim głosem:

– I stwierdza to człowiek, który powiedział, że nie chce się mieszać. – Po czym, niemal z lekceważeniem, dodał: – Ale który ma już to wszystko wykoncypowane. – Podniósł ręce i wykonał dłonią gest, którym usuwał Brunettiego poza nawias swojego życia.

– Jeżeli mówię ci to, co powiedziałałby ci twój prawnik... – zaczął komisarz, powstrzymując się przed wybuchem złości. Gdy dostrzegł w oczach Gonzala błysk zaniepokojenia, rzucił: – i co przypuszczalnie już uczynił, wcale się nie mieszam; daję ci jedynie radę, jakiej udzieliłby ci każdy prawnik.

Ze sposobu, w jaki Gonzalo na niego spojrział, było oczywiste, że nie spodziewał się usłyszeć tego z ust komisarza. Brunetti był przekonany, że zaskoczyły go nie same uwagi, lecz ich źródło.

Postanowiwszy wygarnąć mu wszystko do końca, mówił dalej:

– Z chwilą usynowienia go... lub kogokolwiek... nie będzie odwrotu. Nie możesz otworzyć drzwi i zaoferować wszystkiego, co posiadasz na własność, a potem zmienić zdania i zatrzasnąć mu ich przed nosem.

Złość Brunettiego wyczerpała się, gdy tylko umilkł. Miał poczucie winy, że mówił do tego starca w taki sposób, jakby wymierzał mu policzek prawną argumentacją. Wstydził się, że tchórzliwie zataił, iż wie znacznie więcej, niż wydaje się wiedzieć i chciałby przyznać. Zresztą jakie to ma dla

niego znaczenie, dokąd trafią pieniądze Gonzala, czy zostawi je temu młodszemu mężczyźnie, czy też pozwoli, by trafiły do jego brata i sióstr? Czy też straci je w automatach do gry, jak traciło co miesiąc tylu emerytów?

Brunetti spojrzał na twarz Gonzala i zobaczył, że ten kiwa głową, a potem próbuje coś powiedzieć. Z jego ust wydobył się jakiś dźwięk, nie były to jednak słowa. Podniósł dłoń, prosząc Brunettiego o cierpliwość, i chrząknął kilka razy. W końcu rzekł:

– W porządku, Guido. Wiem, że to z dobrego serca.

Komisarzowi wydawało się, że starzec powiedział coś innego, ale nie mógł zrozumieć.

– Wybacz, Gonzalo. Nie dosłyszałem.

Starszy mężczyzna spojrzał mu prosto w oczy.

– To dlatego, że nie możesz zrozumieć – odparł, po czym, jakby się bał go urazić, położył żyłastą rękę na dłoni Brunettiego i wyjaśnił: – To dlatego, że otacza cię miłość. Pławisz się w niej. Masz Paolę, Chiare i Raffiego; masz nawet Orazia i Donatellę, którzy też cię kochają. Masz jej tyle – dodał, a potem się uśmiechnął – że pewnie nawet tego nie zauważasz.

Gonzalo umilkł i Brunetti siedział w milczeniu, opierając się odruchowej chęci cofnięcia dłoni lub, co gorsza, zażartowania. Czekał.

– Brak mi tego, Guido. Bycia kochanym. Miałem to w przeszłości, więc wiem, co zniknęło z mojego życia. – Poklepał Brunettiego po dłoni i uwolnił ją z uścisku. Brunetti cofnął rękę i ułożył ją na kolanie obok drugiej. – Pragnę kogoś kochać – rzekł, a potem dodał: – I znalazłem jego.

Komisarz nie mógł powstrzymać się od zapytania:

– Jesteś pewien?

Gonzalo znowu popatrzył na niego i odparł:

– Nie lituj się nade mną, chłopcze. Litość ludzi, których kochamy, jest gorsza od litości nieznajomych.

– Nie lituję się nad tobą – rzekł komisarz zgodnie z prawdą. – Martwię się tylko, że to złudzenie.

Gonzalo zadarł głowę i położył dłoń na sercu; obydwie te gesty świadczyły o przesadzie.

– Ale to, co ja czuję, nie jest złudzeniem.

Brunetti siedział, przez minutę nie mogąc wydobyć słowa. W końcu oznajmił:

– Przepraszam cię, Gonzalo. To nie moja sprawa i nie powinienem się w ogóle odzywać. Masz prawo robić to, co cię uszczęśliwi.

Wydawało się, że zmarszczki na twarzy Gonzala przez ostatnie pół godziny zrobiły się głębsze, a usta zastygły w wyrazie smętnej rezygnacji.

– I właśnie w tym problem, właśnie tego nie wiem.

– Czego?

– Co mnie uszczęśliwi.

Rozdział 15

Brunettiemu przemknęło przez myśl, że w przypadku Gonzala jest już trochę za późno, żeby coś takiego mówić. W „Il Gazzettino” zamieszczono niedawno artykuł o kłopotach, jakie wiele opiekunek ze Wschodu ma ze swoimi pracodawcami lub pacjentami. Wielu z tych starych dziadków, niekiedy po dziewięćdziesiątce, składało tym – niemal zawsze młodym – kobietom propozycje seksualne, grożąc, że w razie niespełnienia żądań oskarżą je o kradzież lub złe traktowanie. Seksualna dostępność tych kobiet z pewnością by ich uszczęśliwiła, ale to bynajmniej nie przemieniało ich szczęścia w Świętego Graala, któremu wszyscy muszą oddawać cześć.

– A wiesz, co jego uszczęśliwi? – zaryzykował pytanie Brunetti i natychmiast tego pożałował. Przecież niezależnie od więzów przyjaźni, jakimi on sam oraz Orazio byli złączeni z Gonzalem, chciał trzymać się od tego z daleka.

– Twierdzi, że uszczęśliwia go bycie ze mną i czerpanie wiedzy o sztuce oraz rynku sztuki, o tym, kim są działający na nim ludzie, kim są artyści. – De Tejada chyba obserwował twarz Brunettiego w chwili wypowiedzania tych słów, bo szybko dodał: – Ale nie tylko to: chce zrozumieć, dlaczego jedni malarze są lepsi od innych. W sensie wartości artystycznej, nie handlowej, ich dzieł.

Albo tylko tak twierdzi, pomyślał Brunetti, po czym zadał sobie pytanie, dlaczego występuje przeciwko temu człowiekowi, z którym nigdy nie zamienił nawet słowa. Padovani przynajmniej sam przyznał, że nie jest bezstronnym świadkiem.

Gonzalo, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, znowu zaczął mówić.

– Tak bardzo przypomina mnie, gdy byłem w jego wieku. Bystry, ciekawy, spragniony wiedzy. Chcę, żeby umiał... – Nie mogąc dokończyć

zdania, podniósł głowę i spojrzał na Brunettiego. – Żeby umiał kochać... – zdążył dopowiedzieć, zanim duma kazała mu zamilknąć.

Brunetti zdał sobie sprawę, że Gonzalo nie chce, żeby ten młody człowiek się uczył lub miał sposobność studiować sztukę; że pragnie, by z tego powodu czuł dla niego wdzięczność i go kochał. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać z niedokończonego wyznania tego starca, bo tym właśnie były jego słowa. Gonzalo musiał być trochę świadom swoich złudzeń. Brunetti wykluczał jakąkolwiek inną interpretację wydarzeń lub motywację. Ten młody człowiek był tylko kolejną z bystrych młodych istot, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, idących na kompromis na długiej drodze do sukcesu. Brunetti był pewien, że Gonzalo poznał ich wiele, ale teraz skrzydlaty rydwan czasu już się zbliżał.

– Jest jeszcze coś – rzekł de Tejada znużonym głosem.

– Co takiego, Gonzalo? – zapytał komisarz tonem, który usiłował zabarwić nutą zaciekawienia.

Gonzalo wziął chusteczkę i znowu wytarł usta, po czym włożył ją z powrotem do kieszeni.

– Trudno to wytłumaczyć.

Brunetti siedział nieruchomo jak posąg.

– Moje rzeczy – ciągnął przyjaciel hrabiego Faliera. – Nie wiem, co z nimi zrobić.

– Z którymi rzeczami?

Gonzalo długo zwlekał z odpowiedzią. Komisarz pomyślał, że pewnie przygotowuje listę.

W końcu starzec rzekł:

– Z każdą z nich. Ze wszystkimi.

– Niestety, nie rozumiem – przyznał Brunetti.

Czas płynął. Gonzalo spojrzał w okno. W końcu odwrócił się, popatrzył na komisarza i powiedział:

– Pomyśl o tym obrazie Canaletta, który macie u siebie.

– O tym w kuchni? – upewnił się kompletnie zdezorientowany Brunetti. Gonzalo skinął głową i rozprostował nogi.

– Od lat mi powtarzasz, że Chiara go uwielbia.

– Owszem – przytaknął komisarz. Nie rozumiał, dlaczego Chiara uwielbia ten obraz ani dlaczego Gonzalo o tym pamiętał.

– I właśnie o to chodzi – odparł stary marszand głosem nagle przepełnionym chęcią wytłumaczenia. – Uwielbia go, więc ty i Paola wiecie, co z nim zrobić: możecie go jej dać. – Spojrzał na Brunettiego i widząc, że nie zrozumiał, wyjaśnił: – To coś, co bardzo lubicie, i wiecie, że trafi do kogoś, kto go uwielbia.

Ponieważ komisarz milczał, Gonzalo nachylił się w fotelu, żeby znaleźć się bliżej.

– Guido, przez całe życie kolekcjonowałem piękne rzeczy i je kocham. Teraz jednak nie wiem, dokąd one trafią. Zostaną rozdzielone między mojego brata i siostry albo wystawione na aukcję i sprzedane obcym ludziom, którzy nic nie będą do nich czuli.

Brunetti nie mógł na to nic powiedzieć.

De Tejada wyprostował się w fotelu i na powrót założył nogę na nogę.

– Myślałeś, że nazwę je swoimi dziećmi, prawda? – zapytał żartobliwym tonem, który Brunetti pamiętał z przeszłości.

– Tak nie myślałem – odparł komisarz, skrywając niepewność.

– Nie jest jeszcze ze mną aż tak źle, Guido – rzekł Gonzalo, po czym spokojnie dodał: – Są piękne i chciałbym, żeby trafiły do kogoś, kto doceni ich piękno.

– A jeśli nie doceni?

Starzec uśmiechnął się krzywo i odparł:

– Wtedy okaże się, że jestem głupią, starą ciotą i wszystko rozdałem.

– Zamiast?

– Zamiast być kimś, kto kolekcjonował piękne rzeczy i dokonał trafego wyboru w kwestii ich przekazania.

– Czy to lepsze rozwiązanie? – zapytał komisarz, wiedząc, że nie powinien był tego mówić. Zdał sobie sprawę, że jest już u kresu cierpliwości. Położył de Tejedzie rękę na dłoni i ścisnął ją. – Chyba byłoby lepiej, gdybyś wrócił do domu, Gonzalo. Ta rozmowa wyprowadziła nas obu z równowagi. – Starszy mężczyzna skinął głową na znak zgody i wydało się, że zwiotczał i wtopił się fotel. – Czy ktoś jest w domu?

Starzec znowu skinął głową.

– Maria Grazia. Znasz ją.

Brunetti pamiętał tę kobietę, z Umbrii, o nieprzyjaznej twarzy, oddaną swojemu *padrone*.

– Oczywiście – potwierdził. – Mógłbyś mi dać jej numer? – Gonzalo recytował cyfry, a komisarz wstukiwiał je na klawiaturze swojego telefonu. Gdy odebrała jakaś kobieta, nie mówiąc nic poza słowem *pronto*, komisarz zapytał, czy to dom signora Rodrigueza de Tejedy, a ona potwierdziła i zapytała, kto mówi.

Brunetti wyjaśnił, że jest komisarzem policji, starym przyjacielem signora Gonzala, że właśnie wysyła go do domu łodzią i chce mieć pewność, że ktoś wyjdzie mu na spotkanie. Wydawało się, że na wieść o tym kobiecie ulżyło. Poprosiła o możliwość rozmowy z *il signore*. Brunetti podał telefon Gonzalowi.

Chociaż starzec nadal wyglądał na osłabionego i wycieńczonego, głos miał pewny i niemal śmiały, gdy zakomunikował, że będzie w domu za dwadzieścia minut i ma nadzieję, że Maria Grazia była już po gazety, by po powrocie miał co czytać. Ulgę w głosie kobiety, choć nie jej słowa, słyszał nawet Brunetti; po chwili rozmowa dobiegła końca. Gonzalo umieścił telefon w wyciągniętej dłoni Brunettiego, ale go nie wypuścił i drugą ręką podtrzymał dłoń komisarza. Tytułem podziękowania uścisnął ją oburącz.

Brunetti zadzwonił do Rugoletta i zapytał, czy ten może przyjść na chwilę do jego gabinetu, a następnie do Foi z prośbą o wyświadczenie przysługi i zawiezienie przyjaciela do domu w Cannaregio.

– Bardzo dobrze się składa, *commissario*. Od samego rana słyszę w silniku dziwne stuki i przed obiadem chciałem popłynąć do mechanika...

który przypadkiem ma warsztat w Cannaregio... żeby mu się przyjrzał. Oczywiście pana przyjaciel może popłynąć ze mną: poproszę, żeby posłuchał tych stuków i powiedział, czym jego zdaniem mogą być spowodowane.

– Uczyni to z radością. Jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności, że twój mechanik jest w Cannaregio.

– Rzeczywiście szczęśliwy, prawda, komisarzu? – odparł pilot ze śmiechem i się rozłączył. Brunetti przypuszczał, że Foa ma zaprzyjaźnionych mechaników dogodnie rozlokowanych we wszystkich *sestiere* miasta, na wypadek gdyby ktoś go poprosił o podwiezienie do domu.

Gdy zjawił się Rugoletto, podszedł do Gonzala i ujął go pod lewą rękę; Brunetti chwycił go za prawą i razem ruszyli z nim na korytarz i ku schodom. Gonzalo wielokrotnie stękał i ciężko sapał, ale zdołał zejść po schodach. Na parterze uwolnił ręce, podziękował im za pomoc, po czym rzekł:

– Nigdy nie lubiłem schodów, zawsze bałem się, że upadnę. – Wyprostował się i bez pomocy ruszył do drzwi. Brunetti szedł za nim. Na nabrzeżu pomógł mu wsiąść do motorówki, a potem razem z Foą sprowadzili go po schodkach do kabiny.

– Chciałbyś, żebym z tobą popłynął, Gonzalo? – zapytał komisarz, gdy starszy mężczyzna usadowił się w pobliżu drzwi.

– Oczywiście, że bym nie chciał, Guido. Twój kapitan może mnie z łatwością zawieźć do domu. A Maria Grazia oraz Jérôme... dwoje starych głupców... przypuszczalnie czekają już przy drzwiach na łódź.

– To świetnie – stwierdził Brunetti i pochylił się, żeby pocałować Gonzala w oba policzki. – Cieszę się, że znowu cię zobaczyłem.

– To trwało zbyt długo – rzekł de Tejada, ale komisarz już zbierał się do odejścia i nie był pewien, czy chodziło mu o czas od poprzedniego spotkania, czy ten, który spędzili na rozmowie, nie odwrócił się więc, żeby zapytać.

Wahadłowe drzwi kabiny zamknęły się za Brunettim, a on wyskoczył z łodzi; Foa zwiększył obroty silnika i skierował motorówkę w stronę Rio San Giovanni Laterano. Gonzalo machał z kabiny do komisarza, który pomachał w odpowiedzi obiema rękami i przyglądał się motorówce, dopóki nie skręciła w prawo i nie zniknęła mu z oczu w drodze na lagunę, a potem w lewo w kierunku Cannaregio.

Wracając do gabinetu, uzmysłowił sobie, że gdyby Gonzalo zainteresował się kobietą młodszą o czterdzieści lat i chciał się z nią ożenić, niewiele osób kwestionowałoby jego wybór. Może zdroworozsądkowość tego wyboru tak, ale nie sam wybór. Był przecież mężczyzną, a mężczyźni mieli prawo do tego, na co mogli sobie pozwolić. Ponieważ jednak jego wybrankiem był mężczyzna, a Gonzalo pragnął go usynowić, postrzegano to w innym świetle, czegoż bowiem mężczyzna w kwiecie wieku mógł chcieć od znacznie starszego człowieka oprócz jego bogactwa? Niezależnie od tego, czy było to prawdą, Brunetti nie podważał faktu, że prawdopodobnie takie jest powszechne przekonanie. Nie kwestionował też tego, że większość osób uważałaby, iż sprzedanie się za pieniądze to rzecz naturalna dla kobiety, ale nie dla mężczyzny.

Kiedy dotarł do swojego komputera, wyświetlił na ekranie przepisy dotyczące adopcji osoby dorosłej i zaczął je studiować, a potem poddał ponownej starannej analizie.

Jeżeli bezpotomny człowiek chciał, żeby jego majątek został odziedziczony bezpośrednio bez większych uszczupień podatkowych, musiał jedynie przekonać swoją małżonkę lub małżonka do zgody na adopcję najmilej widzianej osoby, o ile ta osoba była co najmniej osiemnaście lat młodsza. Fakt, że rodzice tej osoby nadal żyli, nie stanowił przeszkody, pod warunkiem że biologiczni rodzice wyrazili na to zgodę. Z chwilą adopcji syn bądź córka byli związani z nowym rodzicem lub rodzicami niczym skałoczep z kamieniem i posiadali większość praw ślubnego czy nieślubnego dziecka. Nowy rodzic miał obowiązek utrzymywać adoptowaną osobę dopóty, dopóki nie była zdolna – albo skłonna – czynić tego sama.

Brunetti nie potrafił sobie wyobrazić sytuacji, która skłoniłaby na przykład szewca do adopcji dorosłej osoby, ani nie rozumiał, dlaczego dorosły człowiek miałby chcieć być adoptowany przez sprzedawcę warzyw i owoców. Zamiast jednak pozwolić, by skarbcem jakiegoś księcia bądź jakiejś hrabiny zawładnęli pośledniejsi spadkobiercy lub prawnicy wynajęci do walki o udziały swoich klientów, o wiele mądrzej jest wybrać najlepszego przedstawiciela nowego pokolenia i zostawić to wszystko jemu bądź jej. W ten sposób nie ma potrzeby toczyć sporów o gobeliny i wille, o ukryte tu i ówdzie lokaty na rachunkach bankowych ani narażać na ujawnienie niestosownych rewelacji na temat pochodzenia – lub, co bardziej szokujące, rozmiarów – bogactwa. Adoptować dorosłą osobę i wszystko może pozostać po staremu, przy niewielu kłopotliwych żądaniach ze strony państwa. Teraz zaś, w czasach powszechnej demokracji, prawo adopcyjne miało zastosowanie do wszystkich, więc każdy mógł dokonać adopcji.

Brunetti wiedział, że obywatele wielu innych krajów mogą robić z pieniędzmi, co chcą: zostawić sierotom i wdowom, swoim kochankom, kotu, a nawet – jeżeli tak postanowią – zapakować je na łódź wikingów, podpalić i puścić z falami odpływu. On jednak oraz wszyscy inni Włosi musieli przestrzegać przepisów i pozostawić nakazaną przez prawo część majątku krewnym. Resztę można było roztrwonić lub spożytkować zgodnie z zasadami miłości, nie państwa.

Po śmierci matki Brunetti odziedziczył siedemset dwanaście euro, połowę oszczędności na jej rachunku bankowym. Było mu zatem trochę trudno zrozumieć troskę innych o to, by ich majątek trafił do właściwej osoby lub osób. Wiedział, że jego żona zostanie pewnego dnia spadkobierczynią, a jego dzieci będą w końcu bogate. Uważał, że zdecydowanie ważniejsze jest to, że oboje już martwili się stanem środowiska, a jedynym celem Chiary było ratowanie planety. Czy czyjekolwiek dziecko mogłoby mieć wspanialsze marzenie?

Rozejrzał się i stwierdził z zaskoczeniem, że nadal siedzi przy biurku. Nie chciał dzwonić do Foi, żeby zapytać, czy ktoś wyszedł Gonzalowi na

spotkanie. Pilot z pewnością zatelefonowałby, gdyby wystąpiły jakieś problemy. Popatrzył na zegarek, zobaczył, że jest po pierwszej, postanowił więc wyjść i kupić coś do jedzenia. Gdy przyszedł do baru, zastał tam jedynie turystów, poprosił więc Bambolę, senegalskiego barmana, o kawę i dwie *tramezzini*. Rozłożył najnowszy numer „Il Gazzettino” na bufecie i w oczekiwaniu na przekąskę, którą postanowił nazwać obiadem, spojrzął na pierwszą stronę dziennika.

Gdy wylądował przed nim zamówiony posiłek, komisarz podziękował Bamboli i pozostał przy kontuarze, żeby przejrzeć gazetę. Tego dnia redaktorzy „Il Gazzettino”, znanej z szokujących nagłówków – okraszających często relacje, które przeczyły zawartym w nagłówkach insynuacjom – nie sprawili mu zawodu. Morderca, który pozostawił rozczłonkowane ciało kobiety w lesie na północ od Werony, liczył, zdaniem autora artykułu, że miejscowe dziki pozbędą się zwłok za niego.

– Chyba wystarczy – rzekł Brunetti pod nosem, złożył gazetę i ruszył do kasy. – *Come va?* – zapytał barmana.

Uśmiech uradowanego Kota z Cheshire ukazał zęby równie białe jak u jednego z bohaterów powieści Lewisa Carrolla, choć chyba trochę szersze.

– Świetnie, *dottore* – odparł Bambola. – Przyjeżdżają do mnie żona i córka – Zawahał się na chwilę, jakby nie miał pewności, czy powiedzieć coś więcej, po czym dodał: – Dottoressa Griffoni napisała za mnie kilka listów. Zadzwoiła też do swojego znajomego w Rzymie. I wtedy przyszły dokumenty. – Poruszony do głębi oparł się rękami o kontuar i spojrzął na jego powierzchnię. Komisarzowi wydawało się, że w oczach mężczyzny zobaczył łzy. – Nie widziałem ich od dwóch lat – wyjaśnił głosem, który momentami cichł do szeptu.

– Ile teraz ma lat? – zapytał Brunetti, mając nadzieję, że banalność pytania pomoże barmanowi odzyskać panowanie nad sobą. – Gdy pokazywałeś mi ją na zdjęciu, była małą dziewczynką.

Bambola podniósł głowę i spojrzął na komisarza.

– Pamięta pan to zdjęcie?

– Twoja córka wyglądała wtedy dokładnie jak moja, gdy była w jej wieku. Ile miała wówczas lat, trzy? – zapytał Brunetti. Widząc, że barman skinął głową, ciągnął: – Stała identycznie, ze skrzyżowanymi nóżkami, z rączką w dłoni matki i tym bledziutkim uśmiechem na buzi, jakby nie potrafiła zdecydować, czy jest szczęśliwa, czy się boi. – Po chwili, nagle poważny, stwierdził: – Przykro mi, że straciłeś te lata. – Po chwili zastanowienia dodał: – Ale ona wciąż jest małą dziewczynką, a na świecie nie ma piękniejszych stworzeń. I wkrótce tu będzie. – Sięgnął nad kontuarem i położył mężczyźnie dłoń na ramieniu. – Mam nadzieję, że te dni szybko miną i już niebawem zobaczymy je tutaj.

Pochyliwszy głowę, żeby widzieć monety, Bambola przesunął trzy euro po ladzie i wrzucił je do kasy, rejestrując sprzedaż. Spojrzał na Brunettiego, uśmiechnął się i rzekł:

– Znowu będę miał po co żyć.

– Nie ma lepszego powodu – przyznał komisarz i odwrócił się w stronę drzwi.

Jak człowiek mógł to znieść? – zastanawiał się Brunetti, wracając do komendy. Od dwóch lat bez rodziny, określany mianem wymyślonym przez jakiegoś Włocha, ponieważ jego prawdziwe imię było zbyt trudne do wymówienia. Odkąd znał Bambole, ten nosił swoją dżalabiję, każdego dnia śnieżnobiałą, świeżo wypraną i wyprasowaną. Czy w ten właśnie sposób kurczowo trzymał się tego, kim był?

Poszedł na piętro do gabinetu Griffoni i zastał ją przy pokrytym dokumentami biurku, gdy przesuwiała nierówny stos papierów z lewej strony blatu na prawą. Mruknęła coś na powitanie i sięgnęła po kolejną stertę.

– Pisałaś listy dla Bamboli?

Skinęła głową, ale nie raczyła podnieść wzroku.

– I dzwoniłaś do kogoś w Rzymie?

– Mam znajomego, który pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych
– odparła, nie przestając porządkować biurka.

– Żeby ściągnąć tu jego rodzinę?

– Nie, Guido... żeby sprawdzić, czy zdołam załatwić mu posadę podsekretarza stanu – odpaliła, po czym patrząc na komisarza, potwierdziła:
– Oczywiście, że w tym celu. Nie oczekujesz chyba, że dalej będzie tak źle, prawda?

– Poprosił cię o to?

– To nie twoja sprawa – odpowiedziała głosem, który nie brzmiał już tak przyjaźnie. Potem jednak dorzuciła tytułem wyjaśnienia: – Jedyne, o co mnie kiedykolwiek zapytał poza tym, jak się miewam, to czy smakowała mi kawa.

– Pisząc te listy, musiałaś posłużyć się jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem, prawda?

Nie owijając w bawełnę, Griffoni odparła:

– Tak. Oczywiście. Ministerstwo nie przyznałoby przecież prawa pobytu żonie i córce kogoś o imieniu Bambola.

Nie zważając na jej ton, komisarz zapytał:

– Jak ono brzmi? To prawdziwe?

– Bamba Diome.

– Dziękuję.

Komisarz Griffoni niełatwo było przyznać, że coś ją ciekawi, trochę więc trwało, zanim się odezwała:

– No i?

– No i mogę zacząć się do niego zwracać, używając jego prawdziwego imienia.

Griffoni skinęła głową i powiedziała:

– Jego żona ma na imię Diambal, a córka Pauline.

– Pauline?

– Tak, skończyła pięć lat.

- Dobrze – rzekł komisarz, po czym dodał: – Dziękuję.
- Bardzo proszę – odparła Griffoni. Wróciła do przesuwania dokumentów po blacie biurka, a Brunetti do swojego gabinetu.

Rozdział 16

Mniej więcej godzinę później do gabinetu Brunettiego przyszła signorina Elettra, żeby się pożegnać. Komisarz nie miał odwagi zapytać, gdzie spędzi urlop, i poprzestał jedynie na życzeniach *buone vacanze*. Sekretarka Patty nawet nie zasugerowała, że przez następne trzy tygodnie będzie w kontakcie z komendą, a on nie ośmielił się zapytać, czy będzie uchwytna za pośrednictwem SMS-ów. Zamierzał podejść do drzwi i uścisnąć jej dłoń, ale ostatecznie tego nie zrobił. Obojętna na jego skrępowanie Elettra pomachała mu dłonią i życzyła *buon lavoro*.

Przestępczość postanowiła chyba wykorzystać nieobecność Elettry, bo pod koniec pierwszego tygodnia jej urlopu złodzieje zdołali zwinąć trzy sztuki biżuterii z wystawy w Palazzo Ducale pod życzliwym okiem jednej z kamer zainstalowanych do ochrony eksponatów. Nagranie z monitoringu pokazało dwóch przestępców, którzy leniwie spoglądając na gabloty wystawowe, zwracali baczną uwagę na inne osoby w pomieszczeniu. Po czym, gdy zostali sami, kamera w drugim końcu sali zarejestrowała, jak jeden z nich z zaskakującą łatwością otwiera gablotę i wsuwa trzy sztuki biżuterii do kieszeni, po czym wychodzi za współnikiem. Przeszli powoli do głównego wyjścia i tam, mimo wyjących już syren alarmowych, z rękami w kieszeniach – spokój, grunt to spokój – wmieszali się w tłum pozostałych zwiedzających.

Pracownicy Palazzo zamknęli niektóre wyjścia i próbowali powstrzymać turystów przed opuszczeniem budynku. To wszystko nie zdało się na nic: trzy eksponaty wystawowe i dwaj mężczyźni zniknęli w tłumie turystów przechadzających się po Riva degli Schiavoni lub przeciskających się przez tłumy innych, zmierzających do mostu Rialto, Galerii Akademii lub do Floriana na kawę.

Vianello i Pucetti zajęli się wszelkimi kontaktami i wymianą informacji z personelem Palazzo Ducale. Po paru godzinach mieli już fotografie skradzionej biżuterii, zdjęcia dwóch złodziei z kamer skierowanych na wszystkie gabloty wystawowe oraz kopie świadectw pochodzenia i dokumentów ubezpieczeniowych każdego eksponatu. Pracowali w pomieszczeniu socjalnym, bo nikt nie śmiał korzystać z biurka signoriny Elettry. Jej komputer stał porzucony, krążyła pogłoska, że przed wyjazdem wyjęła z niego twardy dysk, chociaż nie dało się znaleźć nikogo, kto by przyznał, że ma taką pewność. Nikt też nie był skłonny podejść do jej biurka, aby to sprawdzić, a tym bardziej znaleźć sposób na dostanie się do komputera, żeby zweryfikować, czy dysk znajduje się na swoim miejscu; oczywiście byli i tacy jak Brunetti, którzy nie rozpoznaliby go nawet wtedy, gdyby ukazał się im w wyobraźni i do nich przemówił. Śledztwo, przekazane w całości speccom z oddziału do spraw kradzieży i fałszerstw dzieł sztuki w Rzymie, było kontynuowane, nie posuwało się jednak do przodu.

Trzeci tydzień nieobecności sekretarki zastępcy komendanta miał przynieść śmierć, ale najwyraźniej nie zbrodnię. Zazwyczaj, przynajmniej w powieściach, śmierć przychodzi w środku nocy, budząc ludzi ze snu, który zawsze jest ciężki, niespokojny albo głęboki. Wieść o śmierci Gonzala Rodrigueza de Tejedy dotarła do Brunettiego telefonicznie ostatniego dnia wakacji signoriny Elettry, kwadrans po jedenastej. Podobnie jak wszyscy inni w komendzie, komisarz w określaniu czasu przyjął jako punkt odniesienia datę jej powrotu i w taki właśnie sposób miał później wspominać ten dzień i o nim mówić.

Informację przekazał mu jego teść, po tym gdy otrzymał ją od siostry Gonzala, Eleny, która:

– ...zadzwoiła do mnie dzisiaj rano. Gonzalo był u niej z wizytą i właśnie szli do muzeum Thyssen-Bornemisza, gdy upadł twarzą na chodnik. Tak po prostu, powiedziała. Szedł obok niej, mówiąc, jak bardzo

pragnie znowu zobaczyć obrazy Goi, a sekundę później leżał martwy na chodniku.

– Ona jest emerytowaną lekarką, prawda? – zapytał Brunetti.

– Tak – odparł teść komisarza. – Gdy zrozumiała, co się stało, i uklękła, żeby go reanimować, nie można było już nic zrobić. W ciągu paru chwil – dodał hrabia i umilkł, jakby właśnie zdał sobie sprawę, jak krótkie były te chwile i jak bliskie mogą być. – Uważa, że nastąpił wylew krwi do mózgu.

– Dzisiaj rano? – upewnił się komisarz.

– Tak, zadzwoniła do mnie pół godziny temu.

– Co teraz będzie? Przeprowadzą sekcję zwłok? A pogrzeb? – Starał się myśleć o tych rzeczach, o których człowiek nigdy nie myśli w nagłej sytuacji, a jego umysł i serce wciąż próbowały uporać się ze wstrząsem.

– Nic o tym nie mówiła – odparł hrabia. – Jeszcze nie wyszła ze szpitala.

– Biedna kobieta – wyszeptał Brunetti z głębokim przekonaniem.

– Obiecała, że do mnie zadzwoni, ale nie wiem, kiedy to nastąpi.

– Wybierzesz się?

Hrabia nie odpowiedział; komisarz milczał, zdecydowany poczekać.

– Sądzę, że to zależy od Eleny – odparł w końcu hrabia Falier.

– Od tego, czy cię zaprosi? – zapytał speszony Brunetti.

– Nie, chcę się dowiedzieć, czy jej zdaniem Gonzalo życzyłby sobie mojego przyjazdu.

– Było aż tak źle? – zapytał bez namysłu komisarz.

– Co było aż tak źle? – odpowiedział ze złością teść. – Upadł i skonał. – Brunetti usłyszał, jak jego rozmówca oddycha ciężko, usiłując się uspokoić.

– Nie wyraziłem się jasno, Orazio. Miałem na myśli wasze ostatnie spotkanie. Powiedziałeś mi, że zostawił cię w restauracji.

– Ach – rzekł hrabia i przeciągle westchnął. – Zapomniałem, że mówiłem ci o tym. – Komisarz słuchał przez jakiś czas oddechu teścia. – Nie, aż tak źle nie było – wyjaśnił w końcu Falier. – Wcześniej też dochodziło między

nami do kłótni, zdecydowanie gorszych, ale obawiałem się tego, co mógł jej o mnie powiedzieć, gdy tam był, że go szpiegowałem.

– Przecież do ciebie zatelefonowała – zauważył Brunetti. – To z pewnością wiele znaczy.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał hrabia, po czym umilkł. W końcu, gdy już napięcie w jego głosie zelżało, dodał: – Pewnie nadal uważa mnie za jego najlepszego przyjaciela.

– Cóż, byłeś nim przecież, prawda? – zapytał komisarz.

Zamiast potwierdzić bądź zaprzeczyć, hrabia rzekł:

– W takim razie się wybiorę.

– A Donatella?

– Pojedzie. Gonzalo był również jej przyjacielem.

Brunetti i jego teść wymienili dalsze spostrzeżenia, po czym Brunetti zakończył rozmowę, proponując, żeby hrabia nie blokował linii na wypadek napływu nowych informacji, jakie być może chciałaby mu przekazać siostra Gonzala.

Gdy się rozłączyli, komisarz podszedł do okna i spojrzał na Canale di San Lorenzo: gdyby był odpływ, ten widok miałby w sobie za dużo symetrii. Dostrzegł czerwony foliowy worek unoszący się na powierzchni wody i przyglądał mu się, dopóki nie zauważył, że zmierza w lewo, obok domu spokojnej starości. Nadchodził przypływ. Tyle, jeśli chodziło o symetrię.

Zadzwoił do Paoli, która była w pracy, i przekazał jej smutną wiadomość.

– Biedak – stwierdziła, a potem zapytała, jak przyjął tę wieść jej ojciec.

– Źle. Pojadą na pogrzeb.

– Aha. – Paola nie znalazła innych słów komentarza.

– Wrócisz na obiad? – zapytał, wiedząc, że to dzień jej godzinnego dyżuru w gabinecie, czas spotkań ze studentami.

– Wywieszę kartkę na drzwiach.

– Dobrze. Zatem do zobaczenia w domu – rzekł Brunetti i odłożył słuchawkę. Z niezrozumiałych powodów ogarnęła go chęć przeczytania końcowych scen *Trojanek*. Śmierć położyła kres życiu Gonzala niczym drzwi zatrzaśnięte mu przed nosem: ludzie, którzy go kochali, nie mieli czasu przygotować się na tę stratę. Brunettiemu wydawało się, że pamięta, co miało się stać z tymi kobietami, i miał nadzieję, że ostrzeżenie zawczasu sprawi, że łatwiej mu będzie znieść wiadomość o ich losach. Nie racząc mówić komukolwiek, dokąd się wybiera, wyszedł z gabinetu, opuścił gmach komendy, zostawił to wszystko i wrócił do domu.

Tekst tragedii zawierał tak głębokie treści, że dokończenie lektury zajęło mu godzinę. Hekabe, królowa Troi, ma zostać niewolnicą Odysa, tego „chytrego plugawego”, „potwornej bestii”. Andromasze odbierają syna, by strącić go z baszt Troi, a Kasandrę wyprowadzają ze sceny, żeby zgwałcił ją i zniewolił Agamemnon. W trzecim bezlitosnym ciosie losu zmaltretowane zwłoki dziecka Andromachy otrzymuje jego babka Hekabe, która może jedynie zapewnić mu pochówek, chociaż zdruzgotana uświadamia sobie, że „umarłym nie zależy na tem, czy w biednym ich pogrzebią gnieźle, czy bogatem, żyjącym li w smak idzie zbytek i przesada”. Potem zostaje zabrana ze sceny, będąc już teraz niewolnicą Odyseusza, człowieka, o którym wie, że „przyjaźń w nieprzyjaźń zamienia”. Tam, poniżej, czekają achajskie okręty.

Brunetti zamknął i odłożył książkę. Paola zawsze do znudzenia powtarzała, jak niezbędna dla naszego ducha jest lektura klasyków, gdyż posługują się pięknym językiem, żeby mówić nam rzeczy ważne. Ponieważ czytał tekst tragedii w przekładzie, nie miał pojęcia, jak piękny był język oryginału: po włosku czytało się go z łatwością, od czasu do czasu natrafiając na niezwykle zwrot, czy jednak była to zasługa Eurypidesa, czy tłumacza?

Zastanawiał się przez chwilę, co może być rzeczą ważną. Wojna i chciwość wciągają niewinnych i prowadzą do ich śmierci lub okaleczenia. Mężczyźni wyjeżdżają i odgrywają role bohaterów; kobiety są gwałcone, tracą mężów i patrzą, jak ich dzieci umierają bądź są mordowane pod

wpływem czyjegoś kaprysu, a ich zwłoki porzucane. Mężczyźni wyruszają walczyć i zdobywać sławę; kobiety zostają w domu i czekają. Czytamy o tym i słuchamy od dwóch i pół tysiąca lat, pomyślał, i nadal pędzimy na wojnę z bojowym okrzykiem na ustach.

Wstał i poszedł do kuchni, by nalać sobie kieliszek wina przed obiadem.

Wiadomość o śmierci stryja Gonzala zmartwiła dzieci Brunettich; dowiedziały się o niej przy kolacji. Chiara wciąż miała pluszowego misia, którego jej dał, gdy skończyła siedem lat, a Raffi zachował swoją pierwszą książkę w języku angielskim, *Treasure Island*, przysłaną mu przez stryjka z Londynu z okazji jedenastych urodzin. Obojgiem wstrząsnęła straszna nagłość tego zdarzenia: spacer, a chwilę później zgon. Było to sprzeczne ze wszystkim, czego dotychczas nauczyła ich ziemską egzystencja. Życie miało nie być bezlitosne. Żyli zbyt krótko, by rozumieć, jaką łaską było umrzeć błyskawicznie i bez zwłoki.

Gdy zostali z Paolą sami w salonie, a noc całkowicie zawładnęła miastem, Brunetti po wypiciu kawy długo siedział w milczeniu, zanim zapytał:

– Rozmawiałaś z ojcem?

– Jutro lecą do Madrytu. Pogrzeb jest następnego dnia, wrócą w poniedziałek po południu.

– Szkoda, że... – zaczął Brunetti, po czym umilkł, nie bardzo wiedząc, co chciał powiedzieć.

– Szkoda, że co? – zapytała Paola.

– Że nie wysłuchałem Gonzala podczas naszego ostatniego spotkania ani nie odważyłem się zapytać, czy już dokonał adopcji.

– Myślisz, że mógł to zrobić?

– Powiedział, że jest za późno, by twój ojciec go powstrzymał, ale ja wolałem wierzyć, że to znaczy, że podjął decyzję i nic jej nie zmieni. Równie dobrze jednak mogło to znaczyć, że już to zrobił.

– Możesz się tego jakoś dowiedzieć?

– Przypuszczam, że gdy tylko wróci signorina Elettra, mógłbym jej polecić, by sprawdziła akta w sądzie i zobaczyła, czy złożył wniosek i czy uzyskał zgodę.

– Zrobisz to?

Brunetti zastanowił się nad tym i odparł:

– Przecież to nie ma sensu, prawda? – Paola zmarszczyła czoło, więc ciągnął: – Albo go usynowił, albo nie. Albo on będzie dziedziczył, albo brat i siostry Gonzala...

– Może mój ojciec mógłby...

– Nie prosź go. Twój ojciec uważałby, że wtykanie w to nosa jest nieprzyzwoite – rzekł Brunetti, a jego głos zabrzmiał ostrzej, niż chciał.

Paola rzadko była zażenowana, gdy upominał ją za to, co powiedziała, ale tym razem odwróciła wzrok chyba po to, by ukryć rumieniec, a potem kilka razy kiwnęła głową.

– Masz rację – przyznała i po chwili namysłu stwierdziła: – Poza tym, jeżeli majątek Gonzala przypadnie temu młodemu człowiekowi, dość szybko dowie się o tym całe miasto. – Paola pogrzyżała się we własnych myślach, a po chwili dodała: – A potem będzie o tym mówić przez wiele dni.

Komisarz pomyślał o Gonzalu, o tym, jakim był dżentelmenem i jak cenił poczucie prywatności. To zaś skłoniło go do uwagi:

– Biedny Gonzalo. Bardzo by mu się to nie podobało. – Widząc zmieszanie Paoli, wyjaśnił: – Że jest przedmiotem plotek. Pomyśl tylko, co oni z tego zrobią. – Uznał za zbędne wymienianie z nazwiska jego znajomych i sympatyków, którzy od lat przyjmowali zaproszenia Gonzala i biesiadowali u niego. – „Głupi staruch, gotów uczynić wszystko, żeby zadowolić swojego kochanka”. „Starzejąca się ciota, która musiała płacić za seks”. – Brunetti starał się zawrzeć w swoim głosie odrazę, z jaką niektórzy ludzie wypowiadaliby się o życiu Gonzala, ale nie miał do tego serca. Umilkł i odetchnął, po czym już spokojniej ciągnął: – „Błogosławieni miłosierni”.

– W mieście, gdzie plotka to limfa krążąca w społeczeństwie – zauważyła Paola – litość jest dobrem deficytowym.

Brunetti zaczął wstawać z kanapy i egzemplarz *Trojanek* spadł na podłogę. Pochylił się i podniósł książkę, mówiąc:

– Skończyłem. – Po czym, dając się nieomal, stwierdził: – I teraz nie mam nic do czytania.

Paola uśmiechnęła się do męża.

– Masz trzy długie półki w moim gabinecie. Z pewnością znajdziesz na nich jakąś lekturę.

Skinął głową.

– Wiem. Naprawdę chodzi o to, że nie wiem, co chcę czytać.

– Idź i zobacz – poradziła i zasugerowała: – Może coś lekkiego.

– Lekkiego?

Paola wzięła swoją książkę z poręczy kanapy i zsunęła okulary z czubka głowy. Zerkając z uśmiechem nad szkieł, powiedziała:

– Na przykład *Sturmtruppen*. Kilka dni temu znalazłam egzemplarz, który trzymałam w pracy, i zajrzałam do tej książki. Nadal jest bardzo zabawna. Leży na moim biurku.

Pamiętał te komiksy ze studenckich czasów. Do licha, czemu nie *Sturmtruppen*?

Dwie godziny później twarz miał zmęczoną od uśmiechania się, a nawet wybuchów śmiechu z tej absurdystycznej wizji wojska. Zwyczajni żołnierze cierpieli i ginęli pod komendą rozmaitych dyletantów, mówiąc łamaną niemczyzno-włoszczyzną o umieszczaniu wszystkiego w swoich *tasken*, maltretowanych przez *Sergenten* i przez jeszcze gorszych *Uffizialen Superioren*, którzy do swojej bezużyteczności dodawali starczą demencję. Nawet *Eroiken Portaferiten*, sanitariusze, byli zbyt zajęci ograbianiem ciał poległych i konających, by przydać się w jakikolwiek sposób rannym oraz umierającym.

Zabrał komiks do łóżka i śmiał się, dopóki nie zgasił światła. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że *Sturmtruppen* na swój własny, lekki sposób są

książką równie antywojenną jak Eurypidesowe *Trojanki*.

Rozdział 17

Weekend minął spokojnie, zakłócony jedynie dwoma telefonami rodziców Paoli z Madrytu. Pierwszy raz zadzwonili, żeby powiedzieć, że wzięli udział we mszy żałobnej i zostali zaproszeni przez Elenę na kolację, która miała się odbyć tego samego wieczoru w restauracji z udziałem krewnych i bliskich przyjaciół zmarłego. Z Paolą rozmawiała *contessa*, wyjaśniając, że podczas nabożeństwa hrabia nie mógł pohamować łez i zaproponował, żeby wrócili odpocząć do hotelu.

– Odsapnąć? – Tylko tyle usłyszał Brunetti ze słów, które Paola wypowiedziała do matki, po czym słuchała długich wyjaśnień, zapewniła, że kocha ich oboje, i poprosiła, by w miarę możliwości zadzwonili po powrocie z kolacji; bez względu na porę.

– Odsapnąć? – zapytał Brunetti.

– Po pogrzebie ojciec chciał wrócić do hotelu odpocząć.

Brunetti spoglądał na żonę, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Twój ojciec?

– Był bardzo zmartwiony – wyjaśniła Paola. – Dziś wieczorem odbędzie się rodzinna kolacja. Są zaproszeni.

– Chyba powinniśmy wyjść na spacer – rzekł Brunetti w pierwszym odruchu.

– Dobry pomysł – odparła Paola, wstając z kanapy. – Możemy pójść do Zattere i pospacerować w słońcu. – Zrobili dokładnie tak, jak powiedziała; udali się najpierw do San Basilio. To znaczyło, że musieli przejść przez Campo Santa Margherita, a potem przedostać się na obrzeża Dorsoduro, by wyłonić się nad brzegiem Canale della Giudecca. Uderzyło ich światło słońca; Paola podniosła nawet rękę, by osłonić oczy, żałując, że zapomniała okularów przeciwsłonecznych.

Skręcili w lewo, zostawiając słońce za sobą, i ruszyli w stronę Gesuati, zadziwieni liczbą *gelaterie*, które powstały w ostatnim roku. Brunetti zastanawiał się, czy lody i pizza to teraz dwa najbardziej pospolite specjały we Włoszech. Może i na świecie? Tuż przed pizzerią stał zacumowany olbrzymi granatowy jacht, z pewnością przesłaniający widok na drugi brzeg kanału większości mieszkańców budynku, przed którym unosił się na wodzie.

Patrzyli przez kanał na Giudeccę okrytą cieniem i sprawiającą wrażenie niskiej i nieprzystępnej: Brunetti nie przepadał za tą wyspą ani – co tu dużo kryć – za jej mieszkańcami. Większość tych, których znał, była ordynarna i hałaśliwa, miała skłonność do przechwalania się i aktów przemocy, poważnych i drobnych. Kanał stanowił jednak miejsce, z którego roztaczał się wspaniały widok na miasto i skąd – zwłaszcza z końca wyspy, niedaleko Zitelle – można było je zobaczyć w pełnej krasie.

Wsunąwszy rękę pod łokieć Paoli, przyciągnął ją do siebie i zrównał z nią krok. Przed nimi jakaś kobieta z wyraźnym trudem trzymała na smyczy psa przypominającego doga, który próbował się uwolnić. Dopiero gdy podeszli bliżej, Brunetti rozpoznał, że to wilczarz irlandzki.

Uścisnął ramię żony, żeby zwrócić jej uwagę.

– Na litość boską, co ona robi z tak wielkim psem? – zapytał.

– Może jeżdżą na nim jej dzieci – zasugerowała jak zawsze praktyczna Paola.

Brunetti się roześmiał, spojrzął na kościół San Giorgio porażony popołudniowym światłem i pomyślał, jakie cudowne jest jego życie.

Gdy hrabia zadzwonił pod numer jego telefonu, zbliżała się północ. Wciąż jeszcze siedzieli w gabinecie Paoli, czytając i czekając na telefon z Madrytu. Podniósł słuchawkę i przysunął się do żony, przełączając na tryb głośnomówiący, żeby oboje mogli słyszeć całą rozmowę.

– Uczynili nas częścią swojej rodziny – rzekł na wstępie hrabia Falier. – Elena jest poniekąd moją daleką kuzynką. Kontakty z pozostałymi były sporadyczne, ale ona zawsze tyle o nich mówiła, że mieliśmy wrażenie, że

już się znamy – przerwał na chwilę i słycać było, jak rozmawia spokojnym głosem z żoną. – Donatella przesyła ucałowania – podkreślił i powrócił do relacji z wieczoru. – Nawet Rudy tam był. Przybył wczoraj. Powiedział, że kiedy przeczytał o śmierci Gonzala w gazetach... nikt nie pomyślał, by do niego zadzwonić... pojechał na lotnisko i wszedł do pierwszego samolotu lecącego do Madrytu.

– Jak on się miewa? – spytał Brunetti.

– Zdrowie mu dopisuje, ale śmierć Gonzala strasznie go zmartwiła. Na pogrzebie nie mógł powstrzymać łez. – Hrabiemu głos się załamał, po krótkiej przerwie podjął na nowo: – Szkoda, że...

– Znałeś jeszcze kogoś z obecnych? – Brunetti starał się zmienić temat.

– Paru jego przyjaciół, których poznałem przez lata, ale Rudy i Elena byli jedynymi... No cóż, jedynymi, których znałem naprawdę dobrze.

Paola machnęła ręką, by zwrócić uwagę męża i zapytała bezgłośnie: „A jutro?”.

– Co będziecie robić jutro? – powtórzył za żoną Brunetti.

– Przekaż Paoli – rzekł hrabia z typową dla siebie niesamowitą zdolnością czytania w myślach córki – że jej matka stwierdziła, że byłoby miło pójść do Prado, a potem pospacerować. Tutaj jest bardzo ciepło, prawdziwa wiosna.

– Dobrze, dobrze – wymamrotał Brunetti, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Paola właśnie podniosła rękę i zaczęła zbliżać do ust niewidzialny widelec, gdy jej ojciec rzekł:

– Chyba byłoby lepiej, gdybyśmy zjedli razem kolację we wtorek, bo gdy już wrócimy, oboje będziemy zmęczeni.

– Paola do was zadzwoni.

Brunetti usłyszał głos *contessy* i po chwili hrabia dodał:

– Zabierzcie dzieci, jeżeli zechcą przyjść.

Brunetti przystał na tę propozycję, uradowany możliwością spędzenia czasu przy kolacji na rozmowie o czymś innym niż podróż teściów do

Madrytu.

– Dzięki, że zadzwoniłeś – powiedział na zakończenie, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

Odłożył telefon i oparł dłoń na kolanie.

– No i? – zapytał, wpatrując się w światła za oknem.

– Chyba już pora się położyć – odparła Paola i wstała z kanapy. Wyszła z pokoju, nie mówiąc nic więcej, i ruszyła korytarzem do sypialni. Brunetti, wychodząc za nią, zgasił światło, a potem wrócił do pomieszczeń usytuowanych od frontu, by sprawdzić, czy wszystkie lampy są wyłączone, a drzwi zamknięte. To uczyniwszy, dołączył do żony w sypialni.

Poniedziałkowy poranek przyniósł powrót signoriny Elettry Zorzi do komendy. Obyło się bez pompy, z okien nie doleciał dźwięk trąbek, gdy wychodziła z motorówki Foi z naręczem kwiatów, które zapewne kupiła w jednej z kwiaciarni, a nie na targu przy moście Rialto. Uzbrojeni funkcjonariusze policji nie dobyli pistoletów i nie oddali z nich jednej salwy ani dwóch, w chwili gdy przekraczała próg budynku.

Ktoś spostrzegawczy zaobserwowałby jednak ogólną radość. Vianello ustawił na parapecie okiennym cztery napełnione już wodą wazony na kwiaty. Ponieważ signorina Elettra sprzeciwiała się używaniu środków chemicznych w płynie, Pucetti wymieszał ocet z wodą destylowaną i umył ekran jej komputera. Vice-questore Patta poprosił porucznika Scarpę, by wstąpił do Drogherii Mascari po kosz upominkowy z suszonymi owocami i czekoladkami, który stał teraz na jej biurku.

Brunetti wybrał mniej oczywistą strategię i o dziewiątej stał w oknie swojego gabinetu, czekając, aż policyjna motorówka zatrzyma się przy nabrzeżu poniżej. Podejrzewał, że potrójny sygnał syreny, uruchomiony przez Foę, gdy przepływali pod Ponte dei Greci, zwabił do okien niemało osób.

Nikt nie rzucał liści palmowych do stóp Elettry, ale taki widok z pewnością nikogo by nie zdziwił.

Uznawszy za stosowne opóźnić swoje pojawienie się w sekretariacie, komisarz wrócił do biurka i przejrzał grafik dyżurów na rozpoczynający się miesiąc. Te wykazy w najlepszym razie informowały funkcjonariuszy mundurowych, w jakie dni i na której zmianie mają być na służbie: kaprysy zbrodni tak często zmuszały do dłuższej pracy, czasem nawet przez wiele dni z rzędu, że wyżsi rangą funkcjonariusze traktowali wyznaczone dyżury jak niezobowiązujące propozycje.

Zerknął na zegarek i widząc, że dochodzi dziesiąta, uznał, że może zejść na parter, żeby się przywitać z signoriną Elettrą, która właśnie powróciła nie wiadomo skąd. Ułożył dokumenty w stos i umieścił je na tacce z korespondencją wychodzącą. Miał na sobie nową białą koszulę i ciemnoszary garnitur z mieszanki wełny z jedwabiem, uszyty na zamówienie w Neapolu: uświadomił sobie, że wystroił się tak na jej powrót.

Kolejki przed sekretariatem nie było, na korytarz nie przenikał też dźwięk głosów. Komisarz zastukał dwa razy we framugę i wszedł do środka. W sekretariacie pozostały dwa wazony z kwiatami, jeden na biurku Elettry i jeden na parapecie. To znaczyło, że resztą ozdobiła gabinet zastępcy komendanta. Siedziała przy biurku; komputer najwyraźniej pohamował przemożne pragnienie, by mrużyć z zadowolenia z powrotu Elettry do pracy.

– Ach, pan komisarz – powiedziała, podnosząc wzrok na dźwięk jego kroków. – Jakże miło znów pana widzieć.

– Stęskniliśmy się za panią – rzekł Brunetti, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak wiele w tym prawdy.

– Wierzę, że pod moją nieobecność wszystko toczyło się zwyczajnym torem – stwierdziła z nieszczerą pokorą.

– Tutaj wszystko jakoś zostaje po staremu, *signorina*. Tak przynajmniej wynika z moich obserwacji.

– Można by rzec, że dokładnie odzwierciedla to sytuację w kraju – odparła z uśmiechem, po czym zapytała: – Czy podczas mojej nieobecności omawiano wiele spraw i podjęto wiele działań?

– Omawiano wiele spraw i podjęto wiele działań. I niewiele się zmieniło.

Na twarzy Elettry rozkwitł uśmiech.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie – oznajmiła, a potem, nagle poważniejąc, spytała: – Czy powinnam dalej pracować nad tym, czym zajmowałam się przed urlopem, *signore*?

Najwyraźniej jeszcze nikt jej nie poinformował.

– Nie, niestety, to już nie będzie potrzebne. Signor Rodríguez de Tejada zmarł, gdy była pani na wakacjach.

Sekretarka Patty nie próbowała ukryć zaskoczenia.

– Och, tak mi przykro, panie komisarzu. Wiem, że był pana przyjacielem – powiedziała, po czym cichszym głosem zapytała: – Może pan o tym mówić?

– Był w Hiszpanii, z siostrą, szli do muzeum. Upadł wskutek wylewu krwi do mózgu, co potwierdziła sekcja zwłok. Zmarł natychmiast. – Brunetti opisał to po raz pierwszy od śmierci Gonzala. Był zaskoczony, że przyszło mu to z takim trudem. Westchnął głęboko i dotknął płatków różowego tulipana.

– A sprawa adopcji?

– Nie mam pojęcia. To już nie ma znaczenia.

Signorina Elettra zawahała się, jak zawsze gdy miała powiedzieć coś, co mogłoby zostać źle przyjęte, po czym zauważyła:

– Może mieć dla jego krewnych.

Komisarz skinął głową na potwierdzenie, że sekretarka Patty ma rację.

– Chodziło mi o to, że nie ma znaczenia, czy o tym wiemy, czy nie. Teraz o tym, co się stanie, zdecyduje prawo.

– Właśnie – odparła z poważną miną Elettra. – Prawo określi, kto jest spadkobiercą, i dlatego zapytałam o adopcję.

– To nie jest i chyba nigdy nie był nasz problem, *signorina* – rzekł Brunetti życzliwym, jak sądził, głosem. Nie chciał popadać w melodramatyzm, nie dodał więc, że Gonzalo nie jest już w stanie przejmować się tą sprawą.

– Co mam zatem zrobić z tym, co odkryłam, zanim poszłam na urlop? Bądź z tym, co mogło się pojawić podczas mojej obecności?

– Chciałbym, żeby pani przestała się tym zajmować. Proszę to wszystko z łaski swojej umieścić w jakiejś teczce. Możemy o tym zdecydować... – zaczął Brunetti, ale nie potrafił sprecyzować, kiedy mogłoby to nastąpić – ...później.

Signorina Elettra przechyliła głowę na bok, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. Zerknęła na ekran komputera, który – jak zauważył komisarz – był pusty. Potem pokiwała głową, bardziej do własnych myśli niż po to, by potwierdzić, że słyszała jego słowa, i oznajmiła:

– Dobrze, *commissario*. Założę teczkę i wszystko w niej umieszczę, a gdy ta sprawa będzie dla pana już mniej bolesna, podejmie pan decyzję, co z tym począć.

– To wydaje się rozsądne – stwierdził Brunetti i przypomniał, że wciąż czekają na informacje o sąsiadach zastępcy komendanta. Podziękował Elettrze za troskę, uświadomił sobie, że formalnie nie powitał jej po powrocie, i zrobił to teraz, dodając, że z radością widzi ją tak wypoczętą. Potem opuścił sekretariat i wrócił do swojego gabinetu.

Rozdział 18

Brunetti pomyślał, że najlepiej będzie postąpić zgodnie z tym, co powiedział signorinie Elettrze: przestać się tym zajmować. Prasa z pewnością zajmie się sprawą śmierci Gonzala. Ostatecznie przez wiele lat był właścicielem znanej weneckiej galerii i dzięki temu można było go przedstawić jako człowieka „dobrze znanego w kręgach artystycznych”. Będą analizować jego zgon na ostatnich stronach z wiadomościami lokalnymi przez dzień lub dwa, dopóki nie pojawi się coś ciekawszego lub nie odejdzie z tego świata jakaś inna znakomitość.

Minęło kilka dni. W redakcji „Il Gazzettino” w końcu odkryli, że Gonzalo zmarł, i zaskoczyli Brunettiego, publikując stosowny nekrolog, w którym nieboszczyk był chwalony jako wenecki dobroczyńca i odnoszący sukcesy marszand. Odnotowano także, że przed dwudziestu laty postanowił zrzec się hiszpańskiego obywatelstwa i stał się Włochem. W gronie jego spadkobierców wymieniono – nie podając imion ani nazwisk – dwie siostry, brata i adoptowanego syna.

A więc jednak. Gonzalo przystąpił do działania i zrobił to, zanim było za późno. Znalazł prawnika, który miał to załatwić, albo Lodo Costantini zgodził się to uczynić i dochował tajemnicy.

Tego samego dnia po kolacji Brunetti powiedział Paoli o nekrologu i wyznał, że jego zdaniem miasto – a przynajmniej organ prasowy miasta – oddało zmarłemu sprawiedliwość.

– A kwestia adopcji? – zapytała Paola.

– Nie moja sprawa, co się stanie z pieniędzmi Gonzala – odparł obcesowo. – Skoro tak właśnie chciał z nimi postąpić, to sam o tym zdecydował i kropka. – Wrócił myślami do życia swojego przyjaciela i zauważył: – Dzięki niemu ludzie mieli szansę obcować z pięknymi

przedmiotami. Wiem, że takie myślenie jest staroświeckie, ale uważam, że to wzbogaca życie takich osób.

– Masz rację – przyznała Paola i dodała słowa, które Brunetti uznał za epitafium dla zmarłego przyjaciela. – Poza tym był zabawny i wielkoduszny. Nigdy też o nikim, nawet o ludziach, którzy go oszukali, nie mówił źle. Był uczciwy, życzliwy i dotrzymywał słowa. – Po chwili zebrała to w jedną całość i stwierdziła: – Był dżentelmenem.

Tydzień później Brunetti odebrał w domu telefon. Gdy dzwoniący przedstawił się jako Rudy, zaskoczony komisarz zaczął szukać w pamięci kogoś o tym imieniu.

– Rudy Adler, przyjaciel Gonzala – doprecyzował rozmówca i wtedy wszystko stało się jasne.

– Oczywiście. Rudy. Przepraszam, ale nie spodziewałem się, że zadzwonisz. – Brunetti zdał sobie sprawę, że to szczerza prawda. – Orazio mówił, że widzieliście się w zeszłym tygodniu – zagaił, pozwalając, by to Adler zdecydował, czy chce poruszyć temat pogrzebu.

– Tak. Miło było go znowu zobaczyć, po tylu latach. Szkoda, że ty i Paola nie mogliście przylecieć, ale Orazio wyjaśnił mi powody. – Zapadło milczenie trwające dopóty, dopóki Rudy nie podjął przerwanej rozmowy i nie powiedział: – Może i dobrze, że was nie było.

– Dlaczego?

– Jego rodzina jest bardzo religijna, nie obyło się więc bez tego rodzaju obrzędów.

– O tym Orazio nie wspominał.

– To miłe z jego strony – odparł Rudy, po czym pozwolił sobie na dodatkowy komentarz: – Wyglądało to dość groteskowo. – Odczekał chwilę i zauważył: – Gonzalo byłby zniesmaczony.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł Brunetti i przypomniawszy sobie swoje rozmowy z Gonzalem, dopowiedział: – Nie znałem nikogo, kto byłby bardziej uczulony na Kościół.

– Nie zapominasz aby o swojej żonie? – zapytał ze śmiechem Rudy. – Pamiętam kolację u nas, gdy wstałeś i odszedłeś od stołu, gdy ona i Gonzalo zmówili się przeciwko jakiemuś jezuitcie.

Komisarz dobrze pamiętał ten wieczór i nadal był zadowolony, że postanowił wyjść i wrócić do domu w pojedynkę.

– Przynajmniej, o ile dobrze pamiętam, ów ksiądz odpłacał im pięknym za nadobne – zauważył.

– Jezuitci powinni być elitą intelektualną Kościoła, prawda? – zapytał Rudy, a Brunetti przypomniał sobie, że Adler pochodzi z Bremy, więc prawdopodobnie jest protestantem i niewątpliwie miał mylne wyobrażenia o Towarzystwie Jezusowym.

– „Elitą intelektualną”? – powtórzył. – Chyba prawdziwsze byłoby stwierdzenie, że są kartografami stowarzyszenia płaskoziemców.

Rudy znowu się roześmiał, po czym, już poważnie, zaznaczył:

– Nie zadzwoniłem, żeby rozmawiać o dawnych czasach, Guido, ale po to, by poinformować, że jutro będziemy w Wenecji.

– Jutro? – powtórzył zmieszany komisarz. – W jakim celu? – Nie dopytywał, co oznaczało użycie liczby mnogiej.

– To coś w rodzaju misji badawczej – odparł Rudy i umilkł. – To znaczy... chcielibyśmy urządzić uroczystość żałobną na cześć Gonzala, a tak naprawdę kolację dla jego najbliższych przyjaciół, na której ludzie, którzy go znali i kochali, mogliby powiedzieć kilka słów, może przypomnieć nam wszystkim, dlaczego go kochaliśmy, i kochamy, tak bardzo – przerwał, żeby dać Brunettiemu szansę na odpowiedź, ale on postanowił milczeć, chcąc się dowiedzieć, kto został zaproszony, a potem zobaczyć, kto przyszedł.

– To chyba był pomysł Orazia – ciągnął Rudy. – Lub mój. To bez znaczenia: rozmawialiśmy na pogrzebie i któryś z nas zauważył, jakie to smutne, że kilku jego przyjaciół z Wenecji nie przyleciało do Madrytu, bo przypuszczalnie są już za starzy na taką podróż.

Nie tylko ci starzy nie mieli ochoty lecieć, przyznał w duchu Brunetti, ale powiedział tylko:

– To dobry pomysł. Kogo zaprosicie?

Rudy odpowiedział bez wahania:

– Orazio i Donatella oraz ty z Paolą jesteście weneccjanami, których Gonzalo darzył największą sympatią. Są jeszcze dwie osoby, które pracowały w galerii i utrzymywały z nim kontakt po jej zamknięciu; profesor uniwersytetu, który pisał teksty do katalogów wystaw; część jego klientów oraz dwaj zaprzyjaźnieni z nim antykwariusze. Poza tym niektóre z osób, które razem przez lata poznaliśmy.

Brunettiemu, który nie wyzbył się myśli, że Gonzalo znał w Wenecji wszystkich, ta lista wydała się dość krótka.

– Mam nadzieję... – zaczął Rudy, ale umilkł. – Mam nadzieję, że uwzględniłem najważniejsze osoby. Gonzalo i ja nie... mieliśmy zbyt częstego kontaktu w ciągu ostatnich czterech lat, więc moja lista może być... nieaktualna. – Komisarz zastanawiał się, czy Rudy jest po prostu grzeczny i nie chce sugerować, że w ostatnim czasie inni ludzie także mogli zerwać znajomość z Tejedą.

Brunetti przypomniał sobie, że Gonzalo wyszedł w czasie posiłku spożywanego z hrabią Falierem w restauracji. Kto wie, przy ilu innych ludziach mógł zachować się podobnie? Jeśli tak, być może nadal chcieli mieć okazję do mówienia o nim z miłością, jak bywało w dawnych czasach, zanim któraś ze stron została lub poczuła się obrażona.

Pobiegł myślami do chwil, które niedawno z nim spędził, i nie mógł sobie przypomnieć, by przyjaciel jego teścia wspominał o kimkolwiek oprócz jakiegoś lekarza z Cremony, którego interesowały renesansowe brązy wystawione przez Gonzala na sprzedaż. Wydawało się, że mnóstwo przyjaciół, o których wspominał Rudy, zniknęło w ostatnich latach. Nie wiedział, czy ten nowy, Attilio, znajduje się na liście zaproszonych, i nie chciał o to pytać.

– Przykro mi, Rudy, ale nie przychodzi mi na myśl nikt, kogo byś jeszcze nie znał – mówiąc to, Brunetti zdał sobie sprawę, że sam należy do tych,

którzy coraz rzadziej się widywali ze starzejącym się marszandem, jakby każdy dodatkowy rok życia Gonzala zmniejszał możliwe zainteresowanie nim ze strony młodszych osób.

– Przynajmniej wreszcie poznasz osobę, z którą łączyła go największa przyjaźń – rzekł Rudy zupełnie innym tonem, wyraźnie zadowolony, że może to powiedzieć.

– Myślałem, że był nią Orazio – odparł bez wahania komisarz.

– On był jego przyjacielem, kumplem. Gonzalo najbardziej przyjaźnił się z Bertą. Znali się od czasu jego pobytu w Chile. To właśnie ona ze mną przylatuje.

Brunetti uznał spieranie się o szczegóły i zwracanie Adlerowi uwagi, że Gonzalo poznał Orazia, zanim wyjechał do Chile, za rzecz niestosowną, i tylko zapytał:

– Berta?

– Alberta. Alberta Dodson.

– To nazwisko jakoś słabo kojarzy mi się z Chile – zauważył Brunetti.

– Berta wyszła za Anglika i zamieszkała w olbrzymim zamku w Yorkshire. Jej mąż jest hodowcą bydła.

– Cóż – wtrącił komisarz. – To akurat z Chile kojarzy się z całą pewnością.

Rudy się roześmiał, prawdopodobnie z ulgą, że rozmowa nabiera normalnego charakteru, i ciągnął:

– Nie bardzo. Chodzi o te włochate byki, z długimi rogami sterczącymi na boki. Podobno są wredne jak żmije; tak przynajmniej twierdzi Berta. Ale za to piękne niczym bestie z minojskiego fresku.

– Kobieta mieszkająca w zamku w Yorkshire nie wygląda mi na osobę, która mogłaby być przyjaciółką Gonzala, w dodatku najlepszą.

– Ale jest. Poznali się w Santiago, gdy trafił tam po raz pierwszy. Najwyraźniej przygarnęli go jej rodzice, a Berta stała się jego siostrzyczką. Gonzalo zbił fortunę i wyjechał z Chile mniej więcej w tym samym czasie co Berta. Pozostali w kontakcie i nigdy go nie zerwali.

– Znasz ją?

– Oczywiście. Gdy... gdy byliśmy ze sobą, dwa razy przyjechała do niego w odwiedziny. Świętowaniu nie było końca. Prezenty i szampan, kalambury i żarty po hiszpańsku. Kiedyś na Boże Narodzenie przyjechali z nią jej angielscy przyjaciele i wystawili prawdziwą świąteczną pantomimę.

– U was? – zapytał Brunetti. W domu Gonzala z pewnością było dość miejsca, żeby wystawić spektakl.

– Tak. Berta zawsze zatrzymywała się w hotelu, ale cały wolny czas spędzała z nami. Dzwoniła do męża sześć razy dziennie, a przez resztę dnia plotkowała z Gonzalem – Rudy na moment zamilkł; komisarz usłyszał, jak wzdycha głęboko. – Bezustannie się kłócili: o politykę, o religię, o gospodarke... ona była komunistką, później socjalistką, a potem straciłem orientację. – Westchnął po raz ostatni, po czym się zaśmiał. – Prawdę mówiąc, czasem zachowywali się jak stare, dobre małżeństwo.

– A człowiek, z którym żyje? – zapytał komisarz, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

– Uwielbia ją i jest tak od dwudziestu lat. Na bieliźnie ma wydziergany napis „Torys”, ale cierpliwie słucha wszystkiego, co Berta wygaduje na temat polityki, a potem się uśmiecha i tylko kiwa głową.

– Owszem, to rzeczywiście przypomina prawdziwe małżeństwo – zauważył Brunetti. – I to takie, które przetrwało dwie dekady.

Słuchając Adlera, znowu się zastanawiał, dlaczego nigdy nie usłyszał najdrobniejszej anegdoty o kobiecie imieniem Berta. Orazio nigdy o niej nie wspomniał: czyżby był zazdrosny o osobę, którą Rudy uważał za najlepszą przyjaciółkę Gonzala?

Gdy z powrotem skupił uwagę na rozmowie, Rudy właśnie oznajmiał:

– Przylatujemy w czwartek, tuż po pierwszej.

Brunetti wpadł na pewien pomysł. Było to przestępstwo i oficjalnie nazywało się „nadużyciem stanowiska służbowego”, ale w ten sposób mógł Adlerowi wynagrodzić to, że zaniedbał kontakty z nim w ostatnich latach.

– Podaj mi numer lotu, to przyjadę po was na lotnisko.

Do wspomnianego przestępstwa doszło w czwartek o 13.23 na lotnisku im. Marco Polo, gdzie Brunetti czekał przy wyjściu z samolotu z Londynu, który właśnie wylądował. Stojący obok umundurowany policjant zsalutował pierwszym osobom, które wyłoniły się z samolotu, wysokiemu mężczyźnie i niskiej kobiecie. Policjant pochylił się i wziął od nich bagaże podręczne, po czym elegancko odwrócił się na pięcie i ruszył w głąb długiego tunelu prowadzącego do terminalu.

Komisarz przystanął w wejściu do hali przylotów i przyjrzał się bliżej swoim gościom. Zauważył, że Rudy się nie zestarzał, chociaż jego brązowe włosy miały teraz jaśniejszy odcień. Kobieta u jego boku miała siwe włosy obcięte na pazia tak krótko, że ledwie zakrywały jej uszy, zdrową cerę bez śladów starości, chociaż z kącików oczu rozchodziły się poziome zmarszczki. Nos był zakrzywiony i wąski, usta mocno umalowane na czerwono. Wygląd jej twarzy wydawał się skutkiem powolnego działania natury i niczego więcej. Mogłaby mieć sześćdziesiąt lat lub więcej. Nosiła sukienkę z brązowej wełny oraz narzucony na ramiona beżowy płaszcz, w lewej dłoni trzymała ciemnobrązową skórzaną torebkę. Postanowiwszy potraktować jej przybycie w należyty sposób, Brunetti pochylił się i pocałował powietrze kilka milimetrów nad jej wyciągniętą dłońią.

– Mam pewnie przyjemność z komisarzem Brunettim – powiedziała Berta bardzo poprawną angielszczyzną, wymawiając samogłoski z iście śródziemnomorską lekkością. – Nazywam się Berta Dodson. – Jej głos stał się serdeczny, gdy wtrąciła: – Rudy powiedział mi, że przyjaźnił się pan z Gonzalem.

– Tak, od dawna byliśmy przyjaciółmi – odparł komisarz, po czym, jakby to wymagało wyjaśnienia, dodał: – Orazio Falier jest moim teściem. – Odwrócił się i uściśnął dłoń Adlerowi, a następnie, poruszony smutkiem przebijającym z jego uśmiechu, objął go i przez chwilę trzymał w ramionach.

Cofnąwszy się, znowu odwrócił się do towarzyszącej mu kobiety. Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby równie nieskazitelne jak jej cera i równie

naturalne.

– Ach, jakże Gonzalo kochał Orazia. Zdecydowanie bardziej niż swojego okropnego brata – wyznała, równając krok z komisarzem.

Brunetti przeprowadził ich obok nieruchomych i wciąż pustych taśmociągów bagażowych. Ten sam policjant stał przy wyjściu i otworzył im drzwi. Kiedy się znaleźli na zewnątrz budynku, minął ich pośpiesznie i otworzył tylne drzwi ciemnoniebieskiego samochodu. Gdy tylko kobieta wsiadła, obszedł auto i przytrzymał drzwi Rudy’emu, wrócił na drugą stronę i otworzył je komisarzowi, po czym zajął miejsce za kierownicą i uruchomił samochód.

– A nasze bagaże? – zapytał Rudy.

– Są teraz przewożone na łódź – odparł Brunetti.

Kierowca ruszył za autobusem numer pięć i jechał za nim do pierwszego ronda, na którym skręcił w prawo. Zatrzymał się na początku długiej drewnianej przystani, gdzie cumowała policyjna motorówka. Na ich widok Foa zeskoczył z pomostu i podszedł do auta. Zasalutował Brunettiemu, który wysiadł wcześniej, i otworzył drzwi Bercie.

– Tędy, *signora* – powiedział, odwracając się w stronę łodzi.

Pomógł jej znaleźć się na pokładzie, jakby była lekka jak piórko, i podawszy rękę, sprowadził po schodkach do kabiny. Kiedy komisarz wraz z Adlerem schodzili na pokład, przy pomocy zatrzymał się drugi niebieski samochód i od strony pasażera wysiadł z niego mężczyzna w popielatym mundurze. Z tyłu auta wyciągnął dwie walizki, podszedł do łodzi i podał bagaże pilotowi, który umieścił je na pokładzie na lewo od siebie.

– To było jedno z waszych słynnych *auto blu*? – zapytała Berta, gdy Brunetti usiadł naprzeciw niej.

– Tak.

– Są przeznaczone dla polityków i ministrów, prawda?

– Dla ważnych osób – odparł komisarz z szerokim uśmiechem i skinieniem w jej kierunku.

– Ile ich jest? – zapytała, nie zważając na to pochlebstwo.

– Trudno jest podać dokładną liczbę, *signora*, ale zwykle mówi się o dziewięciu tysiącach. – Pozwolił, żeby przetrwała tę informację, po czym rzekł: – Chyba że wierzy się w inną liczbę, często podawaną w tym kontekście: sześćset tysięcy.

– Nagle poczułam się mniej zaszczycona – powiedziała Berta, ale ostatnie jej słowo zagłuszył ryk silnika, gdy Foa zaczął cofać z miejsca cumowania.

– Jak ci się udało je załatwić? – zapytał Rudy.

– Skłamałem – odparł spokojnie Brunetti. – Wyjaśniłem, że dwie osoby przylatują ze Stanów Zjednoczonych, by złożyć utajnione zeznania, ale dla zapewnienia bezpieczeństwa podróżują z Londynu i byłoby lepiej, gdybyśmy nie dopuścili do tego, żeby widziało je zbyt wielu ludzi.

– Do kogo się zwróciłeś?

– Do znajomego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– I uwierzył? – Rudy nie krył zaskoczenia.

– My, Włosi, zawsze jesteśmy gotowi uwierzyć, że za wszystkim kryje się jakiś tajemniczy powód.

Alberta Dodson wyjęła z torebki kartkę i podała ją Brunettiemu, mówiąc:

– To lista osób z Wenecji, które chcielibyśmy zaprosić na uroczystości żałobne.

Brunetti zapytał, gdzie zamierzają zjeść kolację, mając nadzieję, że nie będzie to jedna z wyjątkowo eleganckich nowych restauracji zaspokajających gusta bogatych turystów.

– W Antico Martini obiecano, że będziemy mieli całą salę dla siebie – odparł Adler ku wielkiej uldze komisarza.

Brunetti spojrział przez okno po swojej stronie burty i zauważył, że Foa skręcił w Canale di Cannaregio. To oznaczało, że zobaczą Wenecję w pełnej krasie i popłyną w górę Canal Grande do hotelu, w którym Rudy i Berta mieli się zatrzymać, nowo przebudowanego *palazzo* nieopodal mostu Rialto.

Nie znał ich planów na resztę dnia i poranek dnia następnego, nie wiedział więc, o co ich pytać ani co im zaproponować.

– Jeżeli mogę się wam na coś przydać, powiedzcie proszę – rzekł. Podał im numer swojego *telefonino* i zaczął, aż dodadzą go do listy kontaktów.

Signora Dodson uśmiechnęła się i położyła mu dłoń na nadgarstku.

– Gonzalo zawsze mówił, że życzliwy z pana człowiek. – To powiedziawszy, odwróciła wzrok, a gdy znowu na niego spojrzała, miała w oczach łzy. – Był dobrym człowiekiem. – Po chwili, jakby nie mogła powstrzymać cisnących się na usta słów, wyznała: – Ocalił mi życie.

Rudy wtrącił się do rozmowy.

– Słyszałem już, że to mówiłaś, ale nigdy nie zdradziłaś szczegółów.

Berta rozchmurzyła się i odwróciła do niego.

– Chyba trochę przesadzam, Rudy. Nie chodziło o bandytów ani o szaleńca z nożem. – Machnęła lekceważąco dłonią, spojrzała przez okno i westchnęła. Nachylając się ku szybie, z typową dla Latynosów swobodą dotknęła ręki Brunettiego i zapytała: – Co to za pałac?

Zerkając w lewo, komisarz odparł:

– Ca' d'Oro. Teraz mieści się w nim muzeum.

– A tam, przed nami?

– To Tribunale – wyjaśnił Brunetti. – Przypuszczam, że po angielsku nazwano by go *courthouse*.

– Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek popełnił zbrodnię w tak pięknym miejscu – powiedziała z dziecinnym zachwytem i Brunetti pomyślał, że naprawdę w to wierzy. Skinął głową i postanowił nie odpowiadać.

Ciszę, która zapadła po słowach Berty Dodson, przerwał Rudy.

– Muszę zarezerwować więcej pokoi w hotelu dla osób, które przyjadą z zagranicy, a potem wybiorę się do tej restauracji obejrzeć salę i porozmawiać o kolacji.

Dla Brunettiego, który nie wiedział o żadnych gościach zagranicznych, była to nowość, ale poprzestał na pomruku zaciekawienia.

– Krewni – wytłumaczyła Berta. – Dwaj siostrzeńcy... z żonami... przylatują z Madrytu. I jego siostra Elena. – A reszta rodziny? Zastanawiał się komisarz. Zostali wykluczeni z grona zaproszonych czy nie chcieli przyjechać? Tych pytań wolał nie zadawać, skupił więc znowu uwagę na słowach signory Dodson. – Jest jeszcze ktoś, z kim chcę się spotkać dziś po południu i porozmawiać – wspomniała.

– Gdyby... – odezwał się Brunetti, ale Berta podniosła dłoń i nie pozwoliła mu dokończyć.

– A wieczorem... moi brytyjscy znajomi zatrzymali się w hotelu Cipriani i zaprosili mnie na kolację. – Komisarz uśmiechnął się i skinął głową, pomyślałszy, że chyba łatwiej byłoby spotkać się na kolacji ze znajomymi gdzieś bliżej domu. Gdy Berta zauważyła jego zdziwioną minę, powiedziała: – Tak naprawdę przyleciałam dotrzymać Rudy’emu towarzystwa i dopilnować, by to wszystko nie wytrąciło go za bardzo z równowagi.

– Och, nie bądź sentymentalnym głuptasem, Berto – rzekł Adler, ale powiedziawszy to, na chwilę położył dłoń na jej dłoniach. Signora Dodson popatrzyła na Brunettiego i uśmiechnęła się, a on zdał sobie sprawę, jak bardzo musiała za młodu olśniewać mężczyzn.

Motorówka przepłynęła pod mostem Rialto i mknęła jeszcze przez chwilę, dopóki Foa nie zaczął zwalniać; niebawem łódź zboczyła nieco w prawo w stronę hotelowej przystani.

– Och, to takie piękne – powiedziała Berta i tym razem zadrżał jej głos. Spostrzegłszy zatroskane spojrzenie komisarza, wyjaśniła: – Ja i mój mąż zawsze chcieliśmy tu przyjechać, ale stale odkładaliśmy podróż na później z uwagi na pracę lub z innych powodów. I teraz jestem tu sama. – Kiedy zbliżali się do hotelu, przytknęła nos do szyby. Gdy spadły obroty silnika i motorówka sunęła po wodzie do pomostu, Berta klasnęła w dłonie, by odegnąć smutne myśli, i zwróciła się do Brunettiego: – Chciałby pan zjeść

z nami spóźniony obiad? – Podciągnęła rękaw i sprawdziwszy, która jest godzina, sprostowała cichnym głosem: – Bardzo spóźniony.

– Chętnie przyjąłbym zaproszenie, ale muszę wracać do pracy – odparł z uśmiechem komisarz. Gdy Rudy wydał z siebie pomruk powątpiewania, usprawiedliwił się: – Mogą tam potrzebować motorówki.

To przesądziło sprawę. Brunetti czekał, aż dwaj boye hotelowi podejną do łodzi: jeden zeskoczył na pokład, żeby zabrać bagaże, a drugi stał na pomoście, by pomóc Bercie Dodson wyjść na nabrzeże. Ona jednak podeszła najpierw do Foi i włoszczyzną z mocnym hiszpańskim akcentem powiedziała:

– Kapitanie, pragnę panu podziękować za pomoc. To najpiękniejsza przejażdżka, jaką kiedykolwiek odbyłam. – Po czym, zachowując się w sposób nielicujący z wyobrażeniami o prawdziwych angielskich damach, ujęła rękę pilota i dodała: – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna. – Po raz ostatni uścisnęła mu dłoń i odwróciła się ku schodom. Boy wziął ją pod rękę, a długa praktyka pozwoliła mu sprawić, że gdy niemal niósł ją po schodkach, wyglądało to tak, jakby Berta nie potrzebowała pomocy, a jedynie asekuracji.

Rudy Adler odprawił boya machnięciem ręki i wspiał się na pomost. Brunetti podążył za nimi. Pożegnali się na nabrzeżu, uśmiechając się i wymieniając uprzejmości. Dwoje starszych ludzi weszło do hotelu, a komisarz i Foa wrócili do komendy.

Rozdział 19

Tamtego wieczoru po kolacji Brunetti postanowił zapytać Paolę, czy powinien porozmawiać z jej ojcem o signorze Dodson, która z pewnością uczestniczyła w pogrzebie w Madrycie. Raffi poszedł do kolegi uczyć się w jego domu, natomiast Chiara w swoim pokoju próbowała zebrać informacje na temat związku między zanieczyszczeniem powietrza a chorobą Alzheimera.

Małżonkowie siedzieli naprzeciw siebie, on w głębokim fotelu, ona na kanapie, przed nimi na stoliku stały dwie filiżanki z kawą.

– To dziwne – zauważył Brunetti – że przez te wszystkie lata nie słyszałem, by Orazio o niej wspominał. – Wrócił pamięcią do rozmowy z Bertą Dodson i zdał sobie sprawę, że powiedziała tylko, że Gonzalo darzył Orazia miłością, i nie twierdziła, że sama go zna. Zastanawiał się, czy jest znana komukolwiek z przyjaciół Gonzala poza Rudym.

Wyglądało na to, że Paola nie widzi w tym nic szczególnie dziwnego.

– Wielu z nas ma przyjaciół z różnych kręgów i część z nich nigdy nie spotkała reszty, czasem nawet nie ma pojęcia o ich istnieniu. – Dopija kawę i odstawiła filiżankę, po czym podsumowała: – Między innymi dlatego pogrzeby są takie interesujące: pojawiają się na nich ludzie, których nigdy nie spodziewałbyś się tam zobaczyć. Tak jakby zmarły egzystował w dwóch bądź trzech odrębnych światach.

– Ale oni oboje są przyjaciółmi z wczesnego okresu jego życia – zauważył Brunetti, jakby to miało wszystko zmienić, zjednoczyć ich w jakiś sposób.

– Jeśli mogę ci przypomnieć, są również przyjaciółmi z dwóch różnych kontynentów.

– Wiem – odparł komisarz tonem, jakiego używał, gdy nie został przekonany i tylko grał na zwłokę. Jego własne życie i pochodzenie stanowiły zupełne przeciwieństwo tej sytuacji: on i jego przyjaciele poznali się w dzieciństwie i większość życia spędzili w Wenecji. On sam służył w innych miastach, ale to były wyjazdy na krótko, nieprzekraczające dwóch lat.

Wszyscy serdeczni przyjaciele Brunettiego – ci, którzy pozostawali na prawach członków rodziny – byli weneccjanami i znali się nawzajem. Jedyny wyjątek stanowiła Claudia Griffoni, ona jednak należała do kategorii przyjaciół z miejsca pracy.

Myśl o Griffoni sprawiła, że zaczął się zastanawiać, czy nie odniósł błędnego wrażenia i czy nie jest rzeczą całkowicie zwyczajną, że ludzie rozgraniczają różne rodzaje przyjaźni: tutaj przyjaciele ze szkoły, tam przyjaciele z pracy; przyjaciele, z którymi prawie nigdy się nie widywali. Tak więc owszem, to możliwe, że Gonzalo nigdy nie wspomniał o swojej najlepszej przyjaciółce swojemu najlepszemu przyjacielowi.

Paola przerwała jego rozważania, pytając:

– Jaka ona jest?

– Atrakcyjna – odparł niemal bez namysłu. – Bystra i z poczuciem humoru. Kiedyś musiała być piękna. Jest bardzo szczupła. – Zamyślił się na chwilę i powiedział: – Mam wrażenie, że nie przeszkadza jej fakt, że jej uroda... nie przeminęła, ale gaśnie. Nadal jest kobietą przyciągającą wzrok.

– Polubiłeś ją?

– Bardzo. Ujęła rękę Foi w obie dłonie i podziękowała mu za przejażdżkę po Canal Grande. Gdy wracaliśmy do komendy, Foa przyznał, że jeszcze nigdy nikt mu tak nie podziękował: naprawdę szczerze i z wdzięcznością za to, co zrobił.

– Tak długo mieszka w Anglii, że być może przyswoiła sobie angielską uprzejmość – zauważyła Paola.

Brunetti się roześmiał i spróbował sprowokować żonę, mówiąc:

– Sądziłem, że to my, Włosi, jesteście uprzejmi.

– Wielkie nieba, ależ skąd! – odparła Paola, sprawiając wrażenie naprawdę zaskoczonej. – Jesteśmy łaskawi i czarujący, ale to Anglicy są uprzejmi.

– Nie rozumiem, na czym polega różnica.

– To dlatego, że nie spędziłeś sześciu lat w prywatnej szkole dla dziewcząt w Anglii. Wierz mi, Guido, Anglicy są uprzejmi.

Komisarz uzmysłowił sobie, że nie ma ochoty się o to spierać, sięgnął więc po egzemplarz *Sturmtruppen* z przekonaniem, że na pewno będzie on ostatnim z serii komiksów, jaki przeczyta. I ze świadomością, że sam siebie okłamuje.

Siedzieli tak przez jakiś czas, on zauroczonej komiksem, Paola pochłonięta lekturą *Księżnej Casamassimy*, gdy zadzwonił jego telefon. To pewnie Raffi, telefonujący, żeby powiedzieć, że nadal jest u przyjaciela, pomyślał Brunetti. Ojcowski radar wychwycił hałas dobiegający z drugiego końca mieszkania, więc Chiara była bezpieczna w domu.

Numer miał angielski kierunkowy. Cóż, Anglię dzieliła od nich godzina różnicy, ten telefon nie był zatem tak naprawdę zbyt późny.

– Brunetti – rzekł, odbierając.

– Guido? – zapytał męski głos ze słabo skrywanym przerażeniem.

– Tak. Kto mówi?

– To ja, Rudy – odparł mężczyzna, po czym, jakby Brunetti zamierzał prosić o dokładniejszą identyfikację, uściślił: – Rudy Adler.

– Co się stało? – zapytał komisarz głosem wyzbytym wszelkich oznak podejrzliwości i poczucia władzy.

– Chodzi o Bertę – odparł Rudy i lekko się zakrztusił. – Ona nie żyje.

Usłyszawszy pytanie męża, Paola odłożyła książkę, a gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, pochyliła się nad stolikiem i położyła mu dłoń na kolanie.

– Powiedz mi, co się stało – poprosił Brunetti bezbarwnym głosem.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Pozwolili mi na jedną rozmowę telefoniczną.

– Kto taki?

– Policja.

– Z jakiego powodu?

– To jakiś absurd – rzekł Rudy, na zakończenie tego krótkiego protestu podnosząc głos.

– Powiedz mi, co się stało.

– Mieliśmy sąsiednie apartamenty. Podczas wspólnych wyjazdów zawsze tak rezerwowaliśmy pokoje. I zawsze zostawialiśmy łączące je drzwi otwarte. To nawyk z czasów naszych wspólnych podróży z Gonzalem – nagle umilkł, po czym stwierdził: – Bełkoczę, prawda?

– To bez znaczenia, Rudy. Nie śpiesz się i wyjaśnij mi, co się stało.

– W tym właśnie problem. Nie wiem.

Oszołomienie i dezorientacja ludzi w nagłym zderzeniu ze śmiercią nie były dla Brunettiego niczym nowym. W wielu przypadkach odbierały im mowę; kiedy indziej wydobywały z nich nieprzerwany strumień słów, jakby milczenie mogło pozwolić śmierci znowu się do nich ukradkiem zbliżyć.

Nic nie mówił, przeświadczony, że Adler wcześniej czy później mu to wyjaśni. Cisza w słuchawce się przeciągała. Myślał o informacjach, które musi uzyskać: skąd dzwoni? Dlaczego jest z nim policja? Co się stało z Bertą? I dlaczego pozwolono mu tylko na jedną rozmowę telefoniczną?

Nagle Rudy znowu zaczął mówić:

– Pół godziny temu wróciłem z kolacji, zatrzymałem się w recepcji i zapytałem, czy signora Dodson jest w swoim pokoju. Powiedziano mi, że nigdzie nie wychodziła, więc poszedłem na górę i zapukałem do jej drzwi. Ponieważ nie otwierała, uznałem, że położyła się spać, udałem się do swojego apartamentu – umilkł niczym silnik samochodu po nagłej awarii zasilania.

W stacyjce jego umysłu przekręcił się kluczyk i Adler wrócił do przerwane go wątku:

– Berta leżała na podłodze w pobliżu drzwi łączących nasze apartamenty.

– Zrobił kilka chrapliwych oddechów i kontynuował: – Pomyślałem, że

zemdlała lub doznała zapaści, więc podszedłem do niej, ale zbliżając się... sam nie wiem dlaczego... wiedziałem, że nie żyje. – Targnął nim rozdzierający szloch tak głośny, że słyszała go też Paola.

– Rudy! – krzyknął Brunetti. – Rudy! Rudy!

Po czwartym okrzyku przyjaciel Gonzala oprzytomniał i wykrztusił:

– Co?

– Przekaż słuchawkę któremuś z policjantów – odparł komisarz, a gdy Adler zaczął o coś pytać, powtórzył jeszcze głośniej: – Przekaż słuchawkę któremuś z policjantów.

Usłyszał odgłos nieporadnego podawania telefonu i męski głos:

– Mówi Tomasini, panie komisarzu.

– Towarzyszący wam mężczyzna mówi trochę po włosku, więc rozmawiaj, proszę, ze mną po wenecku i mów bardzo szybko. Wyjaśnij mi, co się dzieje.

Tomasini zaczął gadać jak nakręcony:

– Zadzwonili do nas z recepcji z informacją, że mają martwą kobietę i że wygląda to podejrzanie. Przyłączyliśmy motorówkę.

– Kto?

– Ja, Alvise i Pucetti. W tym tygodniu mamy nocną służbę. Dwóch ludzi z patrolu w San Polo jest już w drodze.

– Co się stało tej kobiecie?

– Ekipa śledcza właśnie do nas jedzie. Rizzardi także. Wiem, że pan woli jego.

– Jak to wygląda, Tomasini?

– Myślę, że ktoś ją udusił. Takie po prostu odnoszę wrażenie. Chodzi o jej szyję.

– Zabierzcie go na dół i ulokujcie w jednym z pokoi. – Brunetti zastanawiał się, kto mógłby zostać z Adlerem. Alvise to idiota; Pucetti był bystry i nic nie umknęłoby jego uwadze. – Ty zostań z nim na dole, dopóki tam nie dotrę, i...

– Potrzebny panu transport, komisarzy? – przerwał mu policjant.

– Nie, szybciej dotrę tam pieszo.

– W porządku, panie komisarzy. – Chwila zawahania i pytanie: – Mam opieczętować apartamenty?

Na miłość boską, to znaczyło, że jeszcze tego nie zrobił.

– Tak. Obydwa – odparł bardzo spokojnie Brunetti. – Postaw Alvisiego i Pucettiego przed drzwiami i powiedz im, że do czasu przybycia ekipy śledczej nikomu, bez wyjątku, nie wolno tam wejść.

– Tak jest. Coś jeszcze?

– Nie – odparł komisarzy i się rozłączył. Odwrócił się do Paoli i zapytał: – Słyszałaś?

– Skoro w drodze jest zespół śledczy, to ta biedna kobieta nie żyje, a jeżeli w hotelu, gdzie jak rozumiem, się zatrzymała, zjawiała się policja, to śmierć nie była skutkiem wypadku.

Brunetti skinął głową.

– Znalaziono ją w pokoju Rudy’ego. A przynajmniej chyba tak powiedział – odparł i zażenowany, że przed rozmową z Adlerem czytał coś takiego, rzucił komiks na stolik. – Pójdę tam teraz. Biedaczka. Przylecieć tutaj i tak skończyć.

– Gdyby to wydarzyło się gdzie indziej, byłoby równie straszne, Guido – stwierdziła Paola i zaraz zapytała: – To zajmie sporo czasu, prawda?

– Tak. Połóż się. Obudzę cię, gdy wrócę – zapewnił komisarzy, wiedząc, że gdyby obudzenie Paoli miało być trzynastą pracą Herkulesa, nie zdołałby tego dokonać nawet on.

Pocałował ją na dobranoc, włożył lekki płaszcz i wyszedł z mieszkania.

Ponieważ hotel, w którym Rudy i signora Dodson zarezerwowali pokoje, znajdował się po tej samej stronie Canal Grande co jego dom, dotarcie na miejsce zajęło mu niespełna dziesięć minut. Kiedy zbliżał się do głównego wejścia, na końcu wąskiej *calle*, ujrzał dwóch funkcjonariuszy stojących przed drzwiami. Obaj zaszalutowali.

– Chłopcy z laboratorium już się zjawili? – chciał wiedzieć.

– Przyłączyliby Canal Grande – odparł jeden z policjantów – i zacumowali przy hotelowych *porta d'acqua*. Może usłyszeliśmy, jak nadpływają, ale stąd nie da się ich zobaczyć.

Brunetti skinął głową i spytał:

– Czy ktoś wchodził lub wychodził z hotelu?

– Weszły dwie pary, panie komisarzu. Poszliśmy z nimi do recepcji i dopilnowaliśmy, żeby zostali w hotelu.

– Ktoś wychodził?

– Na naszych oczach nikt, panie komisarzu – odpowiedział ten sam funkcjonariusz. – Odkąd tutaj dotarliśmy. Mniej więcej dziesięć minut temu.

– Dziękuję – rzekł Brunetti. – Zostańcie tu, dopóki nie przyślę kogoś z informacją... – zaczął, ale zdał sobie sprawę, że nie wie, kiedy kończą służbę – ...że możecie odejść – zakończył i wszedł do hotelu.

Za kontuarem recepcji stał mężczyzna w popielatym garniturze. Brunetti podał mu nazwisko i pokazał służbową legitymację. Widywał go wielokrotnie u swojego fryzjera i skinął mu głową. Plakietka z nazwiskiem informowała, że recepcjonista to Walter Rezzante.

– Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie są moi ludzie?

– W pokoju czterysta siedemnaście, *signore*.

– Dziękuję – rzekł komisarz, nie ruszając się z miejsca. – A signor Adler?

– Jest w sali klubowej, panie komisarzu. Jeden z waszych ludzi pilnuje drzwi – odparł Rezzante tak cicho, że nikt poza Brunettim nie mógł tego usłyszeć.

Komisarz skinął głową.

– Signor Adler i *signora* przyłączyli około drugiej. Ciekaw jestem, co robili potem.

– Kiedy ich zameldowałem, signor Adler poszedł z boyem na górę do apartamentu, a potem wrócił i rozmawiał ze mną o rezerwacji pokoi dla

trzech osób w przyszłym miesiącu – wyjaśnił Rezzante. – Oraz tych dwóch apartamentów, które on i signora Dodson... – Brunetti obserwował, jak recepcjonista zderza się z murem postawionym przez konieczność zmiany czasu gramatycznego. Rozwiązał problem, postanawiając dopowiedzieć: – ...zarezerwowali. – Po czym, chyba siłą nawyku wypowiedzenia się zawsze w imieniu hotelu, dodał: – Nie było to łatwe, ale znalazłem dla nich miejsca; hotel może i jest nowy, ale już stał się dość dobrze znany.

Komisarz skinął głową, jakby był to powszechnie znany fakt.

– A pani Dodson? – zapytał. – Czy wychodziła z hotelu?

– Tak przypuszczam, panie komisarzu. Poprosiła mnie o plan miasta, a gdy go otrzymała, zapytała o najkrótszą drogę do Campo Santa Margherita. Pokazałem jej – wyjaśnił i popatrzył na Brunettiego, jakby chciał zasugerować, że daremne jest użycie mapy przez kogoś, kto nie zna Wenecji. – Mówiła po włosku jako tako, więc powiedziałem, że może z łatwością zapytać ludzi na ulicy.

Brunetti skinął głową.

– Widział ją pan potem?

– Nie, panie komisarzu. Nie trzymamy tutaj kluczy, więc goście nie muszą wracać po nie do recepcji. Gdy się meldują, dostają karty magnetyczne. – Recepcjonista spojrział na Brunettiego, jakby go prosił o zrozumienie. – Wydaje się, że ludziom odpowiada większa prywatność, jaką zapewnia to rozwiązanie. Mogą przychodzić i wychodzić, jak im wygodnie.

– Oczywiście – przyznał Brunetti, chociaż osobiście wolał stary system pozostawiania klucza w recepcji. – Mogła tu zjeść kolację?

– Wykluczone, panie komisarzu. Dziś wieczorem w hotelu mieliśmy przyjęcie urodzinowe na czterdzieści osób, więc restauracja była zamknięta nawet dla gości. – Rezzante o czymś sobie przypomniał i podniósł rękę na znak, żeby Brunetti uzbroidł się w cierpliwość. Wystukał coś na klawiaturze swojego komputera, potem nacisnął kolejne klawisze. Ekran zamigotał kilka razy. – Nic nie wskazuje na to, by korzystała z naszego serwisu, jeżeli więc coś jadła, to nie u nas.

Komisarz powstrzymał się przed stwierdzeniem, że Rizzardi już się dowie, co jadła, i żałował, że dopuścił do siebie myśl o tym.

– Z powodu przyjęcia panował tu dziś wieczorem spory ruch, panie komisarzu. – Głos Rezzantego stał się bardziej serdeczny, niemal ufny. – Mamy też za mało personelu: nocnego recepcjonistę zmogła grypa, więc wszyscy pracujemy na dwunastogodzinne zmiany.

– Widział pan wchodzącego pana Adlera? – zapytał Brunetti.

– Tak, panie komisarzu. Tuż przed północą – odparł Rezzante. – Wszedł po schodach – dodał, odnotowując niezwykle zachowanie gościa, które jego zdaniem mogłoby się okazać ważne dla śledztwa. – Kiedy kilka minut później zadzwonił do mnie z telefonu stacjonarnego, sprawiał wrażenie całkowicie wytrąconego z równowagi. Powtarzał raz po raz: „Ona nie żyje. Ona nie żyje”. Najpierw pomyślałem, że chyba za dużo wypił, ale przypomniałem sobie, w jakim był stanie, gdy się zjawił: zupełnie spokojny i opanowany. A potem uznałem, że może ktoś do niego zadzwonił i powiedział o czyjejs śmierci. Zapytałem go o to.

Z każdym kolejnym słowem mężczyzny jego twarz wyrażała coraz większe poruszenie i była teraz pokryta kropelkami potu. Brunetti zastanawiał się, czy widział, co się wydarzyło na górze, wiedział jednak, że to nie jest dobry moment na pytania. Rezzante musiał wyrzucić z siebie najgorsze wspomnienia tej sytuacji, zanim można będzie go o to zapytać.

Recepcjonista głęboko westchnął.

– Odparł, że nie, że to się stało tam, w jego apartamencie. Że jest tam jego przyjaciółka i wydaje mu się, że nie żyje. Zapytał, co ma robić, a ja powiedziałem, że zaraz będę.

– Nie pomyślał pan o wezwaniu pogotowia? – zapytał Brunetti.

– Nie, panie komisarzu. Najpierw chciałem zobaczyć, co się stało. Nie chciałem wszczynać niepotrzebnego zamieszania – odparł Rezzante, a gdy Brunetti skinął głową, ciągnął: – Można sobie wyobrazić, jak nasi goście zareagowaliby na przybycie karetki na sygnale.

– A potem?

– Na szczęście w kuchni nadal ktoś był, sprzątał po kolacji, wezwałem więc Francescę i poprosiłem, żeby zastąpiła mnie w recepcji. Potem pojechałem na górę. Drzwi do apartamentu pana Adlera były otwarte. On stał obok. Wsparty jedną ręką o ścianę, jakby się bał, że upadnie – Rezzante umilkł.

– A potem? — zapytał cicho Brunetti.

– Wszedłem do pokoju i ujrzałem leżącą na podłodze kobietę. – Rezzante popatrzył na komisarza i uśmiechnął się z zakłopotaniem, odsłaniając zęby nałogowego palacza. – Wiedziałem, że nie żyje, ale jej widok i tak mną wstrząsnął. Wyjąłem *telefonino* i zadzwoniłem na policję.

– Dotykał jej pan? Podszedł bliżej?

– Nie, panie komisarzu. – Wydawał się niemal urażony pytaniem Brunettiego i wyjaśnił poważnym tonem: – Często oglądam telewizję i wiem, że nie należy się zbliżać do nieboszczyków, dopóki policja nie dokona oględzin. – Rezzante powiedział to tak, jakby czynił wyrzut niefrasobliwemu policjantowi.

– To bardzo rozsądnie z pana strony – rzekł Brunetti, sprawiając, że jego słowa zabrzmiały niczym prawdziwa pochwała. Recepcjonista skinął głową, jakby uznał to za komplement. – Ile czasu minęło, zanim nasi ludzie dotarli na miejsce?

– Pewnie ze dwadzieścia minut.

– I został pan tam do tego momentu?

– Tak, panie komisarzu. Najpierw zadzwoniłem do Franceski i poprosiłem, żeby nie ruszała się z recepcji. Uprzedziłem ją, że zjawi się policja.

– I co pan robił do jej przybycia?

– Byłem w apartamencie z panem Adlerem.

– A co on robił?

– W pewnym momencie usiadł na podłodze, osunął się po ścianie, zanim zdążyłem go podtrzymać. Zapytałem, czy mam wezwać lekarza, ale zaprzeczył, powiedział, że musi po prostu usiąść.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie, panie komisarzu. Siedział tam, a ja stałem przy drzwiach, dopóki nie przybyli wasi ludzie.

– A później?

– Kiedy się zjawili, jeden z nich... był młody, ale chyba nimi kierował... podziękował, że ich wezwałem, i poprosił, bym opowiedział, co się stało. Gdy to zrobiłem, oświadczył, że się wszystkim zajmie, a ja mogę wracać do recepcji.

– A wtedy?

Mężczyzna wydawał się speszony pytaniem.

– A wtedy co pan zrobił? – powtórzył Brunetti.

– Przyszedłem tu i powiedziałem Francesce, że może wrócić do kuchni – odparł Rezzante i umilkł na jakiś czas. – Gdy w hotelu ktoś umiera, zawsze jest dziwnie. Nikt z nas tego nie lubi. – Ponieważ komisarz nie skomentował jego słów ani nie zadał kolejnego pytania, recepcjonista dodał: – To dlatego, że często umierają w samotności, panie komisarzu. A taka śmierć nie powinna spotykać nikogo.

Brunetti podziękował mężczyźnie, poprosił o podanie adresu zamieszkania i numeru telefonu nieboszczki, a gdy otrzymał te informacje, ruszył w stronę schodów.

Rozdział 20

Gdy u szczytu schodów Brunetti skręcił w prawo, w stronę dwóch apartamentów, zobaczył policjantów: Alvisego, który stał sztywno przed drzwiami w końcu korytarza, i Pucettiego przed wejściem do sąsiedniego pokoju. Alvisie energicznie zasalutował, a Pucetti podniósł rękę w kierunku czoła, po czym pozwolił jej opaść.

Komisarz zerknął na zegarek: było tuż po pierwszej. Podszedł do Pucettiego i zapytał:

– Już przyjechali?

– *Sì, signore* – odparł policjant. – Jest z nimi Bocchese.

– Ilu?

– On i dwóch techników.

Brunetti odwrócił się do drugiego policjanta, nie chcąc, żeby poczuł się urażony.

– Dobry wieczór, Alvisie.

Ten znowu zasalutował, ale nic nie powiedział.

Komisarz zauważył, że drzwi za Pucettim są uchylone, i trącił je stopą. Na drugim końcu pokoju, przy drzwiach prowadzących do sąsiedniego apartamentu, stał Bocchese; odziany w biały kombinezon, w rękawiczkach i butach ochronnych, z nosem w odległości zaledwie kilku centymetrów od klamki i sąsiadującej z nią części drewnianego skrzydła, na które nanosił proszek daktyloskopijny.

– Dobry wieczór, Guido – powiedział główny technik, nie odwracając się do Brunettiego.

Komisarzowi przeszkodziła w odpowiedzi obecność dwóch innych mężczyzn w białych kombinezonach, którzy stali nad czymś, co leżało na podłodze. Ich nogi częściowo zasłaniały mu widok. Jeden z techników

cofnął się trochę i wówczas Brunetti dostrzegł krótkie siwe włosy Berty Dodson, na które zwrócił uwagę wczorajszego popołudnia. Tym razem jednak widział jedynie tył jej głowy, leżała bowiem zwrócona twarzą w przeciwną stronę.

– Mogę wejść, Bocchese? – zapytał.

– Oczywiście – odparł technik wciąż zajęty nakładaniem proszku.

Komisarz przeszedł w miejsce, z którego mógł zobaczyć nieboszczkę. Odarta z życia i energii wyglądała na drobniejszą i teraz dostrzegł chudość i kruchość jej martwego ciała.

– Przyjrzałem się jej – oświadczył Bocchese i odwrócił się w stronę kobiety, jakby zasługiwała na jego uwagę w chwili, gdy o niej mówił. – Przypuszczalnie została uduszona.

– Rękoma czy w inny sposób? – zapytał Brunetti świadomy tego, jak dziwnie to zabrzmiało. Rękoma robiono rozmaite rzeczy, rękoma budowano, nie miały służyć do zabijania.

– Och, tego nie wiem – odparł Bocchese. – Nie chciałem przyglądać się aż tak uważnie. To pozostawiam Rizzardiemu. – Pokręcił głową, chyba na znak współczucia dla leżącej na podłodze kobiety. – Ma sine paznokcie.

Brunetti skinął głową. Widywał to już wcześniej.

– Dobry wieczór, panowie – dobiegł od drzwi czyjś męski głos. Brunetti się odwrócił i ujrzał Ettore Rizzardiego, naczelnego *medico legale* Wenecji, człowieka, którego uważał za przyjaciela. Lekarz nosił niebieski garnitur w stonowanym odcieniu. Przez rękę miał przewieszony lekki płaszcz z wielbłądziej wełny. W dłoni trzymał czarną skórzaną torbę. – Tomasini uprzedził mnie, że cię tu zastanę – dodał Rizzardi.

– Znałem ofiarę.

– Przykro mi – odparł patolog, po czym zapytał: – Możesz mi coś o niej powiedzieć?

– Poznałem ją wczoraj po południu. Była przyjaciółką mojego zmarłego przyjaciela. Przyjechała tu, żeby urządzać uroczystość żałobną ku jego czci. Człowiek w recepcji nie był pewien, co robiła wieczorem, wiedział tylko,

że jej przyjaciel, który zajmuje ten apartament, przyszedł tuż przed północą i ją tutaj znalazł. – Brunetti zastanawiał się, co jeszcze mógłby dodać. Nie wspomniał o uwadze Bocchesego na temat paznokci nieboszczki: ostatecznie Rizzardi był patologiem.

Lekarz ruszył w stronę krzesła, ale zatrzymał się i posłał pytające spojrzenie jednemu z techników. Na jego skinienie głową powiesił płaszcz na oparciu i podszedł do martwej kobiety.

Przyklęknął i pochylił się nad zwłokami. Podpierając się jedną ręką, nachylił się jeszcze niżej i zbliżył twarz do szyi nieboszczki. Po chwili wstał i przeniósł się na drugą stronę ciała, po czym znowu przyklęknął. Sięgnął do torby, otworzył ją i wyciągnął paczki rękawiczek jednorazowych. Wręczywszy drugą Brunettiemu, wcisnął puste opakowanie z powrotem do torby i włożył rękawiczki.

Znowu pochylając się nad kobietą, odsunął kołnierzyk sukienki, żeby lepiej widzieć szyję, po czym pozwolił mu opaść na miejsce. Spojrzał na techników i zapytał:

– Skończyliście robić zdjęcia?

– Tak, doktorze – odparł jeden z nich.

– Guido? – poprosił Rizzardi i komisarz nie miał innego wyboru, jak klęknąć z drugiej strony zwłok i pomóc patologowi obrócić je na plecy. Wtedy zauważył biegnącą w poprzek gardła pręgę. Przyjrzał się prędze, nie patrząc na twarz Berty, i nie dostrzegł śladów punktowego nacisku spowodowanego palcami. Potem odwrócił wzrok.

Rizzardi wstał, ściągnął rękawiczki i wrzucił je do torby. Spoglądając na denatkę, stwierdził:

– Została uduszona, przypuszczalnie kawałkiem jakiejś tkaniny. – Zerknął na zegarek, żeby się upewnić, którą godzinę ma wpisać do raportu. Odwrócił się do Brunettiego, by zapytać: – Nosila szal, gdy ją widziałeś po południu?

Komisarz przypomniał sobie Bertę, jak wysiadała z samolotu i szła przed nim do wyjścia pod rękę z Rudym. Potem na pokładzie łodzi, a później

tutaj, w hotelu.

– Chyba nie – odparł.

– Coś może się znajdować pod jej paznokciami – zauważył Rizzardi i odwrócił się do techników. Mężczyźni skinęli w milczeniu głowami.

Rizzardi podniósł torbę i płaszcz.

– Sprawdzę to jutro rano, ale nie sądzę, by było dużo do znalezienia. Chyba że udało się jej podrapać mu ręce lub porwać ubranie.

Brunetti nie zdziwił się tym, że patolog użył słowa „mu”. Kobiety rzadko dusiły, a kiedy już to czyniły, ofiarą nie padały inne kobiety, lecz, nazbyt często, ich własne dzieci. Uświadomił sobie, jak okropne myśli krążą mu po głowie.

Rizzardi ruszył w stronę drzwi i komisarz skorzystał z okazji, by podążyć za nim. Po drodze przystanął, żeby zapytać Boccheseo:

– Dopilnujesz, żeby opieczętowali te apartamenty?

– W hotelu się to nie spodoba – odparł naczelnny technik, nie odrywając się od pracy.

– Wielka szkoda – stwierdził beznamiętnie Brunetti.

Gdy znalazł się na korytarzu, Alvisie zasalutował; Pucetti odwrócił się twarzą do niego, ale nic nie powiedział.

– Macie tu zostać, dopóki nie skończą, a potem dopilnować, żeby opieczętowano drzwi. Po wyjściu techników nikt nie ma prawa wchodzić do żadnego z apartamentów, dopóki nie zezwoli na to sędzia nadzorujący tę sprawę. – Pucetti skinął głową, Alvisie zasalutował. Żaden z nich się nie odezwał.

Rizzardi postanowił nie jechać windą i komisarz dogonił go na schodach.

– Chciałbyś się czegoś napić? – zapytał patolog. – Chyba jeszcze obsłużą nas w barze.

– Muszę porozmawiać z człowiekiem, który ją znalazł.

– No to ci współczuję – powiedział Rizzardi z czymś w rodzaju westchnienia.

– To przyjaciel.

– To nawet gorzej.

– Owszem.

– Wiesz coś o niej? – spytał lekarz, gdy skręcili na ostatni bieg schodów.

– Niezupełnie. Dopiero co ją poznałem. Przyleciała z moim przyjacielem... tym, z którym muszę porozmawiać... żeby urządzić uroczystości żałobne dla innego jej przyjaciela, który niedawno zmarł. – Chociaż Rizzardi patrzył przed siebie i nie mógł tego widzieć, komisarz wzruszył ramionami na myśl o dziwnej symetrii tych dwóch wydarzeń.

– Z nim też się przyjaźniłeś?

– Tak. Szedł ulicą ze swoją siostrą i padł martwy na ziemię.

Patolog zatrzymał się na ostatnim stopniu schodów i odwrócił do Brunettiego.

– Mój Boże, tyle się naoglądałem, że każdemu życzyłbym takiej śmierci.

– Ja też.

– Mam nadzieję, że zdążysz się trochę wyspać – powiedział Rizzardi, po czym podszedł do drzwi i nie mówiąc nic więcej, wyszedł z hotelu.

Rezzante wciąż był w recepcji.

– To pokój na końcu korytarza po prawej stronie, *commissario* – powiedział i podnosząc kartę magnetyczną, dodał: – Umieściliśmy go w dwieście trzy i zostawiliśmy mu przybory toaletowe oraz piżamę.

Brunetti wziął plastikową kartę, podziękował recepcjoniście i ruszył w kierunku sali klubowej porozmawiać z Rudym. Tomasiniemu powiedział, że może iść do domu.

Rudy siedział w fotelu przed kominkiem gazowym ze sztucznymi bierwionami i regulowanym płomieniem – tylko takich bowiem wolno było obecnie używać w Wenecji. Komisarz, który pamiętał piec z domu rodzinnego, na widok tych kominków zawsze odczuwał rozczarowanie. Nie dało się na nich nic ugotować, podgrzać wody ani spalić gazet i opakowań.

Adler odwrócił się na dźwięk kroków Brunettiego i ułożył dłonie na oparciach fotela, żeby wstać.

– Nie wstawaj – powiedział komisarz, podszedł do niego, poklepał kilka razy po ramieniu i usiadł na kanapie naprzeciwko. Położył plastikową kartę na znajdującym się między nimi stoliku i dodał: – Umieścili cię w innym pokoju: numer dwieście trzy.

Rudy popatrzył na niego, ale nie zwrócił uwagi na kartę. Brunetti się zastanawiał, czy przyjaciel Gonzala w ogóle usłyszał jego słowa.

– Przykro mi, Rudy, współczuję ci z powodu twojej straty.

Starszy mężczyzna próbował się uśmiechnąć, ale zdołał jedynie sprawić, że połączyły się zmarszczki wokół jego ust i oczu.

– Berta była też moją najlepszą przyjaciółką. – Chociaż szok spowodowany znalezieniem ciała Berty minął, wzmianka o niej spowodowała, że po policzkach zaczęły mu spływać łzy. Otarł je wierzchem dłoni, po czym wyjął chusteczkę z kieszeni na piersi i wydmuchał nos. Zmiał ją w prawej ręce i na chwilę zamknął oczy. Gdy je otworzył, zapytał: – No i? Co musisz wiedzieć, Guido?

– Chciałbym, żebyś mi powiedział wszystko, co usłyszałeś od Berty o jej planach na pierwszy dzień. Przyplłynęliśmy do hotelu razem i pamiętam, jak mówiła, że po południu ma się z kimś spotkać oraz że zje kolację ze swoimi brytyjskimi znajomymi.

Adler skinął głową i rzekł:

– Kiedy się meldowaliśmy, czekała na nią wiadomość. Lady Alison nie czuła się dobrze i pytała Bertę, czy mogliby odwołać kolację. Uwielbiam Brytyjczyków i ich „nie czuję się dobrze”. To mogłaby być cholera lub coś jeszcze gorszego, ale oni zawsze „nie czują się dobrze” i proszą o wybaczenie.

– A to drugie spotkanie?

– O nim nic nie mówiła.

– Wiesz, z kim miała się zobaczyć?

– Nie. Nie powiedziała, ale wiedziałem, że było to dla niej ważne.

– Skąd ta pewność?

– Wyczułem to ze sposobu, w jaki o tym mówiła, ale była bardzo tajemnicza.

– Mów – zachęcił go Brunetti.

Adler wsparł głowę na oparciu fotela i zamknął oczy.

– Mów, Rudy – ponaglił go komisarz.

– Sprawiała wrażenie podekscytowanej, ale nie zdradzała szczególnej ochoty.

– Powtórz, co dokładnie powiedziała.

Ton tych słów sprawił, że Adler otworzył oczy, a wyraz twarzy komisarza skłonił go do mówienia.

– Stwierdziła, że chce porozmawiać z kimś, kto podobno kochał Gonzala, i przekonać się, czy ta miłość była szczerą.

To z pewnością było dość tajemnicze.

– Z kim?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy chodziło o mężczyznę, czy o kobietę. Berta mówiła o „osobie”.

– Powtarzasz mi jej słowa dokładnie? – zapytał Brunetti, starając się ze wszystkich sił zachować spokojny ton.

– Właśnie to pamiętam – odparł jego bliski wyczerpania rozmówca.

– Czy wspominała o Campo Santa Margherita?

– Nie.

– Czy dobrze znała miasto?

– Czemu o to pytasz?

– Zastanawiałem się, czy znała Wenecję wystarczająco dobrze, by pójść tam pieszo, czy popłynęła taksówką.

Rudy mimowolnie uśmiechnął się na te słowa.

– Masz błędne wyobrażenie o Bercie. Jej mąż jest niesamowicie bogaty, to prawda, ale ona pochodziła z Chile, jej ojciec był członkiem gabinetu Salvadora Allende.

Brunetti nie widział związku między taksówkami a politycznym zaangażowaniem jej ojca.

– Nie rozumiem.

– Jej rodzina to zagorzali socjaliści i Berta też była socjalistką. Jej ojciec zniknął niedługo po śmierci prezydenta Allende, a ona musiała się ukrywać, dopóki nie znalazła sposobu na wydostanie się z kraju.

– Wciąż nie rozumiem – wyznał komisarz.

– Poszłaby pieszo do Mediolanu, gdyby nie zdołała znaleźć jakiegoś środka transportu publicznego, którym mogłaby tam dotrzeć – wyjaśnił Rudy z delikatnym naciskiem. – Jej mąż mógłby z łatwością wyczarterować samolot, by ją tutaj przywieźć – stwierdził, a na jego twarzy odmalowała się nagle chłopięca tęsknota. – Przylecieliśmy easyJetem. – Gdy wypowiedział nazwę linii lotniczych, głos mu się załamał; zachichotał nerwowo.

– Rozumiem – rzekł komisarz, ale nie zapytał, dlaczego wyznawane przez Bertę Dodson zasady nie skłoniły ich do zatrzymania się w schronisku młodzieżowym. – Powiedziała jeszcze coś, co ci utkwilo w pamięci?

Rudy pochylił się w fotelu i skrzyżował ręce na kolanach. Zamknął oczy. Brunetti zastanawiał się, czy przytłoczyło go brzemie wydarzeń i zasnął. Odczekał jakiś czas i jeszcze chwilę. Zmęczenie, powstrzymywane do tego momentu, znalazło okazję, by go dopaść. Rozsiadł się na kanapie i założył nogę na nogę.

Adler otworzył oczy i spojrzał na komisarza.

– Tylko tyle, że musi coś zrobić dla Gonzala – rzekł i sięgnął po magnetyczny klucz do swojego nowego pokoju.

Komisarzowi nie przychodziły na myśl żadne inne pytania, więc wstał i zapytał Rudy'ego, czy ma go odprowadzić.

Adler zaskoczył go, przyjmując propozycję, i wyciągnął do niego rękę. Komisarz pomógł mu wstać z fotela. Wjechali windą na drugie piętro, gdzie ruszył z Rudym pod rękę, szukając pokoju. Przed drzwiami Rudy wręczył

mu kartę. Brunetti, niczym boy hotelowy, pchnął drzwi i obszedł pokój, by włączyć lampy.

Na łóżku leżała piżama w foliowym opakowaniu, w łazience było wszystko, co niezbędne, oraz dwie butelki wody mineralnej, gazowanej i niegazowanej.

Rudy nadal stał w progu i sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Obserwował, jak Brunetti krząta się w pokoju. Gdy ten po szybkiej inspekcji wyszedł z łazienki, zastał Rudy'ego przy łóżku, wpatzonego w zapakowaną piżamę.

– Położę się – powiedział Adler. – Dziękuję ci.

Podeszli razem do drzwi, które komisarz zapomniał zamknąć. Brunetti wyszedł na korytarz i odwrócił się do Adlera. Ten przyłożył mu dłoń do policzka i rzekł:

– Gonzalo miał rację. Jesteś dobrym człowiekiem. Dobranoc, Guido.

Zanim Brunetti zdążył się odezwać, Rudy bezszelestnie zamknął drzwi pokoju.

Rozdział 21

Brunetti zatrzymał się w recepcji, by poinformować Rezzantego, że dwaj jego ludzie spędzą noc przed opieczętowanymi apartamentami. Poprosił, żeby zanesiono im na górę krzesła i w ciągu nocy zaproponowano kawę oraz posiłki, jakich sobie zażyczą. Wyciągnął portfel i wyjął z niego kartę kredytową.

Gdy podawał ją recepcjoniście, mężczyzna schował ręce za plecy, jakby podsunęto mu płonącą gałąź.

– Nie, panie komisarzu, proszę. Wszyscy jesteście naszymi gośćmi. Poślę tam kogoś z krzesłami i zatroszczymy się o pańskich ludzi.

Brunetti wahał się przez chwilę, ale postanowił się zgodzić. Schował kartę, mówiąc:

– Dziękuję panu oraz dyrekcji hotelu. Przypuszczam, że nasz technik zadzwonił do szpitala i poprosił o przysłanie karetki.

– Zrobią to dyskretnie, prawda? – upewnił się Rezzante.

– Gdy wyjdę, zatelefonuję do nich i przekażę im to – odparł komisarz. – A jutro dam znać, kiedy znowu będzie można udostępnić te apartamenty.

– Dziękuję, panie komisarzu. – Wyglądało na to, że recepcjonista zamierza jeszcze coś powiedzieć, ale umilkł.

– O co chodzi? – zapytał Brunetti, podchodząc bliżej kontuaru.

– Gdy ktoś tutaj umiera, strasznie to przeżywamy. – Zanim komisarz zdążył się odezwać, Rezzante wyjaśnił: – Nie chodzi mi o to, że tutaj, tym razem, ale zawsze. Hotel... każdy hotel... zmienia się na wiele dni, a nawet na dłużej. To dziwne, bo przecież taka osoba jest dla nas kimś obcym, a jednak wszyscy odczuwamy jej śmierć. Może to właśnie brak prawdziwego związku z tą osobą pozwala nam się wczuć w tajemnicę śmierci – umilkł, wzruszył ramionami i dodał: – Sam nie wiem.

– Postaramy się zrobić jak najmniej zamieszania – obiecał Brunetti.

– Mam nadzieję, że uda się wam... – zaczął mówić recepcjonista, ale koniec zdania zastąpił machnięciem dłonią.

– Dziękuję – rzekł komisarz. Zdał sobie sprawę, że strzyżenie się u tego samego fryzjera było nieistotne: darzył Rezzante go sympatią, ponieważ ten potrafił mówić o „tajemnicy śmierci”. – I jeszcze raz dziękuję za pańską szczerą w obecnym kontekście wobec moich ludzi.

– Drobiazg, *commissario* – odparł Rezzante, po czym, jakby Brunetti był częstym gościem hotelu, którego żegnał przed udaniem się na spoczynek, dodał: – *Buona notte*.

Tuż za drzwiami komisarz przystanął i zadzwonił na szpitalny oddział ratunkowy. Przedstawił się, po czym poprosił swojego rozmówcę, żeby polecił załodze karetki, którą przyślą do hotelu po zwłoki kobiety, by zachowywała się tam jak najdyskretniej. Mężczyzna, z którym rozmawiał, zapewnił go, że wszystko będzie załatwione w należyty sposób.

Brunetti ruszył do domu, rozmyślając o tym, co powinien był zrobić i czego nie zrobił. Nie rozejrzał się w apartamencie Berty za jej *telefonino* ani nie sprawdził, czy została obrabowana. Nie można byłoby tego stwierdzić, dopóki nie porozmawiałby z jej mężem i nie zapytał, co zabrała ze sobą do Wenecji. Miał numer jej domowego telefonu, lecz musiał odwlec tę rozmowę do czasu, aż znajdzie się w domu, w przestrzeni, która złagodzi koszt psychiczny związany z koniecznością poinformowania nie tylko o śmierci, ale i o tym, że nastąpiła wskutek umyślnego aktu przemocy.

Gdy wszedł do mieszkania, już dawno minęła druga. W korytarzu paliło się światło. Odwiesił płaszcz i wszedł do salonu. Na niskim stoliku przed kanapą leżała taca, a na niej stała butelka ich najlepszej whisky i szklanka, a także metalowy termos oraz filiżanka i spodek. Usiadł na kanapie i otworzył termos: herbata z werbeny. Napełnił filiżankę herbatą, a potem wlał do niej sporą ilość trunku.

Nie od razu pozwolił sobie na skosztowanie tak przyrządzonego napoju. Wyciągnął notes, żeby znaleźć numer telefonu Berty Dodson, a następnie

zadzwoił do Anglii. Po trzech charakterystycznych podwójnych dzwonekach odebrał jakiś mężczyzna, pytając:

– To ty, Berto?

Jeżeli Brunetti spodziewał się szorstkiej reprimendy angielskiego lorda lub drżącego głosu zaniepokojonego starca, to miał go spotkać podwójny zawód. Głos w słuchawce był mocny i niski, głoski wyczelowane, a ton świadczył o entuzjazmie na myśl, że mogliby kontynuować ciekawą rozmowę, której nie dokończyli ostatnim razem.

– Signor Dodson? – zapytał komisarz.

– Tak. Mogę zapytać, kto dzwoni?

– Komisarz Guido Brunetti z weneckiej policji.

Dzielącą ich przestrzeń wypełniła cisza. Brunetti wyczuł, że jego rozmówca rozważa w milczeniu możliwości, wykluczając niektóre i nie akceptując pozostałych. Nagle uświadomił sobie, że słyszy oddech mężczyzny, głęboki i ciężki.

– O co chodzi?

– Mam dla pana złe wieści, signor Dodson: najgorsze.

Znowu długa cisza. Oddech ustał, po czym znowu stał się słyszalny, szybszy, jeszcze cięższy. Czy ten Anglik pragnął dalej spadać, wiedząc, co musi nastąpić, ale chcąc odwlekać jak najdłużej moment otrzymania wiadomości, która już na zawsze miała wszystko zmienić? Brunetti wyobrażał go sobie, jak obserwuje coraz bardziej zbliżającą się ziemię i może jedynie zamknąć oczy albo ich nie zamykać i zadać pytanie.

– Berta?

– Tak, proszę pana.

– Niech pan mówi.

– Pańska żona nie żyje. Przykro mi, ale nie można tego inaczej określić.

– Jak?

– To jeszcze gorsze, jeśli to w ogóle możliwe. Została zabita. – Nie potrafił się zdobyć na stwierdzenie, że została zamordowana; użycie tego

słowa byłoby zbyt okrutne.

Oddech w słuchawce stał się urywany, głęboki i powolny, każdemu kolejnemu towarzyszył chrypiący odgłos. Komisarz czekał.

– Jak?

– W jej pokoju hotelowym – odparł Brunetti, po czym, nie mając innego wyboru, wyjaśnił: – Ktoś ją zabił.

Z ust mężczyzny wydobył się taki dźwięk, jakby właśnie otrzymał cios w potylicę. Komisarz przycisnął słuchawkę brodą do ramienia i podniósł filiżankę; trzymał ją przez chwilę pod nosem i wdychał woń zmieszanych składników, po czym odstawił na spodek, żeby herbata jeszcze trochę ostygła.

– Jak? – zapytał mąż Berty. Brunetti wiedział, że ci, którzy tracili bliskich, musieli to wiedzieć, zanim jeszcze zapytali, kim jest sprawca.

– Została uduszona – odrzekł komisarz, zamykając oczy i naciskając plecami na oparcie kanapy.

– Przepraszam, ale proszę powtórzyć, kim pan jest.

– Commissario Guido Brunetti. Znalazł ją jej przyjaciel, Rudy Adler, i pozwolono mu do mnie zadzwonić. Pański numer otrzymałem w hotelu.

– „Pozwolono mu”? – zdziwił się Dodson, po czym, po chwili znaczącego milczenia, rzekł: – Mógłby mi pan wyjaśnić, co to znaczy?

– Jak powiedziałem, to on znalazł jej ciało. Wszedł do swojego pokoju i tam ją znalazł. – Ponieważ Dodson milczał, Brunetti dodał: – Rudy jest moim przyjacielem, więc zadzwonił do mnie. „Pozwolono” to chyba niewłaściwe słowo: zapytał policjantów, czy może do mnie zatelefonować, a oni się zgodzili.

– Rozumiem – rzekł cicho Dodson, po czym milczał tak długo, że Brunetti pochylił się i wypił łyk herbaty, jeden, potem drugi. – Wiecie, jak do tego doszło? – Zapytał.

– Nie, proszę pana. Jeszcze nie. Na razie poddaliśmy oględzinom pokój – wyjaśnił komisarz, nie wspominając o oględzinach ciała ofiary.

– A moja żona? – zapytał Dodson, jakby Berta wciąż żyła.

Brunetti słuchał odgłosów niepoohamowanego oddechu w słuchawce przez długi, jak się wydawało, czas.

– Zabrano ją do szpitala – odparł, nie będąc w stanie użyć słowa „ciało”. Nie chciał też rozmawiać o tym, co będą z nią robić rano.

– Rozumiem – rzekł Dodson, a potem oznajmił: – Nie mogę przyjechać.

– Słucham? Mógłby pan powtórzyć?

– Nie mogę przylecieć. Nawet w tej sprawie. Jestem przykuty do łóżka. – Brunetti czekał na dalsze wyjaśnienia. Po długiej pauzie Dodson rzekł: – Nawet dla Berty.

– Nie wiedziałem.

– Nie mówimy o tym ludziom. Tego się nie robi – zaznaczył, przypominając Brunettiemu, że ma do czynienia z Anglikiem.

Komisarz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Przykro mi, proszę pana. Ale zapewniam, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy... – zaczął, lecz umilkł, w pełni zdając sobie sprawę, w jak nikłym stopniu mogą pomóc temu człowiekowi – ...żeby to było dla pana mniej straszne.

Usłyszał chrząknięcie, po czym Dodson rzekł:

– Dziękuję panu za to, *signor*... przepraszam, ale nie zapamiętałem nazwiska.

– Brunetti, proszę pana. – Przez chwilę zamierzał wyjaśnić Dodsonowi, że jest zięciem Orazio Faliera. Jego żona mogła wspominać mu o hrabim. To jednak nie miało najmniejszego znaczenia.

– A tak, Brunetti. Dziękuję panu za szczerość. Na nic innego nie mam już czasu.

– Jeżeli mogę uczynić cokolwiek, co mogłoby panu jakoś pomóc, *signore*, proszę mi powiedzieć. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie Brunetti – odparł Dodson i wydawało się, że będzie mówił dalej, ale umilkł.

Brunetti czekał w milczeniu.

– Moja choroba sprawiła, że byłem zdany na Bertę. Na nią i na otaczających mnie ludzi.

– Rozumiem, panie Dodson – wymamrotał komisarz, nic nie rozumiejąc.

– Po śmierci swojego przyjaciela Gonzala poleciała na jeden dzień do Madrytu, a potem zapytała, czy może polecieć do Wenecji, żeby urządzić na jego cześć ostatnie przyjęcie. – Mąż Berty westchnął głęboko, ale mówił dalej: – On, Gonzalo, był drugą wielką miłością jej życia. Powiedziała mi o tym, gdy poprosiłem ją o rękę.

Brunetti sięgnął po filiżankę i opróżnił ją, odsuwając telefon od ust, żeby jego rozmówca nic nie usłyszał.

– Powiedziałem jej więc, żeby jechała i się tym zajęła. I tak się stało. A teraz to. – Westchnienie przeszło w kaszel, a gdy ten ustał, Dodson dodał: – Przepraszam. Mówiłem panu, że nie mogę przylecieć. – Niezmienionym tonem zapytał: – Jak pan ma na imię, komisarzu?

– Guido.

– Mogę to, zajęcie się tą sprawą, zostawić panu, Guido?

– Tak, proszę pana.

– To dobrze. Nie mogę już dłużej tego robić. Rozmawiać.

– Rozumiem, proszę pana.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie pan mógł.

– Dobrze, proszę pana.

– W takim razie dobranoc – powiedział Dodson i zakończył rozmowę.

Brunetti się rozłączył i pochylił, żeby nalać sobie następną porcję herbaty. Tym razem nie dodał do niej whisky.

Rozdział 22

Następnego rana Brunetti dotarł do komendy przed dziewiątą, niepewny i roztrzęsiony z niewyspania. Udał się prosto do gabinetu Bocchesego i zastał go przy biurku, z kilkoma kartkami w dłoniach. Na widok komisarza naczelnego technik rzekł:

– Oto raport. Kazałem im go przygotować, gdy wrócili w nocy, bo wiedziałem, że nie dasz mi spokoju, dopóki go nie dostaniesz.

Brunetti uśmiechnął się z wdzięcznością.

– A torebka i telefon komórkowy?

– Torebka tak, *telefonino* nie – odparł Bocchese, po czym, zanim komisarz zdążył zapytać, dodał: – Co świadczy o tym, że bez względu na to, jaki rodzaj komórki miała, wzbudził on większe zainteresowanie niż portmonetka z... – zrobił pauzę, żeby zerknąć do raportu... – ze stu piętnastoma funtami, trzystu dwudziestoma euro oraz trzema kartami kredytowymi.

– W nocy rozmawiałem z jej mężem – przyznał Brunetti – ale zapomniałem zapytać, czy nosiła lub zabrała ze sobą jakąś cenną biżuterię.

– Mężczyźni zazwyczaj nie wiedzą takich rzeczy – zauważył Bocchese. – Na palcach miała ślubną obrączkę i jeden pierścionek z dużym brylantem. – Popatrzył na komisarza i dodał: – Przypuszczalnie wart więcej niż telefon komórkowy.

– Bez wątplenia – zgodził się Brunetti. – Czy wyglądało na to, że ktoś przeszukiwał jej rzeczy?

– Walizka była zamknięta i nierozpakowana. Płaszcz wisiał w szafie.

Komisarz otwierał już usta, gdy technik dodał:

– Ale...

– Ale?

– Ale na drzwiach łączących apartamenty znaleźliśmy po jej stronie zadrapania. W nocy pobraliśmy próbki z jej dłoni i pod paznokciami wykryliśmy włókna. Zrobiliśmy to tam, w jej pokoju, i zabezpieczyliśmy jej dłonie foliowymi workami, więc można potwierdzić właściwości tego materiału.

Brunetti podszedł do biurka i usiadł na stojącym obok krześle. Bocchese oświadczył:

– Skończyliśmy oględziny, dlatego można już zdjąć pieczęcie z drzwi tych apartamentów.

Komisarz skinął głową i pomyślał, że choć z Bocchesem należało się obchodzić jak z jajkiem, to można było na nim polegać.

Technik miał jeszcze coś dopowiedzieć, gdy Brunetti jęknął *Oddio* i przyłożył dłoń do ust.

– Co się stało? – zapytał ze szczerą troską Bocchese.

– Zapomniałem o Alvisem i Pucettim. Pozostawiłem ich na warcie przed drzwiami apartamentów, uznałem, że mogliby czuwać do rana. – Komisarz wstał i oznajmił: – Pójdę dopilnować, żeby ich odesłano do domu.

Wychodząc, słyszał, jak Bocchese mówi:

– Zapomnieć o Alvisem, jakie to proste – ale postanowił zignorować tę uwagę.

Poszedł na górę do sali odpraw, zastał w niej Vianella i wyjaśnił mu, co się stało. Inspektor najpierw się roześmiał, ale potem obiecał, że zadzwoni do hotelu i każe odesłać policjantów do domu.

– Przyjdź na górę, gdy będziesz mógł – poprosił Brunetti i poszedł porozmawiać z signoriną Elettrą. Gdy znalazł się w sekretariacie, Elettra na powitanie powiedziała:

– Dowiedział się i chce pana widzieć.

Komisarz skinął głową na znak, że dziękuje, i zapukał do drzwi gabinetu vice-questore Patty.

Wszedł do gabinetu, usłyszawszy wypowiedziane głębokim głosem donośne wezwanie:

– *Avanti.*

Spodziewał się konfrontacji z Pata porywczym: na przykuwające uwagę przestępstwo zastępcy komendanta zazwyczaj reagował złością, jakby sprawcy osobiście go obrazili. Jego złość zawsze po części skupiała się na tych w komendzie, którzy nie zatrzymali przestępców zawczasu ani nie przyłapali ich na gorącym uczynku.

Tak też okazało się w tym przypadku.

– Co ta kobieta robiła w Wenecji? – zapytał *vice-questore*, gdy tylko Brunetti zamknął drzwi. – Czemu wpuściła do swojego pokoju obcego człowieka?

– Dlaczego obcego, panie komendancie? – odpowiedział Brunetti, przechodząc w głąb gabinetu.

– Z pewnością nie przyleciała tu po to, żeby pozwolić się zabić jakiemuś znajomemu, prawda? – Zanim komisarz zdążył odpowiedzieć, Patta wskazał mu fotel i rzekł: – Siadaj, Brunetti. Opowiedz mi o tej sprawie.

Komisarz zrobił, co mu kazano.

– Wczoraj w nocy tuż przed pierwszą przyszedłem do hotelu. Zgłoszenie odebrał Tomasini i gdy się zjawiłem, na miejscu byli Pucetti oraz Alvise; Bocchese i jego ekipa również.

– Dlaczego dotarcie tam zabrało ci tyle czasu?

– Byłem na miejscu dwanaście minut po odebraniu telefonu, panie komendancie – odparł Brunetti, zmyślając.

– I?

– Ta kobieta zatrzymała się tam z przyjacielem, Niemcem, który mieszka w Londynie. Przylecieli do miasta na kilka dni. – W ten sposób komisarz nie wspomniał, że Rudy jest także jego przyjacielem, a ofiara przybyła z uwagi na śmierć kolejnej osoby, którą również znał. Patta rzuciłby się na te szczegóły niczym bestia na swoją ofiarę i rozerwałby je, próbując się posilić. – Ktoś wszedł do jej pokoju lub ona kogoś zaprosiła. I ten człowiek udusił ją prawdopodobnie szalikiem, swoim lub jej własnym.

– Skąd pewność, że to był mężczyzna? – zapytał Patta, jakby przyłapał Brunettiego na kłamstwie.

– Sprawcą oczywiście mogła być kobieta, ale statystycznie rzecz biorąc, to mało prawdopodobne, panie komendancie. – Miał ochotę zapytać Pate, czy kiedykolwiek pracował nad sprawą, w której kobieta udusiła kobietę, ale postanowił pozwolić przemówić statystykom.

– W porządku, mężczyzna – zgodził się, acz niechętnie, *vice-questore*, po czym spytał: – Czy ktoś ją, bądź jego, widział?

– Ludzie z recepcji powiedzieli mi, że wczoraj wieczorem urządzano przyjęcie dla czterdziestu osób, więc poza gośćmi po hotelu musiało się kręcić sporo ludzi. – Zanim Patta zdążył zadać kolejne pytanie, komisarz wyjaśnił: – Nie miałem czasu przestudiować rozkładu pokoi i pomieszczeń restauracyjnych, ale możliwe, że ktoś wchodził po schodach lub wsiadał do windy.

– Tak przypuszczam – zgodził się Patta i drążył dalej: – Jakieś ślady kradzieży?

– W apartamencie nie było telefonu komórkowego. Na palcu wciąż miała pierścionek z dużym brylantem, nie ruszono też zawartości portfela.

– Po co ktoś miałby kraść *telefonino*? – zdziwił się Patta. – Mają je już wszyscy.

Doświadczenie, cierpliwość, zdrowy rozsądek i pragnienie przetrwania powstrzymały Brunettiego przed sugestią, że zabójca być może chciał mieć dwa. Rzekł tylko:

– Może chodziło o zdjęcia, rejestr połączeń lub historię wyszukiwań stron internetowych. W grę wchodzi każda z tych możliwości, *signore*.

Zastępca komendanta przerwał komisarzowi wyraźnie zdeglustowany.

– Wiceprezes sieci, do której należy ten właśnie hotel, dzwonił już do mnie dzisiaj rano z pytaniem, kiedy sprawa zostanie wyjaśniona. To dla nich fatalna reklama. – Brunetti był przekonany, że szczerść, z jaką Patta wypowiedział te słowa, ma bezpośredni związek z rozmiarami

wielonarodowej firmy będącej właścicielem hotelu, w którym popełniono to morderstwo.

– Będę o tym pamiętał, *dottore* – obiecał komisarz, wstając z fotela, po czym z lekkim, lecz wyczuwalnym wahaniem w głosie dokończył: – Jeśli to pana zadowala, panie komendancie – i opuścił gabinet, nie słysząc odpowiedzi swojego zwierzchnika.

Podchodząc do biurka signoriny Elettry, rzekł:

– *Vice-questore* pozwolił, bym poprosił panią o zrobienie dla mnie kilku rzeczy. – Pozwolił sobie na uśmiech i dodał: – Zapewniał mnie również, że pani potrafi zrobić wszystko.

– Jakie to uprzejme z jego strony – odparła z niecodzienną u niej serdecznością.

Zaskoczony Brunetti nie zdołał się powstrzymać od komentarza.

– Myślę, że jest pani jedyną osobą w komendzie, którą szanuje.

Elettra podniosła wzrok i uśmiechnęła się skromnie.

– Chyba trafniejsze byłoby stwierdzenie, że jestem jedyną osobą, której się boi.

Och, taka młoda i taka nieczuła, pomyślał komisarz. Od dawna zachwycała go myśl, że signorina Elettra odkryła, gdzie Patta zakopał ciała niektórych ofiar komendy, teraz jednak zaczął podejrzewać, że zastępca komendanta mógł kilka z nich wpakować do grobu przy pomocy swojej sekretarki. Ku swemu wielkiemu zdumieniu poczuł się zdradzony, jakby Elettra nie miała prawa być lojalna wobec *vice-questore* ani strzec jego tajemnic. I dlaczego przyszło mu to do głowy dopiero teraz?

– Mam oczywiście nadzieję, że się pani nie myli – zdołał jedynie odpowiedzieć, zaskoczony, po czym przeszedł do spraw, o których załatwienie musiał ją poprosić. – Spróbuję przed południem zdobyć dla pani numer telefonu komórkowego tej zamordowanej kobiety. Gdy już pani go dostanie, proszę sprawdzić wykaz jej rozmów telefonicznych oraz stron internetowych, na które mogła zaglądać.

– Sięgając w przeszłość jak daleko, *signore*? – uściśliła z ołówkiem w dłoni Elettra.

Komisarz przypomniał sobie, że Gonzalo zmarł w ostatnim dniu jej urlopu, i podał datę trzy tygodnie wcześniej.

– Jeżeli telefonowała do kogoś tutaj, chciałbym wiedzieć, kto to był i jak długo trwały te rozmowy. A tak naprawdę mogłaby pani cofnąć się jeszcze dalej niż o trzy tygodnie w przypadku rozmów z wszystkimi włoskimi numerami, dobrze? – Zdał sobie sprawę, jak słabo rozumie wirtualną rzeczywistość, w której żyje, i powiedział: – Nie wiem, czy może pani ustalić, gdzie telefon komórkowy się znajdował, gdy ktoś dzwonił pod jego numer lub z niego korzystał. – Zabrzmiało to jak stwierdzenie, ale oboje wiedzieli, że było pytaniem.

– To się da zrobić, panie komisarzu – odparła łagodnie. – Jeszcze coś, *signore*?

– Na razie nie – odpowiedział Brunetti. – Porozmawiam z dottoressą Griffoni, a potem będę w swoim gabinecie.

Signorina Elettra skinęła głową, później skupiła uwagę na leżących na biurku dokumentach.

Na górze zastał Griffoni przy jej biurku w bardzo małym gabinecie. Gdy zatrzymał się przed otwartymi drzwiami, podniosła wzrok i zapytała:

– Tak, Guido?

– Chciałbym, Claudio, żebyś przeprowadziła w moim imieniu jedną rozmowę telefoniczną.

– W sprawie tej zamordowanej kobiety?

– Tak. – Brunetti zastanawiał się, czy nie byłoby łatwiej, gdyby po prostu wypili razem kawę.

– Z kim?

– Z jej mężem – odparł komisarz i zanim Griffoni zdążyła zakwestionować ten pomysł, wyjaśnił: – W takiej sytuacji z kobietą łatwiej się rozmawia. – Griffoni spojrzała na niego, ale się nie odezwała. – Telefonowałem do niego dziś w nocy około drugiej. I powiedziałem mu, co

się stało. – Claudia nadal milczała i Brunetti ograniczył się do stwierdzenia: – Zareagował jak typowy Anglik. Oświadczył jednak, że nie może przylecieć. Sądzę, że powodu choroby, chociaż nie powiedział tego wprost.

– Jeżeli jest Anglikiem, to nic dziwnego. – Claudia Griffoni obróciła się na krześle, żeby zrobić komisarzowi dość miejsca, by mógł wejść do gabinetu i usiąść na drugim krześle. – Dobrze. Co mam mu powiedzieć?

– Tak naprawdę zapytać – rzekł Brunetti. – Tylko o dwie rzeczy: o numer *telefonino* jego żony oraz o to, czy miała ze sobą coś cennego.

– Signorina Elettra nie może zdobyć numeru?

– Nie wiem, czy Dodson używała własnego nazwiska, czy nazwiska męża, a dostanie się do systemu angielskiej telefonii w poszukiwaniu numeru mogłoby trochę potrwać.

– Rozumiem. – Claudia Griffoni wyciągnęła rękę do komisarza, który położył na jej biurku notes otwarty na stronie z numerem Dodsona.

Griffoni wzięła swój telefon i machnięciem ręki odsunęła komórkę Brunettiego, gdy zaproponował, by to z niej zadzwoniła. Wpisała cyfry i odsunęła swoje krzesło w stronę drzwi, żeby założyć nogę na nogę.

Komisarz usłyszał podwójne brzęczenie, a następnie wypowiedziane męskim głosem słowa, których nie zrozumiał.

– *Good morning, sir* – powiedziała Griffoni po angielsku z akcentem na tyle łagodnym, by nie przeszkadzał w rozumieniu. – Mówi commissario Claudia Griffoni. Z weneckiej policji. Mój kolega, dottor Brunetti, przekazał mi pański numer.

Słuchała przez krótki czas i odparła:

– Nie, nic, proszę pana. Jest jeszcze za wcześnie i próbujemy zebrać informacje, które pomogą nam w śledztwie.

Brunetti znowu usłyszał niski głos mężczyzny.

– Tylko dwie rzeczy, proszę pana: numer telefonu komórkowego pańskiej żony i to, czy zabrała ze sobą coś cennego. – Griffoni zawahała się, gdy odpowiedział, a potem rzuciła: – Nie, to wszystko, proszę pana.

Tym razem mężczyzna mówił dłużej. Komisarz Griffoni nachyliła się w stronę biurka i przysunęła do siebie notes Brunettiego. Zapisała jakieś liczby, odłożyła pióro i spojrzała na pozbawioną okien ścianę za Brunettim.

Gdy Dodson nie przerywał rozmowy, Griffoni zamknęła oczy i od czasu do czasu kiwała głową. W końcu powiedziała:

– Nie, proszę pana. Ja nie. Śledztwem pokieruje commissario Brunetti.

Dodson mówił, tym razem krócej, po czym najwyraźniej umilkł.

– Dobrze, przekażę mu, proszę pana. I proszę przyjąć moje... wyrazy współczucia z powodu straty żony.

Ze słuchawki dobiegły jeszcze ciche dźwięki, a potem Dodson chyba zakończył rozmowę.

– *Goodbye* – szepnęła Griffoni i odłożyła telefon na blat biurka.

Otworzyła oczy i spojrzała na Brunettiego.

– Dał mi jej numer – podsunęła mu notes. – I oświadczył, że nie miała biżuterii. Nie żeby jej ze sobą nie zabrała: nigdy nie nosiła niczego oprócz obrączki i tego pierścionka.

– Jakie sprawiał wrażenie? – Na to pytanie komisarz mógł oczekiwać odpowiedzi od kobiety.

– Umierającego człowieka. – Griffoni nie powiedziała nic więcej, a Brunetti nie domagał się wyjaśnień.

Rozdział 23

Sekcję zwłok zrobiono dzień po śmierci Berty i obyło się bez niespodzianek. Alberta Dodson został uduszona: Rizzardi znalazł krwawe wybroczyny w mięśniach podgnykowych oraz tkankach wokół krtani. Zmarła wskutek uduszenia; Brunetti z ulgą przeczytał, że przypuszczalnie zgon nastąpił szybko.

Użyto jakiejś tkaniny – być może szalika. Zabójca, który stał za Bertą, był równie niski jak ona, ponieważ sińce z obu stron gardła opadały w kierunku grzbietu. Zadrapania na szyi mogły powstać od jej własnych paznokci, ale dowód na to miał zostać odkryty dopiero po odesłaniu wyników z laboratorium.

W pozostałej części raportu stwierdzono dobry stan zdrowia zamordowanej i sformułowano przypuszczenie, że mogłaby przeżyć jeszcze wiele lat. Brunetti czytał takie informacje z dręczącym poczuciem straty, zastanawiając się, co nieboszczka mogłaby uczynić z tym czasem.

Rozpoczęło się wyczekiwanie. Nie dało się przyśpieszyć procesu, który od lat pozostawał niezmienny mimo całego postępu technicznego w analizie i ocenie dowodów. Czekali, aż laboranci zabiorą się do badania pobranych próbek i zrobią to, co musieli zrobić, żeby znaleźć to, czego kazano im szukać. Czy próbki trafiły w niewłaściwe miejsce, czy etykiety odpadły, po czym zostały umieszczone na niewłaściwych butelkach? Kto wie? W ubiegłym miesiącu pociąg wypadł z torów, ponieważ miejsce łączenia szyn od wielu miesięcy było podparte kawałkiem drewna. Pewien mężczyzna został uwolniony od zarzutu popełnienia przestępstwa, ale pozostał za kratami przez następne trzy lata, gdyż nikt nie pomyślał, by powiadomić o tym jego samego lub jego adwokata. Tak wszystko funkcjonowało.

Dzień po przeprowadzeniu sekcji zwłok dyrektor hotelu zadzwonił do Brunettiego, by mu powiedzieć, że szef hotelowej ochrony ściągnął wszystkie nagrania z kamer monitoringu dokonane w dniu morderstwa i prześle je im pocztą elektroniczną, jeśli komisarz poda właściwy adres.

Brunetti, zażenowany tym, że nie zapytał wcześniej o kamery monitorujące, podziękował dyrektorowi i zapytał, czy mieli czas obejrzeć te filmy. Dyrektor wyjaśnił, że dysponują wieloma godzinami nagrań z czterech różnych kamer i brakuje im pracowników, którzy mogliby sprawdzić ich zapis.

Brunetti podał mu adres i jeszcze raz podziękował, po czym natychmiast zadzwonił do Vianella, prosząc, by wyznaczył dwóch rzetelnych ludzi do obejrzenia nagrań. Powiedział też inspektorowi, że ludzie Bocchesego mogliby dostarczyć zdjęcia zwłok signory Dodson, żeby było wiadomo, co miała na sobie w chwili śmierci.

– Powiedz ludziom mającym obejrzeć te filmy, że interesują mnie wszyscy, z którymi rozmawiała, z wyjątkiem człowieka, u którego się meldowała... – zaczął wyjaśniać jako przyjaciel, zawahał się, po czym mówiąc jako policjant, zakończył: – z wszystkimi jej rozmówcami.

– Sprawdzę, kto ma służbę – odparł Vianello. – Zakładam, że to nie ma być Alwise ani Riverre – dodał obojętnie.

– Nie, lepiej nie – zgodził się komisarz, podziękował inspektorowi i się rozłączył.

Kiedy po przerwie na kawę wrócił do gabinetu, znalazł na biurku teczkę z dokumentami. Otworzył ją i nie zawracając sobie głowy czytaniem wstępu, przejrzał szybko kilka pierwszych stron, które zawierały tekst w języku hiszpańskim. Adresy u góry każdej strony wskazywały, że przegląda korespondencję e-mailową między Gonzalem a Bertą Dodson. Pośpiesznie powrócił do wstępu od signoriny Elettry, w którym napisała: „Numer telefonu był na jej nazwisko i w korespondencji między dwiema zmarłymi osobami, o których pan wspomniał, znalazłam te e-maile. Xavi już je tłumaczy. Opowiedziałam mu o autorach e-maili oraz o tym, co mogli w nich omawiać, więc niektóre fragmenty, które mogłyby mieć znaczenie,

umieścił w nawiasach wraz z tłumaczeniem. Pełny przekład powinien być gotowy jutro”. Gdy komisarz powrócił do lektury dokumentów, dostrzegł naniesione ołówkiem nawiasy, po których każdorazowo następowało tłumaczenie na włoski. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Być może te e-maile pozwoliłyby mu odtworzyć przebieg wydarzeń lub przynajmniej dać mu o nich pewne wyobrażenie.

Sprawdził datę pierwszego e-maila i zobaczył, że przed pięcioma miesiącami Berta napisała: *Precisamente porque soy tu mejor amiga puedo decirte la verdad*. Zdanie to brzmiało niemal dokładnie tak jak po włosku: „Właśnie dlatego, że jestem Twoją najlepszą przyjaciółką, mogę powiedzieć Ci prawdę”.

Tego samego dnia Gonzalo odparował: *Tú no eres una amiga*. Tak więc po tylu latach przestała być jego przyjaciółką.

Kilka dni później Berta odpowiedziała: *Somos los únicos que sabemos que no puedes hacer algo así*. W tym miejscu Brunetti musiał się uciec do tłumaczenia na włoski: „Tylko my wiemy, że nie wolno Ci tego zrobić”. Komisarz zastanawiał się, kogo ujęła w tym „my” i czego nie wolno było Gonzalowi uczynić. Udzielała mu rady czy zabraniała mu czegoś? Mógł wpatrywać się w to zdanie do woli: nie stawało się dzięki temu bardziej zrozumiałe.

De Tejada odpowiedział tego samego dnia w języku hiszpańskim tak jasnym, że Brunetti nie raczył nawet spojrzeć na przekład pierwszego zdania: „Przyjaciele nie wydają rozkazów”. Następnie przyjaciel Orazia zaczął się mądrzyć i oświadczył, że *Un amigo nunca haría daño a un amigo*, co według tłumacza znaczyło, że „przyjaciel nigdy nie uczyni przyjacielowi niczego, co go zrani”.

Berta potrzebowała tygodnia, żeby odpowiedzieć na ten zarzut. Jej e-mail zawierał tylko jedno zdanie: *Incluso si para pararte los pies he de destruir mi propia reputación*. Po nim równie groźnie brzmiące tłumaczenie na włoski: „Nawet jeżeli będę musiała zszargać swoją reputację, żeby Cię powstrzymać”.

Korespondencja zakończyła się na tym e-mailu. Nietrudno było zauważyć, że dyskutowali na temat adopcji. Jedyne coś, co oboje uważali za równie ważne i nieodwołalne jak adopcja, mogło ich doprowadzić do takiej pasji. Cóż jednak mogła zrobić takiego, że zszargałaby tym sobie reputację? Reputację jako kogo? Córki człowieka, który zginął z rąk ludzi Pinocheta? Żony angielskiego arystokraty? Chyba że głos, który Brunetti słyszał w słuchawce, należał do jakiegoś oszusta. No i dlaczego swoją reputację, a nie jej męża?

Brunetti siedział i trawił czas przy biurku, dopóki ktoś nie zapukał do drzwi i do gabinetu nie weszła signorina Elettra.

W dłoni trzymała teczkę.

– Mogę powiedzieć *buenos días*? – zapytał komisarz.

– Nie, jeżeli będzie pan to wymawiał w taki sposób – odparła z bardzo życzliwym uśmiechem, po czym, nie zważając na tę wymianę zdań, podeszła do biurka i położyła dokumenty przed Brunettim. – Oto pełne tłumaczenie e-maili, które zdaniem Xaviego miały związek z ich sporem.

Komisarz wziął teczkę i umieścił ją obok pozostałych dokumentów.

– Miała pani czas na ich lekturę?

– Nie, *signore*. Uznałam, że pewnie się panu śpieszy – odparła i wyszła z gabinetu.

Ta myśl zaskoczyła Brunettiego. Pośpiech? W jakim celu? Żeby szybko rozwiązać zagadkę śmierci Alberty Dodson i zdobyć nagrodę? Żeby dostarczyć gazetom codziennej porcji faktów oraz insynuacji?

W tych sprawach ważny był właśnie pozór pośpiechu: zniecierpliwienie odczuwali nieliczni. Personel hotelu zachował absolutną dyskrecję; ciało zamordowanej zostało usunięte przed świtem. Gdy na miejsce przybyli dziennikarze i fotoreporterzy, do sfotografowania nie było nic poza fasadą hotelu, tą samą, która widniała na jego stronie internetowej.

Brunetti napisał krótkie oświadczenie i wysłał je do prasy pocztą elektroniczną, informując, że rozpoczęło się śledztwo w sprawie zamordowania signory Alberty Dodson, a policja przesłuchuje wszystkich,

którzy znajdowali się w hotelu w momencie, gdy popełniono to przestępstwo. Śledztwo i przesłuchania obejmowały Rudy'ego Adlera, ale w oświadczeniu zabrakło o nim wzmianki, było ono jednak na tyle bliskie prawdy, że komisarz sporządził je bez skrupułów.

W obu gazetach doniesiono, że ofiara, z pochodzenia Chilijka, była żoną angielskiego arystokraty i przebywała w Wenecji jako turystka. Dziennikarze ubolewali również, że o pewnej porze weneckie ulice stają się niebezpieczne, nie zważając na fakt, że Alberta Dodson została zabita w hotelu.

Nieprzynaglany poczuciem, że należy się śpieszyć, Brunetti powrócił do włoskiego przekładu korespondencji Berty z Gonzalem. Rzeczywiście twierdziła, że jest jego najlepszą przyjaciółką i zna prawdę, chociaż owej prawdy nie wskazano ani nie opisano. Gonzalo odpisał, że w jej listach nie słyszy głosu przyjaciela, lecz pragnienie, by go zranić.

Ci „my”, którzy wiedzieli, że nie wolno mu zrobić tego, o czym dyskutowali, pozostali równie nieokreśleni w przekładzie. A jej uwaga, że „nie wolno Ci tego zrobić”, zachowała swą gramatyczną siłę w obu językach, ale i tak po przetłumaczeniu pozostała równie niejasna jak w oryginale.

Odpowiedź Gonzala, że przyjaciele nie wydają rozkazów, wydawała się Brunettiemu całkowicie uzasadniona, podobnie jak stwierdzenie, że z tego powodu odczuwa ból: Brunetti rozumiał hiszpański wystarczająco dobrze, żeby o tym wiedzieć.

Z coraz mniejszym skupieniem jeszcze raz czytał przetłumaczony tekst, ale nadal nie znajdował w nim wskazówki, dlaczego reputacja Alberty Dodson mogłaby zostać zszargana. Z pewnością nikt nie byłby na tyle szalony, żeby ją podejrzewać o romans z Gonzalem. Gonzalo był jednym z niewielu znanych komisarzowi mężczyzn, którzy nigdy nie udawali, że nie są homoseksualistami. Teraz taka otwartość zdarzała się często, ale hrabia mówił mu, że de Tejada nie robił z tego tajemnicy jeszcze jako nastolatek w szkole, ponad pół wieku temu. W ten sposób oszczędził sobie

lat udawania, zawarcia pozorowanego małżeństwa, wychowywania – może nawet płodzenia – dzieci.

Komisarz poświęcił sporo czasu na przeczytanie wszystkich pozostałych e-maili, napisanych po angielsku, a potem na ich ponowną lekturę. Signora Dodson jawiła się w nich jako osoba życzliwa, wielkoduszna, cierpliwa dla swoich przyjaciół i nieskora do wygłaszania krytycznych sądów, choć od czasu do czasu nie umiała się oprzeć pokusie komentowania ich zachowań z brytyjskim poczuciem humoru.

Przechodząc z łatwością na język ojczysty w korespondencji z Gonzalem, ujawniała identyczne cechy, przynajmniej dopóki nie dyskutowali o jego planach adopcyjnych. W ich wypadku elastyczność oraz ironia zniknęły. Berta stanowczo sprzeciwiła się temu pomysłowi, nie ze względu na jakąś konkretną osobę, ale w ogóle, uważając go za rzecz „nieuczciwą”, która „może się skończyć rozczarowaniem dla osoby, którą adoptujesz”.

Brunettiego kusiło, żeby podążyć tym tropem, ale wcale nie był pewien, co przez to rozumiała. Jedyne, co przyszło mu do głowy, był jakiś znany Bercie Dodson skandal finansowy, chociaż w przypadku de Tejedy byłyby to przypuszczalnie jakieś tarapaty, a nie prawdziwy skandal. W takiej sytuacji nadzieje adoptowanego syna obudzone na myśl o zostaniu spadkobiercą bogacza skończyłyby się odziedziczeniem długów i ruiny finansowej oraz mieszkania zastawionego w banku. Potem jednak przypomniał sobie, co Padovani mówił o bogactwie znajdującym się w domu Gonzala.

Brunetti wyprostował się w fotelu i splótł dłonie na wydrukach przeczytanych e-maili. Spojrzał w okno na drugim końcu gabinetu, gdzie zobaczył plamę pogodnego nieba i świeżą zielenią pnączy, które porastały mur na przeciwległym brzegu kanału. Zwrócił myśli ku swojej etyce zawodowej i prawu, ku niestosowności wykorzystywania własnej pozycji do tego, by w jakikolwiek sposób zabiegać o ujawnienie poufnych informacji. Przywodząca na myśl tajemnicę spowiedzi poufność

w relacjach adwokata i jego klienta obowiązywała także po śmierci klienta, prawa do prywatności nie przekreślał nawet grób.

W uznaniu swoich aktualnych zdolności poruszania się w cyberprzestrzeni komisarz oparł się pokusie sięgnięcia po książkę telefoniczną leżącą w szufladzie biurka i zwrócił się do komputera w poszukiwaniu strony internetowej *studio legale* Costantini e Costantini, prawników de Tejedy i, co ważniejsze, kancelarii prawnej, w której młodszym wspólnikiem był jego dawny kolega z Wydziału Prawa Uniwersytetu Ca' Foscari.

Kobiecie, która odebrała telefon, podał swój stopień oraz nazwisko i zapytał, czy mógłby zamienić słowo z *avvocato* Giovannim Costantinim. Po trzech sekundach milczenia powiedziała, że dowie się, czy mecenas ma czas. Brunetti odsunął fotel od biurka i skrzyżował nogi. Po chwili usłyszał trzask, a następnie słowa Nanniego.

– Ach, Guido, jak dawno nie słyszałem twojego głosu.

Komisarz się roześmiał i odparł:

– Powiedz to jasno, Nanni: od czasu, gdy po raz ostatni prosiłem cię o wyświadczenie przysługi.

– Owszem, można by to i tak określić – zgodził się w typowym dla prawników stylu Nanni. – Co takiego chciałbyś wiedzieć? Nie mogę długo rozmawiać. W sąsiednim gabinecie czeka na mnie szlochająca klientka.

Brunetti wiedział, że to nie stanowiłoby dla adwokata większej przeszkody, więc zapytał:

– Czy pewien niedawno zmarły klient twojego ojca zdołał pozostawić cały majątek pewnemu znacznie młodszemu mężczyźnie?

– Ach – szepnął Nanni i komisarz niemal słyszał, jak puszcza w ruch trybiki w swojej głowie, analizując rozmaite możliwości ujawnienia lub zatajenia tej informacji. – Po pierwsze, on był moim klientem. Ojciec przekazał mi jego sprawę.

– Możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Teraz, gdy biedak nie żyje, chyba już mogę. Przypuszczam jednak, że i tak bym ci powiedział. To bardzo proste: zanim mój ojciec został jego prawnikiem, przyjaźnili się i nie chciał zniszczyć tej przyjaźni, odmawiając spełnienia życzeń Gonzala. Tak więc to ja zostałem jego adwokatem.

– W takim razie powtórzę pytanie – rzekł Brunetti. – Czy twój klient pozostawił wszystko temu przystojniakowi z Piemontu?

– Czy to znaczy, że nie widziałeś go od śmierci Gonzala? – zapytał Nanni, sprawiając wrażenie rozbawionego.

– Widziałem go tylko raz – odparł komisarz. – Na tamtej kolacji.

– Po śmierci Gonzala zaczął się odznaczać wielką powagą w mowie i zachowaniu wobec mnie, czego należałoby oczekiwać od człowieka, który odziedziczył taki majątek – rzekł Nanni, po czym bardziej refleksyjnym tonem powiedział: – Gdyby był starożytnym Rzymianinem, przypuszczalnie umieściłby w atrium domu maskę pośmiertną.

– Czy próbowałeś przekonać Gonzala, żeby tego nie robił? – zapytał Brunetti, zachęcony gotowością adwokata do przekazania informacji o swoim kliencie.

Nanni ciężko westchnął.

– Dałem za wygraną, Guido. Próba spierania się z nim o to oznaczała spędzenie niezliczonych fakturowanych godzin na wysłuchiwanie z jego ust słów świadczących o tym, że on sam nie chce słuchać. Zawsze uważałem, że powinienem zrobić coś takiego tylko wtedy, gdy zaplanuję wyjazd na szczególnie kosztowne wakacje i będę potrzebował dodatkowego zastrzyku gotówki. – Pozwoliwszy Brunettiemu pojąć znaczenie swoich słów, skwitował: – Poza tym moja praca nie polega na próbach przekonywania klientów.

– Od czasu naszej ostatniej rozmowy stałeś się jeszcze szlachetniejszy – zauważył komisarz. – Czy kiedykolwiek zasugerowałeś... po prostu zasugerowałeś... żeby przemyślał swoją decyzję?

Mecenas Costantini westchnął melodramatycznie i mówił dalej:

– Mniej więcej miesiąc temu zjawił się tutaj i powiedział, co chce zrobić. Poprosił, żebym ujął to w żargon prawniczy i sporządził testament. Wyznaczył w nim Attilia Circettiego di Torrebardo, swojego syna, głównym spadkobiercą – Nanni zrobił pauzę, żeby Brunetti mógł to skomentować, ponieważ jednak ten milczał, prawnik ciągnął: – Dwa dni później przyszedł podpisać testament. Moje dwie sekretarki poświadczyły jego podpis, a on dał mi kopię orzeczenia sądu o przysposobieniu i poprosił, bym dołączył je do innych dokumentów. – Po chwili dodał: – Nie zapytałem o nazwisko prawnika, który uzyskał dla niego to orzeczenie.

Nagle Costantini przerwał i w słuchawce słyhać było jakiś głos dobiegający z kancelarii.

– Daj mi pięć minut. Zaraz tam przyjdę – powiedział ostro i powrócił do rozmowy z komisarzem. – Po czym upadł i wyzionął ducha, a *signor marchese* odziedziczył jego majątek.

– Czyli?

– Wiesz, że nie powinienem ci tego mówić, prawda?

– Oczywiście, że wiem. Czyż nie nauczyliśmy się szacunku dla prawa na tym samym uniwersytecie? Wiem również, że nie powinienem był mówić mi tego, co właśnie powiedziałeś.

– No dobra. Mieszkanie z całą zawartością, a także rachunek bankowy gdzieś tam, o którym nie usłyszałeś ode mnie.

– Z dużym wkładem?

– To nie moja sprawa – odparł szorstko adwokat.

– Przepraszam, Nanni – rzekł szczerze Brunetti, chociaż miał wystarczająco dobre pojęcie o rachunkach bankowych „gdzieś tam”, by wiedzieć, że raczej nie wspomina się o nich w testamencie, tylko w poufnym porozumieniu między prawnikiem i jego klientem. – Coś jeszcze? – zapytał.

– Kilkaset tysięcy euro w akcjach i obligacjach – odparł Costantini z nonszalanckim lekceważeniem, z którym tylko ludzie bogaci mogą wspominać o takich kwotach. – Oraz kawałek ziemi gdzieś w Chile, który

Gonzalo odziedziczył od kogoś, kto, jak się wyraził, był krewnym przyjaciela.

– To ty poinformowałeś o tym markiza?

– Tak. To był mój obowiązek.

– I jak przyjął tę wiadomość?

– Był oczywiście pogrążony w żalu – odparł adwokat tonem, który sugerował, że jeszcze nie skończył, co w istocie okazało się prawdą. – Tyle że tak jak aktorzy w kiepskich filmach lub amatorskich przedstawieniach teatralnych, którym się wydaje, że żal okazuje się, posypując głowę popiołem lub rwąc włosy z głowy. Albo lamentując. – Zawahał się, po czym dodał: – Jak mówiłem, Rzymianin.

– Rozumiem – rzekł komisarz. I rzeczywiście rozumiał. – Czy ktoś jeszcze został wymieniony w testamencie?

– Jego *maggiordomo*, czyli kamerdyner czy jak tam chcesz go nazywać. Bengalczyk, Jérôme, ale nie pytaj, jak zyskał takie miano. Oraz gospodyni Gonzala, Maria Grazia. Oboje byli przy nim, odkąd pamiętam. Jérôme szlochał, gdy powiedziałem, co mu zostawił Gonzalo; ona była tak wzruszona, że aż zaniemówiła. – Brunetti zauważył, że w przypadku tych dwojga Nanni zachował się jak profesjonalista i nie ujawnił żadnych informacji o zapisach na ich rzecz.

– Jak doszło do rozmowy z nimi? – zapytał komisarz, wiedząc, że autentyczności testamentu nie dało się urzędowo potwierdzić tak szybko.

– Gonzalo zawsze wyrażał się o nich tak ciepło, że pomyślałem, iż powinienem się z nimi zobaczyć. – Gdy Nanni kontynuował, zadrżał mu głos: – Niektórzy dzwoniли do mnie lub zatrzymywali na ulicy i pytali o Gonzala. Na ogół chcieli się dowiedzieć, kto otrzyma mieszkanie i resztę łupu, ale wstydzili się zapytać wprost. Współczułem przez to Gonzalowi, chociaż wcześniej nigdy mi się to nie zdarzało: zawsze sprawiał wrażenie, że świetnie się bawi.

Brunetti słuchał, wspominając pogrzeby, w których brał udział i na których rozmowa skupiała się na domysłach w sprawie testamentu i tego,

kto co dostanie, chociaż rozmówcy czynili to oczywiście bardzo wytwornie.

Ta myśl go otrzeźwiła i powiedział:

– Jakie to smutne: żyjesz wśród ludzi, których uważasz za przyjaciół, wydając dla nich przyjęcia, fundując lunche, organizując wystawne kolacje w swoim domu i zawsze pamiętając o urodzinach. A koniec końców obchodzi ich tylko to, kto odziedziczy twój majątek.

– Muszę kończyć – rzekł nagle Costantini. – To już wszystko?

– Tak. Dziękuję, Nanni.

– Czy to, co ci powiedziałem, w czymkolwiek pomogło?

– Obawiam się, że nie bardzo – przyznał Brunetti. – Jeśli już, to potwierdziło moje najgorsze przypuszczenia.

– To wszystko przynależy do prawniczej profesji – stwierdził adwokat i się rozłączył.

Rozdział 24

Dwa dni po morderstwie Rudy Adler otrzymał pozwolenie na powrót do Londynu. Po trzech dniach Rizzardi wydał ciało Alberty Dodson i wróciło ono do Yorkshire samolotem wysłanym przez Rodericka Dodsona, kuzyna jej męża. Jeden z dwóch funkcjonariuszy wyznaczonych do przeglądania wielogodzinnych nagrań z kamer hotelowego monitoringu zachorował na grypę, a dzień później dołączył do niego kolega. Nie można było znaleźć nikogo, kto mógłby ich zastąpić, więc Vianello i Pucetti sami podjęli się oglądania zapisów kamer przez kilka godzin dziennie. Pierwszego dnia obaj zwrócili uwagę na zaawansowany wiek osób przebywających tamtego wieczoru w hotelu; drugiego dnia Pucetti stwierdził, że czuje się bardziej jak opiekun w domu seniora niż jak policjant. Trzeciego dnia zawołał Vianella z drugiego końca sali, żeby przyszedł coś zobaczyć.

Gdy cofnął nagranie o kilka minut, obaj ujrzeli, jak siwowłosa kobieta wchodzi do hotelowego baru i się rozgląda. Obejrzawszy w ostatnich dniach tyle siwowłosych osób, żaden z nich nie miał pewności, dopóki Pucetti nie zatrzymał nagrania na dostatecznie długo, by obaj mogli spojrzeć na zdjęcia Berty Dodson. Kamera ukazała plan ogólny pomieszczenia. Stojąca na drugim końcu baru kobieta miała na sobie czarną suknię do połowy łydki przypominającą suknię zamordowanej. Głowę zwróciła w lewo, w stronę jednego z trzech boksów, jakby ktoś się do niej odezwał.

Jej twarz się odprężyła i kobieta podeszła do boksu. Wciąż zwrócona twarzą do kamery weszła głębiej, powiedziała coś do siedzącej naprzeciwko osoby, po czym przesunęła się jeszcze dalej i niemal całkowicie zniknęła z kadru.

Od czasu do czasu kolejni goście wchodzili do baru i przemieszczali się w kadrze. W pewnym momencie weszło czterech mężczyzn, potem dwóch

następnych. Ci pierwsi byli wysocy i krzepcy i mogli być synami pozostałych dwóch, łysych i mocno zgarbionych. Całą szóstką stłoczyli się przy barze, odwróceniem plecami do boks, w którym siedziała signora Dodson. Po jakimś czasie dwaj najwyżsi się objęli i pijąc coś z małych szklanek, stali się dwugłowym stworem o szerokich plecach. Nie ruszali się z miejsca; z lewej strony kadru ukazały się dwie dłonie i na kontuarze wylądowały dwie następne szklanki, potem jeszcze dwie i kolejne. Gdy tak pili, jeden z mężczyznomal nie stracił równowagi, jakby ktoś z boku go popchnął; później cała szóstka wyszła z baru, mijając zarówno boks, jak i kamerę.

Kiedy mur popijających mężczyzn zniknął z kadru, do baru weszły dwie pary. Mężczyźni wsunęli się do boks, w którym siedziała Berta Dodson, a kobiety usiadły naprzeciw nich.

– Ci mężczyźni zablokowali im wyjście – zauważył Vianello.

Pucetti sprawdził godzinę na ekranie i zanotował wyświetlony czas: 23.17, następnie wcisnął klawisz odtwarzania i dalej patrzył w monitor w nadziei, że powtórnie pojawi się na nim signora Dodson. Vianello wrócił za swoje biurko i dalej oglądał nagranie wideo ukazujące wejście do hotelu.

Dwie godziny później, gdy był już bliski myśli, że zaraz zacznie krzyczeć na widok tyłu osób z chodzikiemami, w perukach i ze sztucznymi szczękami, przez ułamek sekundy dostrzegł kobietę o siwych włosach zbliżającą się do schodów prowadzących na wyższe kondygnacje. Natychmiast zasłonili ją trzej schodzący mężczyźni. Zanim zniknęli z kadru, jej już nie było. Inspektor zatrzymał nagranie i przewinął z powrotem, żeby jeszcze raz obejrzeć ten fragment, lecz kobieta ponownie została zasłonięta przez sylwetki mężczyzn i nie miał pewności, czy była nią Alberta Dodson. U dołu ekranu widniał czas nagrania – 23.19.

Wiedząc, że Rudy Adler zadzwonił do recepcji około północy, Vianello oglądał dalej w nadziei, że znowu zobaczy tę kobietę lub towarzyszącą jej osobę. Gdy zegar u dołu ostatniego nagrania wskazywał godzinę 00.11, Vianello zatrzymał odtwarzanie, wyjaśnił swoje wątpliwości co do tego, co

zobaczył bądź nie na poprzednim nagraniu, i zaproponował, by młodszy policjant zaniósł te dwa filmy komisarzowi Brunettiemu.

Brunetti, któremu oszczędzono wielogodzinne oglądanie sędziwych gości, był oszołomiony, widząc żyjącą jeszcze Albertę. Rozpoznał ją natychmiast, jej uśmiech, krótkie siwe włosy. Widok jej dłoni przesuwającej się ku sercu, jakby na potwierdzenie, że to ona jest kobietą, na którą czeka osoba w boksie, całkowicie wytrącił go z równowagi; musiał odwrócić wzrok od ekranu.

– Dobrze ją pan znał, *commissario*? – zapytał Pucetti.

– Poznałem ją w dniu, w którym straciła życie. – Tylko na takie wyjaśnienie pozwolił sobie komisarz.

Spojrzał z powrotem w monitor i zobaczył, jak Berta siada w boksie i najpierw częściowo, a potem całkowicie znikła z kadru, zastąpiona na ekranie dwugłowym mężczyzną.

Gdy Pucetti zmienił nagranie, Brunetti na ułamek sekundy zobaczył kobietę, która mogła być Albertą Dodson, zanim zasłonili ją trzej idący po schodach mężczyźni. Znowu obejrzał tę scenę, i jeszcze raz, lecz chociaż bardzo pragnął powiedzieć, że to Berta, nie mógł tego zrobić.

– Nic więcej nie ma, panie komisarzu – rzekł Pucetti, gdy Brunetti oderwał wzrok od monitora.

Komisarz spojrział na godzinę wyświetloną u dołu ekranu.

– Jedenasta dziewiętnaście – przeczytał na głos. – Niespełna pół godziny później już nie żyła – stwierdził, po czym zwrócił się do Pucettiego: – Rozmawialiście z kelnerem lub barmanem?

– Nie, panie komisarzu. Obejrzeliśmy je przed chwilą i natychmiast przyniosłem je na górę.

– Chcę z nimi porozmawiać – rzekł Brunetti. W przyjęciu brało udział ponad czterdzieści osób, do tego dochodzi normalna liczba gości hotelowych, możliwe jednak, że ludzie przy barze zapamiętali tę kobietę. Choć niekoniecznie: Paola powiedziała mu kiedyś, że kobiety w pewnym

wieku – zwłaszcza gdy mają siwe włosy – stają się praktycznie niewidzialne. Cóż, przekona się, czy to prawda.

Gdyby istniał bóg dyskrecji, ów konsjerż mógłby pozować do jego posągu. Ani niski, ani wysoki, ani chudy, ani tęgi, miał prosty nos, osadzony dokładnie pomiędzy szarzielonymi oczami, i uśmiech, który sugerował poczucie humoru. Po włosku mówił z lekkim akcentem, świadczącym, że żaden z szerokiej gamy języków, którymi się posługiwał, nie jest dlań mową ojczystą. Jego profesjonalizm przejawiał się w tym, że natychmiast rozpoznał w Brunettim funkcjonariusza policji i wyszedł zza recepcyjnej lady, żeby go powitać i odprowadzić kilka kroków od miejsca, w którym stali goście hotelu.

– W czym mogę pomóc, *signore*? – zapytał, zdając sobie sprawę, jaki Brunetti ma stopień, ale go nie wymieniając.

W klapie jego marynarki błyszczały skrzyżowane klucze i komisarz z łatwością potrafił sobie wyobrazić, jak wyciera je co wieczór wilgotną irchową ściereczką.

– Nazywam się Brunetti. Commissario Brunetti. Przyszedłem w sprawie signory Dodson.

Brunetti wiedział, że zadaniem konsjerża jest zaspokajać potrzeby hotelowych gości, tak więc mężczyzna nachylił się do niego i mruknął:

– To straszne, straszne. – Po czym spojrzał na komisarza i dodał: – Wasi ludzie błyskawicznie uwinęli się ze swoją robotą w apartamencie, panie komisarzu.

– Mam nadzieję, że... – zaczął Brunetti, zamierzając powiedzieć „nie zostawili żadnych śladów”, ale w tych okolicznościach wydało mu się to zbyt złowrózbnne, więc zakończył słowami: – ...byli skrupulatni.

– Rzeczywiście, panie komisarzu. Nie było śladu po ich wizycie. Prawdziwi profesjonaliści. – Usta mężczyzny rozciągnęły się w grymasie, który przypominał uśmiech.

– Chciałbym porozmawiać z kelnerem i barmanem, którzy pracowali tamtej nocy – rzekł Brunetti.

– Oczywiście, panie komisarzu. Gdyby zechciał pan chwilę poczekać, sprawdzę grafiki dyżurów i podam panu ich nazwiska. – Wrócił za ladę i wyświetlił informacje na ekranie swojego komputera, odczekał kilka chwil i sięgnął pod ladę, by wyciągnąć z drukarki arkusz papieru. Gdy wrócił do Brunettiego, oznajmił: – Kelner jest teraz w pracy, jeszcze przez godzinę, a barman zjawi się o szóstej i zostanie w pracy do drugiej. – Widząc zaskoczoną minę komisarza, wyjaśnił: – Posprzątanie baru zajmuje mu trochę czasu, a kierownik nocnej zmiany rozlicza kasę dopiero o pierwszej trzydzieści.

– Długa noc – zauważył Brunetti.

– Dla Sandra jest jeszcze dłuższa: mieszka w Quarto d’Altino. – Komisarz zdziwił się, słysząc, że konsjerż wyraża współczucie z powodu problemów kolegi z dojazdem do pracy, i uświadomił sobie, że byłby zaskoczony jego współczuciem w jakiegokolwiek sprawie. – Zaprowadzę pana do kelnera – zaproponował mężczyzna, opierając się pokusie wykonania pełnego szacunku pólukłonu, który niewątpliwie składał wszystkim gościom. Ruszył w kierunku tej części hotelu, która wychodziła na Canal Grande. Było to długie i wąskie pomieszczenie z drewnianymi stolikami uginającymi się niemal pod ciężarem wielkich bukietów. W hotelach takich jak ten chyba szczególnie upodobano sobie mieczyki; Brunetti za nimi nie przepadał, uważał, że są zbyt ozdobne i za długie.

Przy barze stał kelner w białej marynarce, rówieśnik komisarza. Czekał, aż barman ustawi na małej tacy dwa koktajle. Gdy tylko to zrobił, odwrócił się i zaniósł je parze młodych ludzi siedzących przy małym stoliku z widokiem na budynek, który z pewnością był najpiękniejszym ratuszem w Europie. Byli tak bardzo przejęci sobą nawzajem, że nie zauważyli przybycia kelnera i musieli się odchylić i rozłączyć splecione dłonie, żeby zrobić miejsce na drinki.

W drodze z powrotem do baru kelner się uśmiechał i nie raczył spoważnieć na widok konsjerża.

– Wszyscy kiedyś tak się zachowywaliśmy – powiedział, podchodząc do niego. – Dzięki Bogu szczęście jest zaraźliwe – podsumował i spojrzał na komisarza, który się uśmiechnął na te słowa.

– Gino – zaczął konsjerż – oto commissario Brunetti, który chciałby ci zadać kilka pytań. – To powiedziawszy, uklonił się Brunettiemu, skinął głową kelnerowi i ruszył z powrotem do recepcji.

Brunetti widział już kiedyś tego człowieka, przypuszczalnie od lat mijali się na ulicy. Gino był wysoki, krótko ostrzyżone resztki włosów tworzyły na jego głowie półtonsurę. Miał typowe dla kelnerów, wiecznie sprawdzających, czy ktoś oczekuje obsługi, czujne oczy.

– Możemy zostać tutaj, panie komisarzu? – zapytał i odwrócił się, by obrzucić wzrokiem nieliczne zajęte stoliki.

– Oczywiście – odparł Brunetti. – Miał pan nocny dyżur, kiedy została zabita ta kobieta, zgadza się?

– Tak, *commissario*. Siedziała w jednym z boksów.

– To dziwne w przypadku samotnej kobiety – zauważył komisarz. – Zazwyczaj siadają przy stoliku, prawda?

– Zgadza się, panie komisarzu. Ale ona nie była sama.

– Ach, nie wiedziałem. Towarzyszył jej mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna, panie komisarzu – odparł kelner i odwrócił się, by zerknąć na stoliki. Ponieważ nikt go nie przywołał, skupił uwagę z powrotem na Brunettim. – To był mężczyzna. Sądzę, że znacznie młodszy od niej. – Zastanowił się nad tym, co powiedział, wzruszył ramionami i dorzucił: – Tamtej nocy młodych osób w barze było niewiele, więc może wyglądał młodo, bo wszyscy inni wyglądali na siedemdziesięciolatków.

– Mógłby go pan opisać?

Kelner znowu się uśmiechnął.

– Mogę opisać jego lewy policzek, panie komisarzu. Spoglądał w kartę dań, miał spuszczoną głowę, wspartą na lewej dłoni, karta leżała na stoliku – wyjaśnił, po czym widząc rozczarowanie na twarzy Brunettiego, dodał: – Miał ciemne włosy.

– Pamięta pan coś jeszcze?

– Niezupełnie, panie komisarzu. Było dość oczywiste, że nie chciał zwracać na siebie uwagi, kiedy więc zaniósłem drinki do boksu, nie zaprzętałem sobie głowy patrzeniem na niego.

– Czy miał pan wrażenie, że dobrze się znali?

– Nie, panie komisarzu. Nie słyszałem, by się do siebie odzywali, a drinki zamówiła ta pani. To pamiętam.

– Ale czy zachowywali się w przyjazny sposób?

– Naprawdę nie potrafię powiedzieć, panie komisarzu. Ze względu na przyjęcie bar był tamtej nocy pełny. Cały wieczór byłem zajęty, zwłaszcza po kolacji. – Kelner znowu powódł wzrokiem po sali, ale nadal nikt nie podnosił ręki ani nie próbował zwrócić jego uwagi.

– Rozumiem – rzekł Brunetti. Postanowił nie wspominać, że widział nagrania wideo: być może pracownicy nie wiedzieli, że są filmowani. Jeżeli nie wiedzieli, lepiej było nie poruszać tego tematu. – Wie pan, czy wyszli razem?

– Och, nie mam pojęcia, *commissario*. Przy stoliku pod oknem siedzieli Anglicy. Oni strasznie piją. Tamtej nocy podchodziłem do ich stolika pewnie z sześć razy. Może więcej – odparł kelner, po czym przypomniawszy sobie pytanie Brunettiego, oznajmił: – Kiedy wróciłem do boksu, na ich miejscu siedzieli już nowi goście; dwie młode pary.

– Jak tamci, ten mężczyzna i ta kobieta, zapłacili? – zapytał komisarz, mając nadzieję, że płatności dokonano kartą kredytową i to mężczyzna płacił.

– Zostawili pieniądze, oraz napiwek, na stoliku. Ci młodzi ludzie podsunęli mi je, gdy podszedłem przyjąć od nich zamówienie.

– Widział ich pan ponownie?

– Nie, panie komisarzu.

Nadeszła teraz pora, by Brunetti zadał pytanie, na które kelner mógł nie mieć ochoty odpowiadać. Komisarz był jednak ciekaw, więc zaczął:

– Gdy pan się dowiedział, że tę kobietę zamordowano... – przerwał i zobaczył, że Gino omiata spojrzeniem ludzi w barze z miną zagubionego na plaży dziecka szukającego kogoś, kto pomoże mu znaleźć mamę. Ciągnął: – Dlaczego się pan z nami nie skontaktował?

Minęło kilka sekund. Kelner spuścił głowę i przyglądał się czubkom swoich butów. Podniósł wzrok i zapytał:

– Prawo tego nie nakazuje, prawda?

– Nie ma przepisu, który mówiłby, że jest pan do tego zobowiązany.

– Nikt nie chodzi na policję – rzekł kelner z rezygnacją, wyraźnie nie chcąc urazić Brunettiego. – Potem są z tego same kłopoty.

– Naprawdę pan tak uważa?

– *Sí, signore* – odparł kelner, po czym zobaczywszy, że ktoś podnosi rękę, żeby go przywołać, z nieskrywaną ulgą zapytał: – To wszystko, panie komisarzu?

– Owszem – odparł Brunetti. – Dziękuję za to, co mi pan powiedział.

Kelner skinął głową i się oddalił. Komisarz postanowił iść do domu.

Później, już po kolacji, wrócił do hotelu, żeby porozmawiać z barmanem, szybko gestykulującym mężczyzną, który najwyraźniej został uprzedzony, że policja chce go przesłuchać. Uśmiechnął się do Brunettiego i zaproponował drinka. Chociaż komisarz odmówił, barman zapytał, w czym może pomóc.

Owszem, pracował w dniu urodzinowego przyjęcia, ale nie zwracał uwagi na ludzi w boksach, tylko przyrządzał dla nich drinki. Kiedy Brunetti go o to zapytał, barman odparł, że aby zrozumieć, o co mu chodzi, wystarczy się odwrócić i spojrzeć w stronę boksów. Uczyniwszy to, komisarz spostrzegł, że boksy umieszczono na ukos względem baru, aby stworzyć przestrzeń dla stojących przy kontuarze. Wskutek tego barman widział jedynie pierwszy boks.

– Gdyby pan chciał spojrzeć stąd, panie komisarzu... – Brunetti uśmiechnął się i pokręcił głową, żeby pokazać, że to niepotrzebne.

Z miejsca, w którym stał, widział, że dojrzenie czegoś w boksach zza baru byłoby niemożliwe, podziękował więc mężczyźnie i wyszedł. Oboje wyszli przed 23.17. Dwie minuty później Berta – chyba ona – ruszyła po hotelowych schodach na spotkanie ze śmiercią.

W drodze do domu Brunetti wstąpił do baru i napił się grappy, która paliła mu gardło. Nie przejmował się tym.

Rozdział 25

Nazajutrz rano, gdy tylko dotarł do komendy, porzucił wszelką myśl o dyskrecji oraz należywym przestrzeganiu policyjnych procedur i uległ pokusie ciekawości. Nie zadając sobie trudu rozważenia przyczyn i możliwych następstw swojego zachowania, zadzwonił do kancelarii Costantiniego, znowu się przedstawił i zapytał, czy może zająć chwilę panu mecenasowi. Tym razem sekretarka od razu przełączyła rozmowę, nie poprosiwszy, by zaczekał.

Nanni przekazał mu numer telefonu komórkowego marchese di Torrebardo – uważając, by właśnie tak go tytułować – i wyznał, że bardzo go ciekawi, dlaczego Brunetti chce rozmawiać z markizem.

– Wszystko w swoim czasie, Nanni – odparł komisarz. – Chyba sam tego jeszcze nie wiem.

Jego przyjaciel się roześmiał i zakończył rozmowę.

Używając telefonu biurowego, a nie swojej komórki, Brunetti zadzwonił pod podany przez adwokata numer i czekał. Po ośmiu dzwonek w słuchawce rozległ się męski głos:

– Torrebardo.

– Mówi komisarz Guido Brunetti. Dzwonię z komendy. – Nie doczekawszy się spodziewanej reakcji swojego rozmówcy, wciąż pomijając jego nazwisko i tytuł, ciągnął: – Powierzono mi prowadzenie śledztwa w sprawie śmierci Alberty Dodson.

Ciągły brak reakcji ze strony markiza miał dla Brunettiego szczególne znaczenie.

– Próbuje się skontaktować ze wszystkimi, którzy mogli ją znać – rzekł ze spokojną życzliwością, jakby jego stwierdzenia stanowiły jedynie część trwającego przyjaznego dialogu.

W końcu padło pytanie:

– Dlaczego uważa pan, że ją znałem?

– Dlatego, że jest pan synem jej najlepszego przyjaciela – wyjaśnił komisarz, po czym postanowił zaryzykować, przypuszczając, że po śmierci Gonzala Torrebardo mógł rozmawiać z Bertą. – A także dlatego, że jest pan jedną z osób, które niedawno z nią rozmawiały. – Rzucił tę uwagę takim tonem, jakby odczytywał nazwisko mężczyzny z wykazu połączeń zarejestrowanych w telefonie signory Dodson.

Na chwilę zapadła cisza, po czym mężczyzna rzekł:

– Jestem pewien, że wiele osób rozmawiało z nią w ostatnim czasie. – Był to lekki i klarowny głos człowieka kulturalnego, który mówiąc, wyraźnie rozdzielał sylaby. Głos grzeczny, lecz nie przyjazny, jakby ten drugi markiz rezerwował dla przyjaciół, z pewnością zaś nie marnował go na rozmowy z funkcjonariuszami policji. Lub urzędnikami.

Lata doświadczenia i dziesiątki – może setki – rozmów z ludźmi nawet w niewielkim stopniu zamieszany w jakieś przestępstwo wywołały gwałtowny odzew w pamięci Brunettiego. Dlaczego oni zawsze zaczęli tak samo – od próby uchylenia się od możliwych podejrzeń, że mieli związek – choćby minimalny – z tym, co się stało? Niewinni, winni, to w ogóle nie miało znaczenia: większość osób reagowała w identyczny sposób, niczym pacjent pytany przez swojego lekarza, czy je dużo słodczy.

– Tak, tak, oczywiście, ale postanowiliśmy zadzwonić do wszystkich z listy, żeby sprawdzić, czy pamiętają cokolwiek, co mogłoby się wiązać z tym, co się stało z signorą Dodson – stwierdził uprzejmie komisarz.

– Wiazać się? – zapytał natychmiast Torrebardo, jakby napędzała go instynktowna chęć skarcenia sługi, którego przyłapał na noszeniu jednej z jego koszul.

– To znaczy mieć coś wspólnego z czymś innym – odparł Brunetti obojętnie, mając nadzieję sprowokować markiza swoim brakiem zdolności reagowania zażenowaniem na sarkazm rozmówcy.

– Aha – powiedział szeptem Torrebarido, a w uszach Brunettiego zabrzmiało to niczym odgłos wydawany przez silnik zaburtowy, gdy nagle wrzuci się wsteczny bieg. – Oczywiście. Pewnie źle usłyszałem.

– Drobiazg. Zakłócenia na linii – rzekł Brunetti przyjaznym tonem i postanowił zaatakować, zanim przeciwnik podniesie się z desek. – Zastanawiam się, czy miałby pan czas spotkać się ze mną, może jeszcze dzisiaj?

Komisarz wsłuchiwał się w ciszę w słuchawce, powstrzymując odruchową chęć jej przerwania. Zamiast to zrobić, siedział w milczeniu, odsunąwszy słuchawkę od ust, żeby Torrebarido nie słyszał, jak oddycha.

– Jaka pora by panu odpowiadała, *commissario*? – Markiz nie mógłby lepiej zaznaczyć swojej gotowości do współpracy.

– Raczej po obiedzie – odparł beztrąsko Brunetti. – Rano muszę się zobaczyć z kilkoma osobami. Może o trzeciej?

– Oczywiście, *commissario*. Przypomni mi pan swoje nazwisko?

– Brunetti.

– A zatem o trzeciej.

Rozłączywszy się, Brunetti przypomniał sobie, co często mówił ojciec jego matki: „Na miód złapiesz więcej much niż na ocet”. Pomyślał, że dziadek wiedział co nieco o życiu. Choć nie znał łaciny, wiedział o *captatio benevolentiae*. Był rybakim, ale był też człowiekiem, do którego ludzie w Castello przychodzili, gdy otrzymali jakieś urzędowe pismo. Nie dość, że potrafił je przeczytać, to jeszcze czasem pojmował jego treść.

Torrebarido zrozumiał znaczenie tej sztuczki, aczkolwiek potrzebował trochę czasu, by zmienić styl i w rozmowie z Brunettim posłużyć się słodyczą. Zbyt dużo, pomyślał komisarz. Pierwsza wzmianka o signorze Dodson sprawiła, że markiz się zaperzył, ale zaczął spuszczać z tonu pod wpływem sugestii, że policja wie o ich rozmowie. Nie potwierdził tego, ale Brunetti kontynuował rozmowę tak, jakby to uczynił.

Gdy patrzył w okno i rozmyślał o markizie, którego teraz musiał uważać za syna Gonzala, przypomniał sobie o synu Rulla i własnej niemożności zaradzenia kłopotom Patty z sąsiadami. Czy ten chłopak był tylko samolubny, uparty i źle wychowany, czy też dolegało mu coś, co z wiekiem się nie zmieni? Z uwagi na dobro dziecka i jego rodziców wołał, żeby chodziło o tę pierwszą możliwość. Pragnienie Patty, by w domu panował spokój, bladło w porównaniu z tą drugą ewentualnością.

Zszedł do sekretariatu zastępcy komendanta i zastał signorinę Elettrę przy oknie, wpatrzoną w rosnące na drugim brzegu kanału glicynie. Nie przycinano ich od niepamiętnych czasów i teraz zwisały z muru, dotykając niemalże powierzchni wody w kanale.

Gdy Elettra spostrzegła, kto przyszedł, zapytała:

– Czyż rośliny nie powinny rosnać w górę?

– Chyba tak. Fototropizm, chyba tak się to nazywa – odparł Brunetti. – Szukają światła.

– Czemu więc te rosna w dół? – zapytała, wskazując oskarżycielsko palcem roślinę na murze.

– Nie mam pojęcia. Może to po prostu zachowanie perwersyjne – stwierdził komisarz, po czym, żeby jej przypomnieć bez potrzeby wypytywania, dodał: – Jak w przypadku syna ludzi, którzy mieszkają w budynku Patty, piętro niżej.

– Słucham? – powiedziała, wyraźnie zdezorientowana.

– Chodzi o tego chłopca, który uderzył żonę komendanta Patty – odpowiedział Brunetti.

– Ach, oczywiście – powiedziała zaskoczona, nie próbując tego ukryć. – Zapomniałam – przyznała i spłonęła rumieńcem. – Zapomniałam panu powiedzieć – wyjaśniła, po czym, chyba pragnąc zachować twarz, dodała: – Ale poinformowałam vice-questore Patte.

– O czym?

– O Rullu. Ojcu chłopca.

– Proszę mi powiedzieć.

– To dość częsty przypadek, *commissario*. Rullo to człowiek agresywny: jego żona dwa razy w ostatnich dwóch latach przychodziła rozmawiać na jego temat do karabinierów. – To, jak wiedział Brunetti, znaczyło, że sprawy przybierały tak zły obrót, że w końcu zwracała się do władz, choć nie do lokalnej policji. Jeżeli była wenecką, przypuszczalnie nie chciała szukać pomocy w miejscu, gdzie ludzie mogli znać ją lub jej rodzinę. – Nigdy nie złożyła formalnej skargi, ale w zeszłym tygodniu wylądowała w szpitalu ze złamaną kością policzkową. – Powiedziawszy to, Elettra zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, by mówić dalej, komisarz skinął głową, zdziwiony, że nie sporządzono w tej sprawie raportu, a w każdym razie żaden raport nie trafił do niego.

– Kiedy była w szpitalu, zadzwoniła do Aurelia Fontany – ciągnęła sekretarka Patty, wymieniwszy nazwisko prawnika z Padwy, który w całych północno-wschodnich Włoszech zasłynął jako Mecenas Wysokie Odszkodowanie.

– Ojej – mruknął Brunetti. Wiedział, że wynajęcie adwokata oznaczało przekroczenie Rubikonu na drodze do rozwodu. Zatrudnienie samego Fontany oznaczało przekroczenie rozwodowej Missisipi. – Proszę mi nie mówić, że zamierza go zatrudnić za pieniądze męża.

– Nie. To córka Barata – wyjaśniła signorina Elettra, wspomniawszy nazwisko właściciela jednej z największych sieci supermarketów w Veneto.

Komisarz rozłożył dłonie i zaczął pocierać kciukami o palce wskazujące.

– O co chodzi, panie komisarzu? – zapytała Elettra.

– Czuję zapach pieniędzy – odparł Brunetti. – Spadają z nieba, ściekają z sufitu, sączą się ze ścian. – Nadal pocierając palcami uniesionych rąk, obrócił się wokół własnej osi. – I wszystkie trafiają do kieszeni Aurelia Fontany.

Signorina Elettra przyjęła jego obrażający majestat gest z uśmiechem. Na razie, jak poinformowała komisarza, Fontana uzyskał sądowy nakaz opuszczenia przez Rulla domu, który formalnie był własnością jego żony.

Rullo stracił również stanowisko dyrektora jednego z supermarketów swojego teścia. Najwyraźniej nie docenił gniewu żony – a także jej ojca.

Sekretarka Patty zadzwoniła do przyjaciela, który pracował w kancelarii Fontany, i dowiedziała się, że planowany jest już cichy rozwód, równie dyskretny jak dyskretnie bywały kiedyś śluby ciężarnych kobiet, a signor Rullo otrzyma kolejny zakaz, tym razem dotyczący kontaktów z żoną i zbliżania się do niej, syna oraz ich domu na odległość mniejszą niż dwieście pięćdziesiąt metrów. W zamian nie zostaną wniesione przeciwko niemu oskarżenia o napaść. On zaś nie będzie się sprzeciwiał dalszemu postępowaniu rozwodowemu. Dyskutowana jest wysokość jego miesięcznych alimentów na rzecz żony.

– A chłopiec? – zapytał komisarz.

– Na dwoje babka wróżyła. Może się uspokoi, ponieważ ojca już tam nie ma, albo zacznie się zachowywać jeszcze gorzej z tego samego powodu. – Elettra zawahała się, po czym dodała: – W jego szkolnych aktach nie ma niczego, co świadczyłoby, że stwarza problemy. Prawdę mówiąc, dwoje z jego nauczycieli odnotowało, że jest bardzo miłym chłopcem.

Brunetti nie zawracał sobie głowy komentarzami na temat źródła dostępu do tych informacji. Do akt Ministerstwa Edukacji można było prawdopodobnie dotrzeć za pomocą pilnika do paznokci lub spinacza do papieru bądź ich cyfrowych odpowiedników.

– Dziękuję za informacje, *signorina* – powiedział i zapytał: – A co z aktami dotyczącymi signory Dodson i signora Rodrígueza de Tejedy?

Zobaczył, jak Elettra zaciska usta.

– W ponownym liście próbowałam zachęcić ludzi w Chile, by wysłali mi informacje na jej temat, ale oni twierdzą, że z uwagi na ówczesny zamęt polityczny...

Brunetti pokiwał głową. Więc tak się to obecnie nazywa.

Signorina Elettra mówiła dalej:

– Udzielili mi takiego wyjaśnienia po raz trzeci, panie komisarzu. – Sekretarka Patty słabo skrywała irytację. – Teraz spróbuję u Hiszpanów. Do

Hiszpanii przybyła prosto z Chile. Przez wiele lat pracowała jako tłumaczka, potem jednak, po poślubieniu tego Anglika, właściwie wypadła z ich systemu. – Na samo wspomnienie tego małżeństwa zmienił się ton jej głosu. – To dość niezwykła historia: Dodsona poznała około dwudziestu lat temu, w Kairze. Był urzędnikiem tamtejszej ambasady Wielkiej Brytanii, a ona turystką, która zatrzymała się w hotelu, gdzie jadł kolację. Sześć miesięcy później pobrali się w kościele koptyjskim w Kairze. – Elettra podniosła wzrok i się uśmiechnęła, jakby wspominała o filmowym happy endzie. – W Kairze. Po prostu została tam z nim przez następne cztery miesiące, dopóki nie przeszedł na emeryturę, i wtedy wrócili do Anglii.

– O czymś takim czyta się w powieściach – zauważył komisarz.

– Obawiam się, że tylko w tych kiepskich.

Brunetti uznał, że najlepiej będzie pozostawić tę uwagę bez komentarza.

– Wydrukuję informacje z Anglii i zostawię u pana na biurku. Jest tam sporo rzeczy z kronik towarzyskich: zdjęcia pani Dodson ze sławnymi ludźmi oraz dość dużo jej zdjęć z pańskim przyjacielem, Gonzalem. Był przystojnym mężczyzną, prawda?

– Ucieszyłby się, słysząc pani słowa – odparł Brunetti, uśmiechając się na wspomnienie tego, jak dumny był zawsze Gonzalo ze swojego wyglądu. – Proszę mi dać znać, jeżeli Hiszpanie w ogóle odpowiedzą – dodał i uznał, że już pora iść do domu na obiad.

Przed trzecią był z powrotem w swoim gabinecie i czytał materiały na temat Alberty Dodson, które signorina Elettra zostawiła w teczce na jego biurku.

Z pełniejszym opisem zapoznał się z pewnym zainteresowaniem, Berta wiodła bowiem życie bardziej urozmaicone i czynne niż on. Prawdę powiedziawszy, bardziej aktywne od życia większości ludzi. Opuściła Chile rok po przewrocie, który wyniósł do władzy emanującego spokojem potwora, Augusta Pinocheta: w raporcie nie próbowano powiązać tych wydarzeń. Wyjechała do Hiszpanii i bardzo szybko uzyskała obywatelstwo, pracując jako tłumaczka z języka francuskiego i angielskiego na hiszpański.

Bajkowa opowieść rozpoczęła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy poznała w Kairze pewnego Anglika i się w nim zakochała. Potem, jak się wydawało, żyła szczęśliwie aż do chwili, gdy została zamordowana w hotelowym pokoju w Wenecji.

Podobnie jak wiele bogatych angielskich dam, zajmowała się działalnością dobroczynną, chociaż jej dobroczynność wydawała się bardziej autentyczna niż działania większości z nich. Utworzyła i najwyraźniej wspierała w Chile trzy schroniska dla maltretowanych kobiet i dzieci. Jeszcze trzy lata wcześniej często latała do Santiago, by przez wiele tygodni pracować w tych schroniskach. Bywała także na balach kostiumowych, najwyraźniej też, do czasu gdy było to dozwolone, polowała z psami i często fotografowała się w towarzystwie utytułowanych osób, takich jak jej mąż.

Dodson miał dwójkę dzieci ze związku z pierwszą żoną, która gdy poznał Albertę, nie żyła od dziesięciu lat. Z Albertą nie miał dzieci, często jednak fotografowano ją z jego synami w pozach, które świadczyły o poufałości i wzajemnej sympatii.

Chociaż wyszła za angielskiego arystokratę, nigdy nie została obywatelką Wielkiej Brytanii. Kiedy zapytano ją kiedyś podczas wywiadu, dlaczego postanowiła zachować hiszpańskie obywatelstwo, odpowiedziała: „Ten paszport i osoba, która pomogła mi go zdobyć, ocaliły mi życie. Nigdy nie mogłabym się wyrzec żadnego z nich”.

Gdy Brunetti czytał te słowa, rozległo się pukanie do drzwi i do jego gabinetu wszedł Alvisse. Zasalutował i oznajmił:

– Przyszedł marchese di Torrebarbo, *dottore*. – Policjant stanął równolegle do otwartych drzwi i dalej trzymał dłoń przy skroni, gdy markiz wchodził do pokoju. Opierając się pokusie pójścia za nim, żeby podsunąć mu fotel, Alvisse ograniczył się do strzelenia obcasami. Następnie wykonał szybki zwrot w prawo i opuścił gabinet, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Żaden z mężczyzn nie skomentował zachowania Alvissego – Brunetti dlatego, że uważał je za żenujące, a markiz chyba tylko dlatego, że uznał je

za właściwe.

Młodszy mężczyzna ruszył przez gabinet. Komisarz wstał i wyszedł z biurka. Zauważył, że Torrebardo sprawia wrażenie niższego niż tamtego wieczoru. Był niższy od niego niemal o głowę, a wielkość pozostałych części jego ciała była proporcjonalna do wzrostu. Wyciągnął rękę na powitanie. Brunetti ujął ją, zaskoczony siłą uścisku markiza.

– Dziękuję, że mnie pan odwiedził – powiedział i uwolnił swoją dłoń, nie próbując konkurować w tym pokazie siły. Wrócił za biurko i z powrotem usiadł w fotelu.

Machnięciem ręki wskazał markizowi miejsce naprzeciw siebie i bacznie mu się przyjrzał: ciemne oczy i włosy, drobny nos, gładka, zdrowa cera. Markiz miał symetryczną męską twarz, jakie często widuje się w telewizyjnych reklamach płatków śniadaniowych, twarz, która wzbudzała zaufanie.

– To mój obowiązek, nieprawdaż? – zapytał Torrebardo takim samym głosem, jakim posługiwał się w rozmowie przez telefon.

– Gdyby więcej obywateli tak myślało, proszę pana, miałbym znacznie łatwiejszą pracę – odparł komisarz jak najzyczliwiej, po czym oświadczył, jakby ta myśl przyszła mu właśnie do głowy: – Skoro mowa o obowiązku, panie markizie, to ja, jako funkcjonariusz, któremu przydzielono tę sprawę, mam obowiązek rejestrować wszelkie otrzymane informacje bez względu na to, jak nieistotne mogą się okazać. – Spozrzegł i zignorował fakt, że wyostrzył tym uwagę swojego rozmówcy. – Informuję więc, że jestem zobowiązany nagrywać każdą rozmowę, jaką mogę prowadzić na temat śmierci signory Dubson – wyrecytował, celowo przekręcając nazwisko Berty.

Torrebardo skinął głową, ale nic nie powiedział, więc Brunetti sięgnął do ścianki biurka i włączył zainstalowane pod blatem mikrofony.

– Jeśli byłby pan tak uprzejmy... jak to się stało, że ją pan poznał? – zapytał komisarz, po czym, jakby sam czuł się nieswojo z myślą, że mówi do mikrofonu, wyraźnie wymówił nazwisko: – Albertę Du... Dodson.

Markiz podciągnął lewą nogawkę spodni, żeby wygładzić jakąś zmarszczkę.

– Była od zawsze najlepszą przyjaciółką mojego ojca. Często o niej mówił.

– Wie pan, gdzie się poznali?

– W Chile. Tak mi powiedział. Mój ojciec pracował tam przez kilka lat, do przewrotu Pinocheta.

– Miał tam ziemię, prawda? – zapytał Brunetti, unikając słowa „farmer” i kojarzącej się z nim mozolnej pracy.

– Tak. Ranczo z bydłem. Ale postanowił je sprzedać i wyjechać – odparł markiz. – Przypuszczam, że wyczuł, co się święci.

– Tak. To straszne, naprawdę straszne – stwierdził komisarz głosem pełnym powagi i zarazem niejednoznacznym.

Gdy nic więcej nie powiedział, Torrebardo ciągnął:

– Rzadko wspominał tamte czasy. Mówił, że działy się okropne rzeczy i nigdy nie był pewien swojego bezpieczeństwa. – Słuchając, jak mężczyzna mówi o Gonzalu, Brunetti zastanawiał się, czy sam będzie w stanie nazywać swojego przyjaciela „ojcem” tego człowieka, czy też nadal będzie unikał słowa „ojciec”.

– Czy dlatego właśnie wyjechał?

Torrebardo wyraźnie się odprężył. Jedną rękę położył na oparciu fotela, przestał też zaciskać usta i zagryzać dolną wargę.

– Kiedyś powiedział, że musiał wyjechać, żeby kogoś ocalić, ale nigdy mi tego nie wyjaśnił – odparł markiz, po czym dodał: – Wyjazd z pewnością był wówczas słuszną decyzją. – I znowu padło to słowo, „ocalić”. Czyż Berta nie mówiła, że Gonzalo ocalił jej życie? Na pokładzie motorówki, gdy wpływali do miasta. Wtedy Rudy wtrącił się do rozmowy, a ona zmieniła temat, nie wytłumaczywszy, w czym rzecz.

– Więc to tam się poznali... – rzekł Brunetti, mając nadzieję, że zachęci Torrebarda do wyjaśnień.

– Jak już wspomniałem, niewiele mówił o tamtych czasach. Ostatecznie to się działo dawno temu.

Komisarz skinął głową, jakby zrozumiał potrzebę porzucenia przeszłości i skoncentrowania się na teraźniejszości.

– Poznał ją pan?

Markiz najwyraźniej spodziewał się tego pytania, bo odpowiedział natychmiast.

– Poznaliśmy się w Londynie, mniej więcej dwa lata temu. Wybrałem się tam z ojcem na weekend i umówiliśmy się z nią na herbatę. – Zaraz mi wyjawi, gdzie ją wypili, pomyślał Brunetti, i chyba ta myśl sprawiła, że Torrebardo wypowiedział słowa, które miał na końcu języka: – W Claridge’s.

– Aha – rzucił tylko komisarz, jakby nie śmiał powtórzyć nazwy hotelu.
– Słyszałem o nim.

– Bardzo przyjemne miejsce – przyznał markiz.

– Skoro już się znaliście, czy może skontaktowała się z panem, by powiedzieć, że przylatuje do Wenecji? – zapytał Brunetti.

– Nie – odpowiedział natychmiast Torrebardo, po czym sprawiając wrażenie zaskoczonego własnymi słowami, zerknął na komisarza i jakby po tym zaprzeczeniu był tylko przecinek, doprecyzował: – To znaczy nie uprzedziła mnie o swoim przyjeździe. Zadzwoiła, gdy była już na miejscu.

– Kiedy to się stało? – spytał życzliwym tonem Brunetti.

– Po południu. Miałem wrażenie, że telefonowała z taksówki.

Brunetti pomyślał, że taki zabieg, stosowany przez powieściopisarzy, Paola nazywała „stwarzaniem pozorów wiarygodności”: drobny szczegół, niby pozbawiony znaczenia, umieszczony w opowieści, żeby uczynić ją bliższą prawdy.

– Ma pan na myśli taksówkę z lotniska? – uściślił komisarz.

– Tak, pewnie tak.

– Co powiedziała?

– Że przyleciała do Wenecji i pragnie mnie o tym poinformować, chociaż nie ma czasu na spotkanie. Nie chciała, żebym o jej pobycie tutaj dowiedział się od kogoś innego.

– To było uprzejme z jej strony – powiedział cichym głosem Brunetti.

– Tak – przyznał Torrebarido z łagodnym uśmiechem. – Była bardzo uprzejmą osobą.

– Mówiła coś jeszcze?

– Oznajmiła, że planuje uroczystości żałobne i zadzwoni do mnie, gdy już będzie pewna kiedy i gdzie, żebym mógł przyjść.

Przerwał, by dać komisarzowi szansę na zadanie kolejnego pytania, a ten z niej skorzystał.

– I co jej pan powiedział?

Torrebarido nie próbował ukryć zdziwienia.

– Że oczywiście przyjdę – odparł, przemieniając zdziwienie w zdumienie faktem, że ktoś mógł zadać takie pytanie. Po czym ujrzawszy minę komisarza, dodał: – Był moim ojcem.

Brunetti spuścił głowę i skinął nią kilka razy, a potem zapytał:

– Więc nie zdążył się pan z nią zobaczyć?

– Nie. Prawdę mówiąc, teraz jest mi przykro. Mój ojciec ją uwielbiał. – Ponieważ komisarz milczał, Torrebarido ciągnął: – To tragiczne, że przyjechała oddać mu cześć, i spotkało ją coś tak potwornego.

Brunetti spojrzał na blat biurka i odczekał chwilę.

– Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan był w noc jej śmierci? – zapytał.

– To był czwartek, prawda?

– Owszem, przyleciała w czwartek – potwierdził komisarz. – I w nocy tego samego dnia została zamordowana.

Markiz popatrzył na swoje kolana, jakby nie bardzo wiedział, jak sobie przypomnieć, gdzie się wtedy znajdował.

– Byłem w domu – powiedział. – Otrzymałem wcześniej zaproszenie na przyjęcie, ale zrezygnowałem, bo miałem migrenę i nie chciałem

wychodzić z domu ani musieć rozmawiać z ludźmi.

– Rozumiem – rzekł Brunetti, przysuwając do siebie notes. – Mógłby pan powiedzieć, kto miał pełnić funkcję gospodarza lub gospodyni?

– Hrabia Fabrizio Urbino – odparł Torrebardo niemal takim tonem, jakby możliwość podania takiego nazwiska sprawiła mu radość. – Chodziliśmy razem do szkoły. Przyjechał tu na kilka dni. Zadzwoiłem do niego do hotelu i powiedziałem, że muszę odwołać spotkanie.

– Gdzie mieszka hrabia Urbino?

– W Mediolanie, ale nie znam adresu.

Torrebardo wyjął komórkę i nacisnął kilka klawiszy, po czym odczytał numer telefonu hrabiego Brunettiemu, który zapisał go i podziękował.

– Dziękuję panu za współpracę – rzekł komisarz, wstając od biurka.

Markiz nie zdołał ukryć zaskoczenia. Wstał i podszedł, by uścisnąć Brunettiemu dłoń, chciał coś powiedzieć – może podziękować – ale się rozmyślił i zachował milczenie. Ruszył do drzwi i wyszedł z gabinetu.

Rozdział 26

A więc to był syn Gonzala, młody człowiek, którego przyjaciel komisarza obserwował „rekinimi oczami”, młody mężczyzna, który zgarnął całą pulę: mieszkanie, rachunki bankowe „gdzieś tam”, obrazy, ryciny, wszystko, co Gonzalo posiadał w momencie, gdy upadł i zmarł w drodze do galerii malarstwa.

Hrabia Falier, jego najstarszy przyjaciel, próbował na próżno porozmawiać z nim o jego zamiarach; jego adwokat zaniechał prób wyperswadowania mu tego pomysłu; Brunetti nie chciał się mieszać, natomiast Berta, najlepsza przyjaciółka Gonzala, nie ustawała w wysiłkach od miesięcy, starając się go skłonić do spojrzenia na swoje życie innymi, ludzkimi oczami. I teraz, podobnie jak de Tejada, nie żyła.

Brunetti otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej otrzymaną od signoriny Elettry teczkę z wydrukami korespondencji e-mailowej między Gonzalem i Bertą. I znowu natknął się na to nawiązanie do czegoś, co, jak „my” oboje wiemy, miało powstrzymać Gonzala przed zrealizowaniem jego zamiarów przypuszczalnie oznaczających adopcję. „Tylko my wiemy, że nie wolno Ci tego zrobić”. Nakazał sobie w duchu zaprzestać wymyślania sposobów na odkrycie, kto mógł się kryć za słowem „my”, i po prostu przyjąć najprostsze wyjaśnienie: nie krył się za nim nikt poza Gonzalem i Bertą, która do niego pisała. Cóż mogli oboje wiedzieć takiego, co przeszkodziłoby mu usynowić markiza?

Skoro oboje nie żyli, to zabrali tę tajemnicę ze sobą do grobu. Chyba że... chyba że... poznał ją ktoś jeszcze. Brunetti odrzucił tę możliwość jako motyw z kiepskich filmów: odkryte po śmierci listy; pojawiające się dawno zaginione dzieci zmarłego; mapa prowadząca do miejsca ukrycia testamentu, umieszczonego w rodzinnej Biblii i odnalezionego dopiero na pogrzebie, gdy miał być z niej odczytany fragment Ewangelii. Berta była

skłonna narazić się na pohańbienie, żeby powstrzymać tę adopcję. Czy zamiast tego naraziła się na śmierć?

Powrócił do lektury i znowu natrafił w e-mailu Berty na ostrzeżenie, że człowiek adoptowany przez Gonzala – nigdy niewymieniony z nazwiska w tej korespondencji – może się rozczarować po jego śmierci. Cóż może być większym rozczarowaniem niż odkrycie, że niewiele jest do odziedziczenia? Czyżby żądza popchnęła de Tejedę do oszustwa tego rodzaju? Brunetti, nagle przypomniawszy sobie rozmowę z Nannim, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie było wątpliwości co do wielkości majątku Gonzala ani osoby, dla której był on przeznaczony.

Komisarz schylił się po telefon. Zajrzał do leżącego na biurku notesu i wybrał numer hrabiego Fabrizia Urbino, by potwierdził zeznania markiza. Urbino nie okazał zdziwienia faktem, że policja dzwoni do niego, żeby sprawdzić wersję przedstawioną przez Torrebarda, i Brunetti mógł się do woli zastanawiać, czy to dlatego, że tacy ludzie nie przejmowali się tym, co robi bądź myśli policja, czy dlatego, że hrabia nie chciał być w jakikolwiek sposób zamieszany w to, co markiz mógł mieć wspólnego z policją.

Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu.

– *Avanti!* – zawołał i ucieszył się na widok signoriny Elettry z jakimiś dokumentami w dłoni.

– Panie komisarzu – powiedziała Elettra, podchodząc do biurka – właśnie dostałam ten e-mail od hiszpańskiej policji. – Głos miała zmieniony; Brunetti pomyślał, że sprawia wrażenie oszołomionej, niczym ktoś, kto nagle znalazł się na miejscu wypadku, gdzie znad rozbitych samochodów wciąż unosił się dym.

– Proszę mówić – polecił komisarz.

Sekretarka Patty uniosła kartki, jakby chciała zademonstrować źródło i wagę tego, co miała zamiar powiedzieć.

– Byli małżeństwem.

– Słucham? – odparł Brunetti, nie rozumiejąc.

– Pański przyjaciel Gonzalo i signora Dodson; pobrali się. Właśnie dzięki temu wydostała się z Chile.

Elettra położyła dokumenty na blacie biurka, ale w natłoku myśli komisarz nie zwracał większej uwagi ani na e-mail, ani na nią. Alberta Dodson mówiła niejedną raz, że Gonzalo ocalił jej życie. Rudy Adler żartował, że zachowują się jak stare małżeństwo.

– Kiedy? – zapytał Brunetti. – Gdzie?

– W hiszpańskiej ambasadzie w Santiago, rok po przejęciu władzy przez Pinocheta.

– Przecież była żoną tego swojego Anglika – zauważył komisarz.

– Na to wygląda. Hiszpanie nie są jednak w stanie znaleźć orzeczenia o ich rozwodzie.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał Brunetti lekko protekcjonalnym tonem.

– Jeżeli pragnie pan oskarżyć kogoś o niestaranne prowadzenie ewidencji, proszę nie szukać winnych w Hiszpanii – odparła signorina Elettra zmienionym głosem. – Prawdę mówiąc, gdy ich powiadomiliśmy, że obywatelka Hiszpanii, Alberta Gutiérrez de Vedia, została tutaj zamordowana, odpowiedzieli niemal natychmiast – przerwała, żeby komisarz miał szansę o to zapytać, ale ponieważ milczał, mówiła dalej: – Wysłałam im kopię naszej dokumentacji. – Zanim zdążył zadać pytanie, dodała: – W całości. I poprosiłam, żeby udzielili mi wszelkich posiadanych na jej temat informacji.

– Miała już pani z nimi do czynienia, prawda?

– Owszem, ale nigdy z tym urzędem – odparła Elettra, zawahała się i po chwili wyjaśniła: – Tam jest inaczej niż u nas, *dottore*. Osoba, która udziela informacji, nie musi być kuzynką pańskiego szwagra ani osobą, z którą chodził pan do szkoły podstawowej.

Brunetti skinął głową, żeby ją zachęcić do dalszych wyjaśnień.

– Mają akt jej małżeństwa z obywatelem Hiszpanii w Chile oraz towarzyszący mu wniosek o przyznanie obywatelstwa, a potem wizy

imigracyjnej. Znali datę przyznania obywatelstwa i wiedzieli, kiedy i gdzie później mieszkała oraz głosowała w hiszpańskich wyborach i pod jaki adres trafiła w Anglii. – Signorina Elettra zrobiła pauzę, a potem zupełnie niepotrzebnie powtórzyła: – Nie są w stanie znaleźć orzeczenia o ich rozwodzie.

Brunetti miał wrażenie, że horyzont nagle znalazł się w nowym miejscu, a on jest proszony o baczne przyjrzenie się nowemu układowi przestrzennemu.

– To oznacza, że w świetle prawa markiz nie został adoptowany, prawda?
– upewnił się.

– Jeśli dobrze pamiętam przepisy, *signore*, to nie, nie został – odparła Elettra. Nie musiała mu tego tłumaczyć, prawo było jasne i zarazem mądre: adopcja osoby dorosłej przez jednego z małżonków była ważna, tylko jeżeli zgodzili się na nią zarówno mąż, jak i żona.

– Dziękuję – rzekł komisarz i przysunął do siebie dokumenty. Trzy pierwsze strony przeczytał dwukrotnie, lecz nadal nie rozumiał, co czyta, mimo że słownictwo hiszpańskich biurokratów było bardzo podobne do włoskiej terminologii. Znał daty, rozpoznawał nazwiska, nie mógł jednak skupić się na faktach za sprawą cienia, jaki rzucały na to, co miało stać się później.

Wstał, podszedł do okna i przyglądał się niebu, chyba tam szukając oświecenia. Nie znalazł go ani na niebie, ani w wodach kanału pod swoim oknem.

W końcu złamał szyfr w czytanych dokumentach i zrekonstruował przebieg zdarzeń, a potem dodał znane sobie fakty. Młoda Alberta wierzyła w sens i skuteczność protestów politycznych; ludzie Pinocheta poznali jej tożsamość i zaczęli jej szukać; Gonzalo postąpił jak dżentelmen i ocalił księżniczkę przed chilijskimi smokami, żeniąc się z nią i wywoząc do Hiszpanii. Kto by tam pamiętał małżeństwo zawarte przez – komisarz musiał zerknąć w papiery – Albertę Gutiérrez de Vedię i Gonzala Rodrígueza de Tejedę w okresie stanu wyjątkowego i politycznego

zamieszania, w którym w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły tysiące osób. Czas płynie, zmieniają się rządy, ludzie zapominają.

Któż by przypuszczał, że nieukrywający swojego homoseksualizmu marszałek miał żonę, zwłaszcza taką, która faktycznie poślubiła angielskiego arystokratę i polowała z psami?

Jednak dla hiszpańskiej policji Berta Dodson wciąż była Albertą Gutiérrez de Vedia, żoną, a następnie – bardzo krótko – wdową po Gonzalu Rodríguez de Tejedzie. Tym samym to ona, nie zaś bezprawnie adoptowany syn Gonzala, byłaby jego spadkobierczynią. Brunetti zaczął się zastanawiać, kto będzie dziedziczył po niej, ale ledwie o tym pomyślał, zaniechał tych rozważań. To nie miało znaczenia i nic nie mogło tego zmienić.

Opadły go wspomnienia i uzmysłowił sobie, że znowu myśli o *Trojankach*, starożytnych Grekach oraz o tym, co ich mobilizowało do działania. Jakże odmiennymi kierowali się pobudkami, jak rzadko towarzyszyła im myśl o zysku materialnym. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni bronili swojego honoru; bronili go przemocą, sprytem lub połączeniem jednego z drugim, ale nie czynili tego dla zysku. Klitajmestra nie zabiła Agamemnona, żeby odziedziczyć dom, a Medea nie była zainteresowana majątkiem Jazona. Pamiętał przemowę w jednej z tragedii; nie mógł sobie przypomnieć w której. Utkwiła mu w pamięci jedynie odraza, jaką czuł bohater, który sądził, że inną postać dramatu pcha do działania żądza zysku. Niższej pobudki nie można było sobie wyobrazić.

I proszę, minęło dwa tysiące lat, a wspólny mianownik ludzkich poczynań stanowiła chciwość.

Wrócił do biurka, mamrocząc:

– Podążaj śladem pieniędzy. Podążaj śladem pieniędzy. – Z pewnością szedł z duchem swoich czasów.

Ślad prowadził do marchese di Torrebarbo, człowieka, który zyskałby na śmierci Alberty. Gdyby tylko była najlepszą przyjaciółką Gonzala i nikim więcej, mogłaby zostać oszczędzona. Lista tych „mogłaby” była zniechęcająco długa.

Brunetti wyobraził sobie scenę, w której próbowałby przekonać sędziego, że błysk, jaki dostrzegł w oczach markiza, dowodzi jego udziału w śmierci Berty, i zażenowany zrezygnował z tego pomysłu.

Nie mając nic lepszego do roboty, postanowił znowu porozmawiać z kelnerem i sprawdzić, czy ten, mając czas na zastanowienie, zdołał sobie przypomnieć, jak wyglądał mężczyzna z boksu.

Dzień był piękny i działał na zmysły, zachęcając do spaceru wzdłuż nabrzeża, ale Brunetti postanowił popłynąć *vaporetto* i wysiąść przy San Tomà, na przystani najbliższej hotelu. Szybko dotarł na miejsce i wszedł do na wpół pustego baru, gdzie spostrzegł opartego o kontuar kelnera.

Gdy się do niego zbliżał, kelner skinął głową, lekko się uśmiechnął i rzekł:

– *Buondì, commissario.*

Sandro, barman, podszedł do miejsca, w którym obaj stali, i zapytał komisarza:

– Mogę panu coś zaproponować?

– Jestem na służbie – odparł Brunetti. Gdy ujrzał jego zaskoczoną minę, uśmiechnął się i dał się skusić: – No, może kieliszek białego wina. Jest już po piątej i nie muszę wracać do komendy.

– Pinot grigio? – zapytał barman.

– Tak. Dzięki.

W odpowiedzi na skinienie jednej z trzech kobiet siedzących przy stoliku koło okna kelner podszedł do nich przyjąć zamówienie.

– Czyżby zapomniał pan o coś zapytać? – rzekł barman do sączącego swoje wino komisarza.

Przyszedł porozmawiać z kelnerem, ale uznał, że barman też może zaspokoić jego ciekawość.

– Chciałbym was obu zapytać, czy przypomnieliście sobie coś o mężczyźnie, który siedział w boksie z signorą Dodson.

Barman podniósł z lady ścierkę i kilka razy wytarł nią powierzchnię baru. Następnie wypłukał ścierkę pod bieżącą wodą, wykręcił ją i powiesił

na kranie.

– Mogę o coś zapytać, panie komisarzu?

– Oczywiście.

– Myśli pan, że człowiek, który siedział z nią w boksie, to ten sam, który ją zabił?

Brunetti przez pewien czas zastanawiał się nad odpowiedzią, zanim odparł:

– To możliwe. – Wypił kolejny łyk wina i żałował, że nie ma żadnej zagryzki. Na przykład orzeszków ziemnych.

Barman, jakby czytając w jego myślach, otworzył szufladę i wyjął miszkę solonych migdałów. Podsunął ją Brunettiemu i skinął głową.

– Dobrze smakują z białym winem.

Komisarz zauważył, że barmanowi złagodniała twarz, co często się zdarza, gdy ktoś podaje drugiej osobie jedzenie.

Wybrał kilka migdałów i dwa włożył do ust, zastanawiając się, dlaczego ludzie zawsze jedzą migdały w ten sposób, a nie wrzucają ich do ust z beztroskim lekceważeniem, z jakim traktują orzeszki ziemne. Były bardzo smaczne.

Kelner wrócił i powiedział:

– Trzy razy szampan. – Odwracając się do Brunettiego, zapytał: – Czy się czegoś dowiedzieliście?

Komisarz wypił kolejny łyżeczek wina, postawił kieliszek na kontuarze i odparł:

– Nie dowiedzieliśmy się niczego.

– Rozmawiałem o tym z Sandrem – wyznał kelner, przechylając głowę w kierunku barmana, który stał teraz w drugim końcu baru i właśnie usuwał folię z korka butelki szampana.

– Któryś z was coś wymyślił? – rzucił od niechcienia komisarz.

– No cóż – odparł kelner, po czym pozwolił sobie na chwilę namysłu, tocząc wzrokiem po stolikach. Ponieważ nikt z siedzących tam go nie

przywołał, ciągnął z wahaniem: – Nie wiem, czy powiedzieli wam o kamerach wideo.

– Owszem, powiedzieli i obejrzelśmy nagrania – odparł Brunetti. – Bez efektu.

– Szukacie kogoś konkretnego?

Brunetti pomyślał, że właśnie tak poufne informacje trafiają na pierwszą stronę „Il Gazzettino”. Odpowiedź na pytanie tego człowieka oznaczałaby ujawnienie policyjnych tajemnic.

– Tak. Mamy kogoś na myśli.

Kelner otworzył usta, żeby coś powiedzieć, rozmyślił się, znowu spojrzał w stronę stolików, potem na Brunettiego i zapytał:

– Tego faceta w boksie?

Komisarz się uśmiechnął i lekko skinął głową, jakby chciał okazać aprobatę dla bystrości kelnera, nie udzielając właściwie odpowiedzi na jego pytanie.

Barman wrócił do nich z trzema smukłymi i wysokimi, trzymanymi oburącz kieliszkami. Postawił je na tacy; kelner rozsunął kieliszki i wyjaśnił koledze:

– Dali mu nagrania wideo, ale nic na nich nie było.

Wzruszył ramionami, podniósł tacę i odszedł w stronę stolika, przy którym siedziały trzy kobiety. Barman znowu wytarł kontuar, a Brunetti zjadł kilka kolejnych migdałów.

Gdy kelner wrócił, ponownie oparł się o bar i odetchnął z ulgą.

– Nawet pan nie wie, jak tyle godzin na nogach działa na kręgosłup.

Wsparł dłonie na biodrach i pochylił się, a potem obrócił z boku na bok. Gdy już się wyprostował, komisarz skinął współczująco głową.

Barman i kelner wymienili niezrozumiałe dla Brunettiego spojrzenia. Po chwili Sandro zapytał:

– Dali panu wszystkie?

– Było jedno z recepcji, z widokiem na drzwi, i jedno od drzwi na recepcję – wyjaśnił komisarz. – Kolejne stąd – zaczął i odwrócił się, by poszukać wzrokiem kamery. – Z tej u góry – dokończył, wskazując szklane oko, które zerkało, prawie niewidoczne, z gzymsu nad lustrem wiszącym na ścianie z tyłu baru. – Oraz jedno ze schodów prowadzących z holu.

– To wszystko? – zapytał barman, sprawiający wrażenie lekko zdziwionego.

– Tak – odparł Brunetti.

– Aha. – Sandro westchnął i popatrzył na kelnera. Komisarz uchwycił kątem oka jego nieznaczny ruch głowy, ale uwagę nadal skupiał na barmanie, który w końcu rzekł: – Jest jeszcze jedna kamera.

– Przynajmniej nie chcieli mu o niej powiedzieć – powiedział kelner nie bardzo wiadomo do kogo.

Wiedząc, że już teraz nie mają wyboru, Brunetti postanowił poczekać i przekonać się, co mu sami wyjawią.

– Chyba to ja powinienem mu powiedzieć – stwierdził kelner. Barman znowu zaczął wycierać kontuar. Komisarz podniósł kieliszek, żeby mógł przejechać pod nim ścierką. – To się stało mniej więcej pięć miesięcy temu, na samym początku zimy. Nadal było dużo gości... teraz nigdy ich nie brakuje... więc panował u nas spory ruch.

Sandro, nie zwracając sobie głowy płukaniem ścierki, powiesił ją na brzegu zlewu i skrzyżowawszy ręce, cofnął się od kontuaru.

– Pewnego wieczoru miałem dyżur – ciągnął kelner – i nagle do mnie dotarło, że przez kilka kolejnych weekendów w barze pojawiali się dwaj mężczyźni... nie zwracałem na nich szczególnej uwagi, bo właśnie wtedy było jeszcze więcej osób i mieliśmy dużo pracy. Jeden z nich był blondynem, a drugi miał bardzo gęste, kręcone rude włosy. Przypuszczam, że obaj mieli po dwadzieścia parę lat. Tak czy inaczej, spędzali tu piątkowe i sobotnie wieczory. Tego blondyna rozpoznałem, ponieważ pracował w sklepie odzieżowym naprzeciwko mojego domu. Znałem go i zarazem nie znałem, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Przerwał, by dać Brunettiemu szansę na komentarz. Komisarz skinął głową, ale nic nie powiedział. W Wenecji pełno było ludzi, których znał tylko z widzenia.

– I właśnie on mnie zaciekał. Czemu nie poszedł do baru w naszej okolicy, gdzie miał znajomych? I skąd miał kasę na drinki... wiem, ile tutaj kosztują... skoro pracował w sklepie z ciuchami? – W głosie kelnera pobrzmiwał ton niemałej irytacji, której sama obecność sprzedawcy w barze drogiego hotelu z pewnością nie uzasadniała.

Nagle kelner przeprosił, podszedł do stolika, przy którym siedziało dwóch mężczyzn, i szybko wrócił, żeby przekazać zamówienie barmanowi. Kiedy już zaniósł im zamówione drinki i potoczył wzrokiem po innych stolikach, wrócił do baru i podjął przerwana opowieść.

– Zacząłem więc przyglądać się jemu i temu drugiemu gościowi, który zawsze płacił gotówką. – Gdy kelner spostrzegł wyraz zmieszania na twarzy komisarza, wyjaśnił: – Goście hotelowi zawsze każą dopisać zamówienia do rachunku za swój pokój. W każdym razie – mówił dalej – zauważyłem, że obaj przychodzą sami, ale zawsze wyglądało na to, że w końcu zaczynali rozmawiać z kimś innym, a potem przenosili się do jego stolika. – A więc, pomyślał komisarz, zawsze rozmawiali z mężczyznami. – Któregoś wieczoru zauważyłem, że ten mój znajomy zniknął na jakiś czas, po czym mniej więcej minutę później mężczyzna, do którego się dosiadł, siedł za nim i żaden z nich nie wracał przez blisko dziesięć minut. – Kelner przerwał i posłał Brunettiemu przeciągłe spojrzenie, sprawiając wrażenie bardzo zażenowanego tym, co właśnie powiedział.

Jakby pragnąc rozwiać wszelkie ewentualne podejrzenia komisarza, dlaczego zadał sobie trud opowiedzenia tej długiej historii, kelner zaznaczył:

– Początkowo myślałem, że wychodzą na papierosa, ale nie udawali się do wyjścia od frontu, ale na tyły, w stronę męskiej toalety.

Brunetti zacisnął usta i zmarszczył brwi. Barman podszedł do kontuaru i zapytał, czy ma ochotę na następny kieliszek wina, lecz komisarz odmówił.

– I co pan zrobił? – zapytał kelnera.

– Obserwowałem ich przez kolejne weekendy i zdałem sobie sprawę, że ten drugi mężczyzna postępował według niemal identycznego schematu, chociaż nie bywał tutaj każdego wieczoru. – Spojrzenie kelnera pomknęło ku stolikom, ale ponieważ nikt go nie przywołał, ciągnął: – Nie podobało mi się to. To nie mój hotel i nie moja sprawa, co ludzie robią, ale na miłość boską, nie w męskiej toalecie w miejscu publicznym. Co będzie, jeżeli zjawi się tu jakaś rodzina lub ktoś latem przyprowadzi dzieciaka na coca-cole, chłopak wejdzie do toalety i zobaczy dwóch mężczyzn wychodzących z jednej kabiny lub coś innego, nie wiem co. – Znowu obrzucił wzrokiem stoliki, jednak nikt z gości baru nie próbował przyciągnąć jego uwagi.

– I co pan zrobił? – powtórzył pytanie komisarz.

– Powiedziałem szefowi, a on kazał umieścić kamerę w męskiej toalecie. Cóż, tak naprawdę nie w kabinach, ale na przeciwległej ścianie, skierowaną na drzwi, więc pokazuje każdego, kto wchodzi.

Brunetti robił, co w jego mocy, żeby ukryć podniecenie, i zapytał:

– Co zrobiliście w sprawie tych dwóch mężczyzn?

Kelner i barman wymienili przeciągłe spojrzenia i tym razem przemówił barman.

– Dzień po jej zainstalowaniu pierwszy z nich przyszedł uregulować należność, a ja zapytałem, czy wie, że w męskiej toalecie jest kamera wideo. – Sandro zacisnął usta i przechylił głowę, jakby chciał dowieść swojego zakłopotania. Zerknął na kolegę, który skinął głową, więc ciągnął: – Uznaliśmy, że należy mu powiedzieć.

– Jak zareagował?

– Upuścił resztę. I nawet nie próbował jej pozbierać. Wyszedł i więcej go nie widziałem.

– A ten drugi?

Kelner wtrącił się do ich rozmowy.

– On też już nigdy nie wrócił.

– Czy ta kamera wciąż tam jest? – zapytał Brunetti najspokojniej, jak umiał.

Dwaj mężczyźni znowu spojrzeli na siebie.

– Sądzę, że tak. Nie ma powodu, by ją demontować.

Komisarz dopił wino. Sięgnął po portfel, ale kelner położył mu dłoń na rękę i rzekł:

– Panie komisarzu, proszę. Jest pan naszym gościem.

– A napiwek mogę zostawić? – zapytał Brunetti, nachylając się nad kontuarem, żeby uścisnąć dłoń barmana. Gdy się obrócił, kelner już czekał z wyciągniętą ręką. Brunetti też ją uścisnął, po czym powiedział: – Jeżeli kiedyś, panowie, będę mógł unieważnić wasz mandat za złe parkowanie, zrobię to z przyjemnością. Nazywam się Brunetti.

Obaj mężczyźni się roześmiali, a komisarz poszedł porozmawiać z konsjerżem.

Rozdział 27

Nie wdając się w wyjaśnianie, jak się o niej dowiedział, poprosił konsjerża o przesłanie nagrań z kamery, która filmowała drzwi męskiej toalety, na adres swojej prywatnej skrzynki poczty elektronicznej, żeby mógł sam je obejrzeć. Gdy dotarł do domu, nalał sobie białego wina do kieliszka, zasiadł przed komputerem Paoli i otworzył plik załączony do e-maila. Ustawił czasomierz u dołu ekranu na godzinę szóstą wieczorem w dniu morderstwa i włączył odtwarzanie.

Nie miał pojęcia, jak nużące będzie obserwowanie drzwi toalety, które otwierały się raz za razem przed jakimś wchodzącym lub wychodzącym mężczyzną. Po niespełna półgodzinie był poruszony ciągłym widokiem przemykających w kadrze twarzy, jakby patrzył na amerykańską komedię z lat dwudziestych wyświetlaną w przyśpieszonym tempie. Oglądanie przemieniło się w odczucie graniczące z bólem. Każdy mężczyzna był widoczny nie dłużej niż trzy sekundy i natychmiast zastępował go kolejny. Bez względu na to, jak bardzo przemykające twarze męczyły komisarza, nie mógł oderwać oczu od ekranu. Jeżeli chciał odwrócić wzrok lub zamknąć oczy, nawet na chwilę, musiał zatrzymać nagranie. Dwukrotnie musiał się cofnąć i obejrzeć ostatniego pojawiającego się w drzwiach toalety mężczyznę tylko po to, żeby odkryć, że i tak nie pamięta, czy już widział tę twarz, czy nie. W pewnym momencie zatrzymał nagranie i podszedł do okna przyjrzeć się drzewom na dziedzińcu poniżej ich mieszkania, potem wrócił przed ekran komputera.

Nagle usłyszał, jak otwierają się drzwi i Chiara woła:

– Ktoś jest w domu?

– Ja! – odpowiedział Brunetti, czując się trochę jak Tata Miś.

Chiara ukazała się w gabinecie z plecakiem w ręce i podeszła, by pocałować ojca w czubek głowy. Spojrzała w ekran i zapytała swoim

najsłodszy głosem:

– Przydzielili cię do oglądania nagrań z inwigilacji?

– Oglądasz za dużo filmów w telewizji – odparł Brunetti tak szorstko, jak tylko potrafił.

Córka znowu go pocałowała i ruszyła w stronę kuchni.

Brunetti miał niejasną świadomość, że później przeszła korytarzem do swojego pokoju. Zatrzymał nagranie i gdy wstawał, żeby włączyć światło, zauważył, że jest już po siódmej. Poszedł do kuchni i wypił szklankę wody, żałując, że brak mu cierpliwości, by zaparzyć sobie kawę, i że nie mieszkają na parterze, bo wtedy mógłby wstąpić do Rizzardiniego i tam ją kupić.

Znowu zasiadł przed komputerem i już miał kontynuować, gdy usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, a następnie lekkie kroki w korytarzu. Paola stanęła w drzwiach gabinetu, uśmiechnięta i zaciekawiona.

– Ty tutaj? Przy komputerze? – zdziwiła się i roześmiała. – Co robisz?

– Szukam zabójcy.

– Dzień jak co dzień? – powiedziała, wchodząc do pokoju. Podobnie jak Chiara pocałowała Brunettiego w czubek głowy i spojrzała w ekran. – Przecież tam nic nie ma – zauważyła zaintrygowana. – Tylko drzwi.

– Musiałem sobie zrobić przerwę – wyznał.

– Dlaczego? – zapytała, stając u boku męża.

– Zaraz zobaczysz – odparł i kliknął w strzałkę.

Po trzech minutach oglądania kolejnych mężczyzn wchodzących i wychodzących przez drzwi toalety Paola stwierdziła:

– Dobrze, że trzymasz swój pistolet zamknięty na klucz gdzieś w szafie.

– Bo inaczej bym się zastrzelił?

– Właśnie – potwierdziła Paola i spytała: – Co to jest?

– Nagranie wideo ukazujące drzwi męskiej toalety w hotelu.

Przechyliwszy się, Paola przyciągnęła stojące nieopodal krzesło i usiadła obok męża.

– Powiedz, dlaczego to oglądasz.

Komisarz powtórzył, co usłyszał na temat nagrań od barmana i kelnera.

– I czekasz, aż w drzwiach pojawi się młody wybranek Gonzala? Na to liczysz?

Brunetti potrzebował czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Nie, nie liczę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcę, żeby Gonzalo okazał się odpowiedzialny za jej śmierć.

– Aha – mruknęła i długo zachowywała milczenie, zanim dodała: – Rozumiem.

Brunetti pochylił się i znowu puścił nagranie. Siedzieli obok siebie w milczeniu przez dziesięć minut, dopóki Paola nie zauważyła: – Dla mnie jest to przerażające.

– Co?

– Popatrz na ich twarze – powiedziała zaskakująco spokojnym głosem. – Ci mężczyźni przez kilka minut są sami, nie mają z kim porozmawiać, przed kim się przechwalać, nie mają komu snuć swoich opowieści. I spójrz tylko na ich twarze. Czy kiedykolwiek widziałeś obraz takiej nędzy i rozpacz?

Brunetti z nowym skupieniem obserwował to, w czym teraz widział procesję smutku i niedoli. Przyglądał się bacznie twarzom wchodzących i wychodzących mężczyzn: ich oblicza były tak ponure, a pozy wskazywały na tak wielkie przygnębienie, że równie dobrze mogliby zmierzać na swój pogrzeb. Dlaczego zauważył to dopiero teraz? Przyjrzał się dwóm następnym studiom przypadku rozpacz i zatrzymał nagranie.

– Może siądziesz na kanapie i poczytasz, a ja obejrzę to do końca? – zaproponował.

– Może zamiast czytać, przyrządę kolację? – zaproponowała Paola i poklepała go po ramieniu.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedział Brunetti, nie kierował jednak tych słów do żadnego z mężczyzn pojawiających się na ekranie.

Kilka minut później Chiara przyniosła mu kieliszek wina. Wróciła ponownie, po długim, jak mu się zdawało, czasie, żeby powiedzieć, że kolacja gotowa. Brunetti wyłonił się z gabinetu z zaczerwienionymi oczami, wyczerpany i zdruzgotany widokiem tyłu mężczyzn o ponurych twarzach. Kolacja pomogła, ale gdy tylko skończył jeść, zasiadł z powrotem do komputera, nie przyjmąwszy zaproponowanej przez Paolę grappy.

Zaczął znowu oglądać nagrania, usiłując przemoc wywołaną posiłkiem senność. Po czym, gdy zegar u dołu ekranu wskazywał 23.22, drzwi męskiej toalety się otworzyły i do środka wkroczył Attilio Circetti, markiz Torrebardo. Nie próbował pochylać głowy ani zasłaniać twarzy dłonią: był mężczyzną w świecie mężczyzn i trzymał się prosto i dumnie. Wyszedł trzy minuty później. Brunetti zauważył jasny płaszcz i ciemnoniebieski szalik na jego szyi. Wyłączył nagranie i postanowił jednak napić się grappy.

Rozdział 28

Nazajutrz rano Brunetti wstał dopiero po dziewiątej, wypiwszy w łóżku dwie kawy i przeczytawszy „Il Gazzettino” przyniesione przez żonę, która towarzyszyła mu w tym letargu i opieszałości.

Kiedy wyszła do pracy, komisarz zatelefonował do sędzi, która nadzorowała śledztwo w sprawie zamordowania Alberty Dodson, i zapytał, czy mogliby się spotkać za godzinę w komendzie; uprzedził, że powie jej, co odkrył od czasu ich ostatniej rozmowy. Potem zadzwonił do markiza Torrebardo z prośbą, by tego popołudnia przyszedł o trzeciej odpowiedzieć na kilka dodatkowych pytań.

Pełna irytacji zgoda młodego człowieka na tę prośbę ucieszyła Brunettiego; komuś, kto się czegoś obawia, niełatwo jest z oburzeniem odmówić: markiz nawet nie próbował. Być może też nie był w stanie oprzeć się pragnieniu zorientowania się, czego komisarz się dowiedział. W każdym razie dał wyraźnie do zrozumienia, że aby zdążyć do komendy na trzecią, będzie musiał odwołać umówione spotkanie.

W drodze do komendy Brunetti wypił jeszcze jedną kawę, tym razem z brioszką w zestawie, i przybył na miejsce równocześnie z sędzią. Poszli do jego gabinetu, gdzie wyjaśnił znaczenie faktu, że markiz pojawia się na nagraniu, w świetle jego zarejestrowanych podczas przesłuchania zapewnień, że wieczór, gdy popełniono morderstwo, spędził w domu, z powodu bólu głowy zrezygnował nawet z udziału w proszonej kolacji.

Zapewniwszy sędzię, że to niewątpliwie markiza Torrebarda widać na nagraniu wideo, Brunetti bez trudu przekonał ją, by zgodziła się wydać nakaz zbadania ubrania markiza, żeby sprawdzić, czy są na nim ślady DNA zamordowanej kobiety, z którą, jak twierdził, nie spotkał się w Wenecji.

Ponieważ do obiadu pozostało jeszcze trochę czasu, zatelefonował do Paoli i wyjaśnił, że jest zbyt zdenerwowany, by jeść, na co ze śmiechem

odparła:

– Zanotuję tę datę, Guido. I zamieszczę informację w gazetach. – Po chwili, nie przestając się śmiać, dodała: – Postaraj się ochłoniąć do kolacji. Zjemy *peperonata con polenta* – i się rozłączyła.

Brunetti wyjął teczkę z e-mailami i znowu zaczął je czytać, interpretując zawarte w nich stwierdzenia w kontekście informacji, że Alberta Dodson nie przestała być żoną de Tejedy. Teraz treść listów miała sens: z chwilą gdy brakujący element układanki trafił na swoje miejsce, cały obraz nabrał idealnej ostrości i sprawił, że komisarz spokojnie porzucił myśl o jakimś mrocznym skandalu finansowym, który uderzyłby w każdego wyznaczonego przez Gonzala spadkobiercę.

To, co skłoniło Gonzala do oszustwa, należało – przynajmniej w oczach komisarza – do zupełnie innej, o wiele gorszej kategorii. Starzec kupił względy tego młodego człowieka obietnicą nagrody finansowej, wiedząc, że – powiedzmy to wprost – żona ujawni po jego śmierci informację o ich małżeństwie. I tak zaślepiony miłością – a może było to pożądanie – Gonzalo zrealizował zamiar adopcji, świadom, że syn w końcu zostanie pozbawiony spuścizny po nim: mieszkania, obrazów, wszystkiego. Nie uwzględnił w swoich rachubach tego, że jego najlepsza przyjaciółka zostanie pozbawiona życia, ponieważ on tak fatalnie nie docenił swojego spadkobiercy.

Brunetti zamknął oczy i dokumenty zniknęły, zabierając ze sobą ostatnie słowa zmarłego przyjaciela i jego najlepszej przyjaciółki. Myślał o Gonzalu oraz tym, co zrobił i dlaczego. Popatrzył na kartkę leżącą na wierzchu pliku, po czym zgarnął wszystkie wydruki do szuflady biurka i zamknął ją na klucz. Opuścił budynek komendy i bez konkretnego celu ruszył w stronę Castello.

Po godzinie spacerowania wszedł do jakiegoś baru, gdzie zamówił paskudne *tramezzino*, które pozostawił prawie nietknięte na talerzu razem z niedopitym winem w kieliszku. Gdy dotarł do San Pietro di Castello, usiadł na jednej z ławek ustawionych na maleńkim skrawku trawy przed kościołem i obserwował gołębie nadciągające w nadziei, że jest jeszcze

jednym dużym stworzeniem z kawałkiem chleba w kieszeni. Mniej więcej po pięciu minutach ptaki dały za wygraną i ze znacznie większym powodzeniem wypróbowały tę samą taktykę na siwowłosej kobiecie w płaszczu nałożonym na fartuch, która stała na chodniku niedaleko kanału.

Brunetti stwierdził, że obserwowanie, jak wyciąga z kieszeni płaszcz, a potem fartucha kromki chleba, drobi je na kawałki i rzuca gołębiom, ma na niego zaskakująco odprężający wpływ. Wszystkie ptaki sprawiały wrażenie starych przyjaciół: nie tłoczyły się, nie dziobały nawzajem. Pochyliły łepki i spokojnie jadły swój obiad, na co on nadal nie miał ochoty.

Zerknął na zegarek i stwierdził, że minęła druga. Wstał i ruszył z powrotem do komendy. Zasalutował policjantowi przy drzwiach, który tym razem nie wspomniał o niczyjej wizycie, więc poszedł prosto do gabinetu. Teraz był już głodny, ale postanowił nie myśleć o jedzeniu.

Okolo godziny później do otwartych drzwi gabinetu komisarza zapukał Pucetti. Gdy zaraz potem się cofnął, Torrebaro minął go jak powietrze.

Brunetti spojrzał na młodego arystokratę i mruknął pod nosem:

– *Mirabile visu.* – Markiz ubrany był bowiem w ten sam jasny płaszcz, który miał na nagraniu wideo. – Ach – dodał z niekłamaną radością – dziękuję, że pan przyszedł.

Nadaśanie u dorosłej osoby stanowi przykry widok. Prawdę mówiąc, przykro na nie patrzeć u każdego, kto skończył cztery lata. Brunetti był przygotowany na nadaśaną minę markiza; podszedł do drzwi, żeby się z nim przywitać. Gdy jego gość zdjął płaszcz, komisarz wziął go od niego, starając się chwycić za metkę po wewnętrznej stronie kołnierza. Złożył go podszewką ku górze i umieścił na drugim fotelu stojącym naprzeciw biurka.

– Proszę usiąść – zaproponował markizowi i wrócił do drzwi. Pucetti stał w korytarzu i rozmawiał z jednym z tłumaczy.

Przywołał go szybkim ruchem ręki. Gdy młody policjant stanął przed nim, komisarz nachylił się ku niemu i powiedział ponaglającym tonem:

– Zadzwoń do dottoressy Baldassare i powiedz jej, że potrzebuję tych dokumentów już teraz.

Pucetti milczał przez kilka sekund, a gdy komisarz nie powiedział nic więcej, zsalutował i odwrócił się, żeby odejść i wykonać polecenie.

Brunetti wszedł z powrotem do gabinetu; gdy usiadł, sięgnął do ścianki biurka, nie ukrywając, że znowu włącza mikrofony. Następnie wsparł się łokciami o blat i splótł dłonie pod brodą.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy, panie markizie, powiedział mi pan, że rozmawiał pan z signorą Dodson przez telefon – rzekł i zrobił pauzę. Gdy Torrebardo skinął głową, komisarz zapytał, nie zawracając sobie głowy stwierdzeniem oczywistości: – Może pan to potwierdzić na głos?

– Tak – odparł młody markiz.

Brunetti spokojnie kontynuował przesłuchanie:

– Mógłby mi pan opowiedzieć bardziej szczegółowo o tej rozmowie i o tym, jak do niej doszło?

Gdy Torrebardo zaczął odpowiadać, dla Brunettiego stało się jasne, że markiz postanowił zachować spokój, pozostać miły i stwarzać wrażenie osoby życzliwej oraz skłonnej do współpracy.

– Myślę, że powiedziałem panu już wszystko, komisarzu – oświadczył głosem, z którego zniknęła wszelka złość i rozdrażnienie. Wyglądało to na swobodną rozmowę dwóch bliskich znajomych.

Brunetti dobrze zdawał sobie sprawę, że usłyszał już wszystko, co było do powiedzenia na ten temat, miał jednak nadzieję, że markiz potraktuje to jako okazję do odegrania jeszcze raz roli niewinnego człowieka cierpliwie znoszącego fanaberie przedstawiciela władzy.

Gdy stało się oczywiste, że komisarz nie ponowi swojej prośby, Torrebardo przeciągle westchnął i rzekł:

– Jak wyjaśniłem ostatnim razem, po raz pierwszy spotkałem ją dwa lata temu, w Londynie, gdy mój ojciec przedstawił mi ją jako swoją najlepszą przyjaciółkę. Wcześniej często słyszałem, jak dobrze się o niej wyrażał. Wypiliśmy razem herbatę i odbyliśmy bardzo miłą rozmowę. Potem nie

miałem z nią kontaktu do tamtego popołudnia, gdy zadzwoniła do mnie z informacją, że jest w Wenecji i stara się urządzać uroczystość żałobną na cześć mojego ojca. Obiecała, że znowu zadzwoni, gdy ustali już datę i miejsce. – Markiz pozwolił, by ostatecznie zdanie miało intonację opadającą, jaką nadaje się wypowiedziom kończącym rozmowę, i spojrzał na Brunettiego, by pokazać, że to już wszystko.

– Nie podała panu nazwy hotelu?

– Po co miałyby to robić? – rzucił Torrebarido, nie mogąc się powstrzymać. Wiedząc, jak to zabrzmiało, cierpliwym i rozsądnym głosem dodał: – Nie miała czasu na spotkanie, więc nie musiała mi mówić.

– Rozumiem – rzekł komisarz i wymienił nazwę hotelu. – Zna pan przypadkiem ten hotel?

– Nikt z moich znajomych nigdy się w nim nie zatrzymał, dlatego naprawdę nie było powodu, bym tam chodził.

– Nawet po to, żeby się z kimś spotkać w barze? – zachęcił Brunetti.

– *Commissario*, nie wiem, dlaczego tak uparcie próbuje pan powiązać mnie z miejscem, w którym nigdy nie byłem. Nie wiedziałem też, że zatrzymała się tam signora Dodson – odparł Torrebarido, w końcu tracąc nad sobą panowanie i dając upust złości.

Komisarz obrócił dłoń ku górze i posłał mu błądy uśmiech.

– Po prostu staram się wykluczyć możliwość pańskiego udziału w tej sprawie, *signore*.

– Cóż, może pan to zrobić bez tego przesłuchania, *commissario*. Daję panu słowo jako arystokrata, że nie byłem w tym hotelu, że nie widziałem się z Albertą Dodson, gdy tym razem zawitała do Wenecji, i nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.

– *La nobiltà ha dipinta negli occhi l'onestà*^[3] – powiedział szeptem Brunetti.

– No właśnie – rzekł markiz, głuchy na ironię komisarza i nieczuły na zawartą w jego słowach aluzję.

– Dobrze więc – stwierdził Brunetti, odsuwając fotel od biurka. Widząc to, Torrebardo położył dłonie na poręczach fotela i zaczął wstawać, kiedy jednak zobaczył, że komisarz pozostał na miejscu, usiadł z powrotem.

– Coś jeszcze? – zapytał markiz.

– Owszem – odparł Brunetti. Niespodziewanie dla siebie wrócił myślami do e-maila z teczki, napisanego przez Bertę do Gonzala wiele miesięcy przed jej śmiercią, w którym zganiła swojego przyjaciela za podjęte przezeń kroki, stwierdzając, że niezmiernie zasmucił ją fakt, że on, w tym wieku, jest tak owładnięty żądzą, że zdradza nawet obiekt tej żądzy.

W następnym akapicie napisała, że sama jest ponad żądzą, której niewolnikiem jest Gonzalo, i pragnie tylko rozumieć i pieścić myśli i ducha Rodericka, gdy ten zмага się z wyniszczającą chorobą, która powoli pozbawia go życia.

Wtedy komisarz przerwał lekturę, siła tabu uczyniła go niezdolnym do zgłębiania przemyśleń i stanów ducha Alberty. Skupił uwagę z powrotem na markizie Torrebardo.

– Chciałbym omówić kłamstwa na temat miejsca, w którym przebywał pan w czwartek wieczorem, jakich się pan dopuścił podczas przesłuchań, i porozmawiać o tym, dlaczego zabił pan signorę Dodson. – Obserwując, jak wyraz szoku odmalowuje się na twarzy markiza i natychmiast znika, przegnany siłą woli, Brunetti dodał: – Żonę Gonzala Rodrigueza de Tejedy.

– Nie może pan tego dowieść... – rzekł Torrebardo, ulegając swej złości na dostatecznie długą chwilę, by wypowiedzieć pięć słów, a potem natychmiast umilkł i zacisnął usta, jakby to miało jakoś wymazać je z pamięci.

Brunetti sięgnął po telefon i wybrał numer sędzi Baldassare. – Petra – powiedział, gdy odebrała. – Masz je?

– Zostały wysłane do signoriny Zorzi jako załącznik, więc możesz teraz działać na ich podstawie. Wydruk... podpisany, opatrzony odpowiednimi pieczęciami urzędowymi i wysłany kurierem... jest już w drodze.

– *Grazie*, Petra – komisarz pozwolił sobie na tę poufałość, nie chcąc, by markiz się zorientował, czego dotyczyła rozmowa. – Panie Torrebardo – rzekł, kończąc z posługiwaniem się tytułem arystokratycznym i okazywaniem jakiegokolwiek szacunku człowiekowi, którego zaraz miał aresztować pod zarzutem morderstwa. – Mogę tego dowieść. Mam dowód, że wieczorem w dniu morderstwa był pan w tym hotelu.

Tym razem markiz rozdziawił usta ze zdziwienia i Brunetti zobaczył, że jego zęby są równie doskonałe jak reszta twarzy. Nadszedł czas, by zaprotestował, że nie rozumie, o czym Brunetti mówi, ale sprawił zawód komisarzowi, pytając tylko:

– Wolno mi zadzwonić do adwokata?

– *Sì* – odparł Brunetti.

– Mogę skorzystać ze swojego telefonu? – zapytał Torrebardo, nagle pełen szacunku.

– Oczywiście – zgodził się komisarz.

Markiz wyjął komórkę i znalazł potrzebny numer. Brunetti słuchał, jak aparat dzwoni. Ktoś odebrał po trzecim dzwonku.

– Nanni, mówi Attilio – zaczął Torrebardo, usiłując zapanować nad głosem. Jego rozmówca coś powiedział i wtedy markiz odparł: – Nie wiem. Chyba mnie aresztują. – Słuchał przez chwilę w milczeniu i rzekł: – Nie, za coś, czego nie zrobiłem. Chodzi o tę kobietę, która została zabita w hotelu. Myślę, że to moja sprawa.

Brunetti słyszał głos Costantiniego, ale nie podnosząc głowy, przysunął do siebie leżący na biurku kalendarz, żeby mu się bacznie przyjrzeć.

– Wiem, że nie znasz się na prawie karnym, ale chyba możesz mi podać nazwisko kogoś, kto się zna? – Tym razem pauza trwała dłużej, dopóki Torrebardo nie powiedział: – Nieważne, ile bierze. To też nie jest istotne. Mogę pożyczyć. – Słuchał przez długi czas, założył nogę na nogę, po czym ją zdjął, a potem rzucił do słuchawki głosem, w którym pobrzmiwała złość: – Nie proszę cię o radę, ale o to, byś mi polecił specjalistę od prawa

karnego. Podaj mi nazwisko najlepszego, resztą już ja się zajmę. – Markiz wsunął rękę do kieszeni płaszcza.

Komisarz wstał i podszedł do okna, nie chcąc, by Torrebardo poprosił go o kartkę i pióro. Zauważył, że na drugim brzegu kanału końce pnączy były zanurzone w wodzie.

Zignorował odgłosy nerwowego poszukiwania za swoimi plecami i udał, że nie słyszy, jak telefon spada na podłogę ani jak markiz klnie. Po chwili Torrebardo warknął:

– Dobra. Podyktuj. – Zapadła przeciągająca się cisza. – D’Acquarone? – W rozmowie nastąpiła krótka przerwa, podczas której zapewne zapisywał nazwisko adwokata, po czym młody mężczyzna rzucił: – Nie obchodzi mnie, czy mieszka w Weronie. Jeżeli jest najlepszy, chcę go wynająć.

Brunetti usłyszał odgłos uderzenia o biurko i gdy się odwrócił od okna, zobaczył, że markiz siedzi ze spuszczoną głową, zakrywając dłonią telefon, którym najwyraźniej cisnął o blat biurka.

– Przepraszam – powiedział Torrebardo, nie podnosząc wzroku. Jego głos zrobił się jakby cichszy.

– Słucham?

– Czy jest tu toaleta?

– Tak – odparł komisarz. – Niech pan chwilę zaczeka, a każę przysłać kogoś, kto pana do niej zaprowadzi.

Torrebardo podniósł głowę i Brunetti, podchodząc do biurka, dostrzegł w oczach markiza przerażenie na myśl o czekającej go przyszłości. Wybrał numer dyżurki i rzekł:

– Przyślijcie kogoś do mojego gabinetu. Tylko szybko.

Podszedł do okna i stał tam, rozmyślając o ludzkich ułomnościach. U osób naprawdę słabych wzbudzały one litość, natomiast u aroganckich najczęściej jedynie pogardę, jak w tym przypadku.

Mniej więcej po trzech minutach w drzwiach ukazał się Bassi. Komisarz poprosił, żeby odprowadził tego pana do ubikacji – celowo użył tego słowa

– zaczął na niego i przyprowadził z powrotem. Torrebaro z trudem wstał i ruszył za policjantem, idąc z pewnym skrepowaniem.

Komisarz odwrócił się od okna i jego wzrok padł na płaszcz markiza. Obraz na nagraniu wideo był wyraźny i gdyby na tym płaszczu znajdowały się ślady DNA Berty Dodson, avvocato d'Acquarone niewiele mógłby wskórać. Brunetti dostał nakaz, a teraz miał też płaszcz.

Pomyślał o de Tejedzie, który to wszystko sprokurował. Zawsze myślał, że kocha tego Hiszpana; ostatecznie wzenił się w rodzinę, której członkowie darzyli go miłością. Teraz jednak stwierdził, że nie czuje do Gonzala nic oprócz litości. Wiedział, że Gonzalo był samolubny, tracił głowę dla młodych mężczyzn, ale zawsze postrzegał to jako ludzkie słabości i nigdy z ich powodu nie kwestionował jego reputacji. „Och, taki po prostu jest Gonzalo”.

Teraz jednak jego słabości zgubiły dwoje ludzi, na których najbardziej mu zależało. Brunetti nie mógł już przypisywać Gonzalowi zdolności do kochania, przynajmniej nie w sposób, w jaki rozumiał to słowo. I z tego powodu jego własna miłość do tego człowieka została wyrzucona z jego serca lub po prostu wygasła.

Jakie to dziwne, pomyślał: postanawiamy kochać ludzi mimo ich wad i słabości. Uczymy się ich nie dostrzegać lub je lekceważyć; czasem te wady charakteru przepełniają nas nawet szczególnego rodzaju czułością, która nie zawiera w sobie wcale poczucia wyższości.

Te wady niczym bomby tykają po cichu w naszym oraz ich życiu, dopóki nie nauczymy się ich ignorować, a potem o nich nie zapomnimy. Dopóki jakaś nieprawdopodobna sytuacja nie sprawi, że eksplodują, a my w końcu dostrzeżemy, jak niebezpieczni są i cały czas byli ci ludzie.

Gdyby Gonzalo nie powiedział Bercie o adopcji, gdyby nie przyleciała do Wenecji, gdyby nie to i tamto, nie doszłoby do tej eksplozji, a komisarz wspominałby swojego zmarłego przyjaciela z miłością i śmiałby się z tego, jak potrafił wariować na punkcie młodych mężczyzn.

Nawet teraz, wspominając o częstych przejawach życzliwości Gonzala, jego charakterystycznej wielkoduszności, jego miłości do ich dzieci,

Brunetti czuł, jak serce przepelnia mu sympatia do niego. Przypomnił sobie coś, o czym często mówiła jego matka. Dawniej sądził, że mówiąc to, miała na myśli jego ojca, ale z wiekiem zaczął podejrzewać, że mówiła bardziej ogólnie. „Byłoby miło, gdybyśmy mogli wybierać osoby, które kochamy, ale to miłość ich wybiera”.

Usłyszał jakiś hałas i gdy podniósł wzrok, zobaczył w drzwiach Bassiego, który przyprowadził z powrotem człowieka mającego zaraz usłyszeć z ust komisarza zarzut dokonania morderstwa.

Przypisy

- [1] *Obłok niewiedzy*, tłum. Wojciech Unolt, wyd. W drodze, Poznań 1986 (przyp. red.).
- [2] *Eurypides, Trojanki w: Eurypidesa Tragedye*, przekład Jan Kasprowicz, Akademia Umiejętności, Kraków 1918.
[https://pl.wikisource.org/wiki/Trojanki_\(Eurypides,_t%C5%82um._Kasprowicz,_1918\)](https://pl.wikisource.org/wiki/Trojanki_(Eurypides,_t%C5%82um._Kasprowicz,_1918))
- [3] *Szlachectwo widać w szczerym wejrzeniu*, Wolfgang Amadeusz Mozart, *Don Giovanni* (przyp. red.).

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się
następujące powieści Donny Leon:

ŚMIERĆ W LA FENICE

1998

2006 (*seria kieszonkowa*)

ŚMIERĆ NA OBCZYŻNIE

1999

STRÓJ NA ŚMIERĆ

1999

ŚMIERĆ I SĄD

1999

ACQUA ALTA

1999

2011 (*seria kieszonkowa*)

CICHO, WE ŚNIE

2001

2009 (*seria kieszonkowa*)

SZLACHETNY BLASK

2002

ZGUBNE ŚRODKI

2003

2007 (*seria kieszonkowa*)

ZNAJOMI NA STANOWISKACH

2004

2008 (*seria kieszonkowa*)

MORZE NIESZCZĘŚĆ

2005

2007 (*seria kieszonkowa*)

PERFIDNA GRA

2006 (*seria kieszonkowa*)

SŁOWO OFICERA

2007 (*seria kieszonkowa*)

FAŁSZYWY DOWÓD

2008 (*seria kieszonkowa*)

KREW Z KAMIENIA

2009 (*seria kieszonkowa*)

MĘTNE SZKŁO

2010 (*seria kieszonkowa*)

OKROPNA SPRAWIEDLIWOŚĆ

2010 (*seria kieszonkowa*)

DZIEWCZYNA Z JEGO SNÓW

2011 (*seria kieszonkowa*)

UKRYTE PIĘKNO

2012 (*seria kieszonkowa*)

KWESTIA WIARY

2013 (*seria kieszonkowa*)

PO NITCE DO KŁĘBKĄ

2014 (*seria kieszonkowa*)

DZIKA ZACHŁANNOŚĆ
2015 (*seria kieszonkowa*)

ZŁOTE JAJO
2016 (*seria kieszonkowa*)

GRA POZORÓW
2017 (*seria kieszonkowa*)

WODA WIECZNEJ MŁODOŚCI
2018 (*seria kieszonkowa*)

ZAUROCZENIE
2019 (*seria kieszonkowa*)

DOCZESNE SZCZĄTKI
2020 (*seria kieszonkowa*)

POKUSA PRZEBACZENIA
2021 (*seria kieszonkowa*)